

David i Leigh Eddings

Czas Niedoli

Druga część opowieści o losach czarodzieja Belgaratha

Przełożyła Maria Duch

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przebiegu następnych kilku miesięcy nie potrafię dokładnie odtworzyć, ponieważ naprawdę ich nie pamiętam. Zdarzały mi się co prawda przebłyski świadomości, ale były pozbawione jakiegokolwiek związku z tym, co się wydarzyło przedtem lub potem. Staralem się usunąć z pamięci te wspomnienia. Rozpamiętywanie szaleństwa nie jest najprzyjemniejszym zajęciem.

Pewnie byłoby mi łatwiej, gdyby Aldur nas nie opuścił. Konieczność jednak kazała mu odejść w najgorszym momencie. Czułem się osamotniony, pozostawiony sam na sam z rozpaczą. Nie ma co roztrząsać przyczyn tego stanu rzeczy. Wiem, że to, co się wydarzyło, było konieczne. Poprzestańmy więc na tym.

Mgłście pamiętam długi okres, w którym pozostawałem przykuty do łóżka łańcuchami i jak Beldin na zmianę z bliźniakami pilnowali mnie i bezlitośnie kruszyli wszelkie próby zebrania mej Woli. Nie zamierzali pozwolić, bym poszedł w ślady Belsambara i Belmakora. Potem, gdy moje samobójcze zapędy nieco osłabły, rozkuli mnie - co nie miało szczególnego znaczenia. Pamiętam, jak całe dni siedziałem i wpatrywałem się w podłogę, zupełnie nieświadomy upływającego czasu.

Ponieważ obecność Beldaran zdawała się mnie uspokajać, moi bracia często przynosili ją do wieży, a nawet pozwalali potrzymać. Myślę, że ostatecznie to chyba Beldaran sprowadziła

mnie z krawędzi całkowitego szaleństwa. Jakże ja kochałem tę dziecinę!

Jednakże ani Beldin, ani bliźniacy nie przynosili mi Polgary. Lodowate spojrzenie jej szarych oczu głęboko raniło moją duszę; na samo wspomnienie mego imienia z ciemnoniebieskich robiły się stalowoszare. W naturze Pol nie było miejsca na przebaczenie.

Beldin uważnie śledził, jak powoli wynurzam się z otchłani szaleństwa. W końcu, późnym latem, a może była to wczesna jesień, poruszył pewien delikatny temat.

- Czy chciałbyś zobaczyć grób? - zapytał. - Słyszałem, że ludzie czasami to robią.

Rozumiałem oczywiście, o co chodziło - odwiedzenie grobu i przystrojenie go kwiatami. To miało pomóc pogrążonemu w smutku nabrać pewnego dystansu do śmierci. Być może u innych ludzi przynosiło to pożądany skutek, ale nie u mnie. Na sam dźwięk tego słowa ponownie ogarnęło mnie poczucie ogromnej straty, kompletnie druzgocząc.

Wiedziałem, że spisywanie tego wszystkiego będzie błędem.

Zbliżał się koniec zimy, gdy mój stan poprawił się na tyle, aby bliźniacy, po dokładnym

wybadaniu, rozkuli mnie i pozwolili chodzić wolno. Beldin już nigdy nie wspomniał o grobie.

Zacząłem z zapalem wędrować po Dolinie pokrytej na pół stajalym śniegiem. Chodziłem szybko, aby z nastaniem nocy czuć się wyczerpany. Musiałem mieć pewność, że będę zbyt zmęczony, by śnić. Problem jedynie w tym, że wszystko w Dolinie przywoływało wspomnienia Poledry. Macie pojęcie, ile jest na świecie sów śnieżnych?

Chyba właśnie wówczas, w ciągu tego rozmokłego końca zimy, podjąłem decyzję. Nie uświadamiałem sobie jej jeszcze w pełni, ale nosiłem ją w sobie cały czas.

Zacząłem porządkować swe sprawy. Pewnego słotnego, burzowego wieczoru wybrałem się do wieży Beldina w odwiedziny do swych córek. Miały wówczas około roczku, więc już chodziły - jeśli można to tak nazwać. Beldin przezornie zagroził schody, aby nie doszło do jakiegoś nieszczęścia. Beldaran znajdowała wielką przyjemność w bieganiu, choć często się przewracała. Bawiło ją to jednak bardzo i za każdym razem, gdy upadła, wybuchała rozkosznym śmiechem.

Polgara natomiast nigdy się nie śmiała. Nadal nie czyni tego zbyt często. Czasami wydaje mi się, że bierze życie zbyt poważnie.

Beldaran podbiegła do mnie z wyciągniętymi rączkami. Pochwyciłem ją w ramiona i ucałowałem.

Polgara nawet na mnie nie spojrzała. Całą uwagę skupiała na swej zabawce, osobiwie powyginanym kijku - a może był to korzeń jakiegoś drzewa lub krzewu. Moja starsza córka ze zmarszczonym czołem obracała go w swych małych rączkach.

- Przepraszam za to - usprawiedliwił się Beldin, gdy spostrzegł, że spoglądam na tę dziwną zabawkę. - Pol ma wyjątkowo donośny głos i nie marnuje go na płacz. Zamiast tego wrzeszczy, gdy czuje się nieszczęśliwa. Musiałem czymś zająć jej umysł.

- Ale kij? - zapytałem.

- Pracuje nad nim już od sześciu miesięcy. Zawsze gdy zaczyna wrzeszczeć, daję go jej i natychmiast milknie.

-Kij?

Beldin spojrzał na Polgarę, a potem pochylił się do mnie i szepnął:

- Ma tylko jeden koniec. Nadal na to nie wpadła. Usiłuje znaleźć drugi. Bliźniacy uważają, że jestem okrutny, ale przynajmniej mogę się trochę przespać.

Ponownie pocałowałem Beldaran, posadziłem ją, a potem podszedłem do Polgary i wziąłem ją na rękę. Natychmiast ze-sztwywniała, a po chwili zaczęła się wiercić, próbując się uwolnić.

- Przestań - poleciłem. - Możesz o to nie dbać, Pol, ale jestem twoim ojcem i jesteś na

mnie skazana. - Potem całkiem rozmyślnie pocałowałem ją. Stalowe oczy złagodniały na chwilę i zrobiły się niesamowicie błękitne. Potem ponownie poszarzały, a ona zdzieliła mnie po głowie patykami.

- Ma charakterek, co? - zauważył Beldin. Postawiłem ją na ziemi, odwróciłem i dałem lekkiego

klapsa.

- Zachowuj się, panienko - nakazałem. Polgara odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Bądź zdrowa, Polgaro - powiedziałem. - A teraz idź się bawić.

Pocałowałem ją wówczas po raz pierwszy i wiele czasu upłynęło, nim zrobiłem to ponownie.

Wiosna tego roku nadeszła z ociąganiem. Co i rusz zsyłała na nas przelotne deszcze i śnieżne zamiecie. W końcu jednak przestało padać, a drzewa i krzewy zaczęły nieśmiało wypuszczać pączki.

Pewnego pochmurnego, wietrznego dnia wspiałem się na wzgórze na zachodnim skraju Doliny. Powietrze było chłodne, a nad głową pędziły chmury. Ten dzień bardzo przypominał tamten, w którym postanowiłem opuścić wioskę Gara. Chmurny, wietrzny, wiosenny dzień zawsze budził we mnie ochotę do wędrówki. Długo siedziałem i w końcu decyzja, którą nieświadomie podjąłem pod koniec zimy, na dobre zakorzeniła się w mej świadomości. Bardzo kochałem Dolinę, ale zbyt wiele bolesnych wspomnień się z nią wiązało. Wiedziałem, że Beldin i bliźniacy zaopiekują się moimi córkami. Poledra odeszła, mój Mistrz także, więc nic mnie tu nie trzymało.

Spojrzałem na Dolinę. Ze wzgórza nasze wieże wyglądały jak rozrzucone niedbale zabawki, a stada pasących się jeleni przypominały mrówki. Nawet prastare drzewo rosnące na środku Doliny z tej odległości wyglądało na małe. Wiedziałem, że będę tęsknić za tym drzewem, ale ono zawsze tam było, więc pewnie będzie również, gdy wrócę - jeśli to kiedykolwiek nastąpi.

Potem wstałem, westchnąłem i odwróciłem się plecami do jedyne miejsce, jakie w życiu nazwałem domem.

Poszedłem wschodnim skrajem Ulgolandu. Nie korzystałem ze swego daru od owego straszliwego dnia i nie byłem pewny, czy nadal to potrafię robić. Grul zapewne zdążył już wyzdrowieć, ale z całą pewnością chował do mnie urazę i nie pozwoli mi ponownie zbliżyć się na wyciągnięcie ręki. Mógłbym znaleźć się w bardzo niezręcznej sytuacji, gdybym próbował zebrać Wolę i stwierdził, że już tego nie potrafię. W tych górach żyły także hrulgini, algothy, a czasami zdarzały się i trolle, więc rozważa nakazywała szukać innej

drogi.

Oczywiście bracia usiłowali się ze mną skontaktować. Niekiedy słyszałem ich stłumione nawoływania, ale nie trzymałem się odpowiedzi. To byłoby jedynie strata czasu. Nie miałem zamiaru wracać, bez względu na to, co chcieli mi powiedzieć.

Przeszedłem przez zachodnią Algarię, nikogo nie napotkawszy. Po obejściu północnego krańca Ulgolandu, skręciłem na zachód, przeszedłem przez góry i zszedłem na równiny wokół Muros.

Tam gdzie teraz wznosi się Muros, znajdowała się wioska Arendów - Wacite. Zatrzymałem się w niej po prowiant na drogę. Ponieważ nie miałem pieniędzy, wróciłem do wstydliwych praktyk z młodości i kradłem to, czego potrzebowałem.

Potem ruszyłem w dół rzeki, ostatecznie lądując w Camaar. Camaar, podobnie jak wszystkie porty, miało w sobie coś kosmopolitycznego. Samo miasto nominalnie podlegało księciu Vo Wacune, ale w nadbrzeżnych knajpach Alornowie, Tolnedranie, a nawet Nyissanie byli równie częstymi gośćmi, co wacuńscy Arendowie. Miejscowi byli w większości marynarzami, a marynarze po długich wyprawach są zwykle dobroduszni i hojni, więc bez trudu znajdowałem chętnych do postawienia mi kilku kufli ale.

Goście w tawernach uwielbiali słuchać opowieści, a ja potrafiłem wymyślać doskonałe historie. W taki sposób radziłem sobie w Camaar przez całe lata. Czyż to nie wygodny sposób zarabiania na życie? W dodatku można to robić na siedząco, co było dodatkowym plusem, gdyż przez większość czasu nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Mówiąc bez ogródek, zrobiłem się zwyczajnym pijaczyną. Często bywałem niepożądanym gościem. Pamiętam, że wyrzucano mnie z wielu tawern, miejsc zwykle tolerancyjnych wobec drobnych uchybień w dobrym zachowaniu.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo przebywałem w Camaar - przynajmniej dwa lata, a może i dłużej. Każdej nocy upijałem się do nieprzytomności i nigdy nie wiedziałem, gdzie obudzę się następnego ranka. Zwykle był to rynsztok lub jakiś śmierdzący zaułek. Rano ludzie nie mają szczególnej ochoty na wysłuchiwanie opowieści, więc dorabiałem sobie żebraniną. Zaczęło mi to nawet przynosić niezłe dochody, dzięki czemu do południa każdego dnia byłem już kompletnie pijany.

Zacząłem widzieć rzeczy, których nie było, i słyszeć głosy, których nikt poza mną nie słyszał. Ręce trzęsły mi się okropnie i często dręczyły mnie koszmary.

Ale nie miałem snów i nie pamiętałem, co wydarzyło się przed kilkoma dniami. Nie byłem szczęśliwy, ale przynajmniej nie cierpiałem.

Pewnej nocy jednak, gdy smacznie spałem w ulubionym rynsztoku, miałem sen. Mistrz

musiał pewnie krzyżeć, by przebić się przez moje pijackie upojenie, ale w końcu mu się udało.

Po przebudzeniu nie miałem wątpliwości, nocą odwiedził mnie Mistrz. Od lat nie miałem prawdziwych snów. Co więcej, byłem absolutnie trzeźwy i nawet nie drżały mi ręce. Naprawdę przekonało mnie jednak to, że niebiańskie zapachy unoszące się z tawerny, z której mnie pewnie wyrzucono poprzedniej nocy, przyprawiły mnie z miejsca o mdłości. Dobre pół godziny wymiotowałem, klęcząc nad rynsztokiem, ku zgorszeniu wszystkich przechodniów. Wkrótce odkryłem, że to nie tyle smród z tej tawerny przewracał mi żołądek do góry nogami, ile stęchły, kwaśny odór wydzielany przez łachmany, które na sobie miałem, i moją skórę. Potem, nadal targany mdłościami, wstałem, poszedłem, zataczając się, na nabrzeże i stoczyłem się do zatoki wraz z leżącymi na brzegu śmieciami.

Nie, nie próbowałem się utopić. Usiłowałem zmyć z siebie tę potworną woń. Gdy wyszedłem z wody, cuchnąłem zdechłymi rybami i innymi paskudztwami, które ludzie wyrzucają w porcie - zwykle gdy nikt nie patrzy - ale i tak było znacznie lepiej.

Stałem na brzegu, drżąc gwałtownie i ociekając wodą. Postanowiłem jeszcze tego samego dnia opuścić Camaar. Mój Mistrz najwyraźniej nie pochwalał mego zachowania. Gdybym znowu się zapomniał, gotów jeszcze sprawić, bym wyrzygał nawet podeszwy swych butów. Strach nie jest najlepszą motywacją do zachowania trzeźwości, ale przynajmniej każe się pilnować. W Camaar roiło się od tawern, a do tego znałem większość ich właścicieli, więc postanowiłem ruszyć do Arendii, aby ustrzec się przed pokusą.

Chwiejnym krokiem przeszedłem ulicami lepszych dzielnic, zapewne gorsząc mieszkańców, i około południa dotarłem nad brzeg rzeki. Nie miałem pieniędzy, by zapłacić przewoźnikowi, więc przepравиłem się wpraw na arendzką stronę. Zajęło mi to kilka godzin, ale nie było pośpiechu. Rzeka po brzegi pełna była świeżej, bieżącej wody, która zmyła ze mnie wiele grzechów.

Wróciłem na przystań promową, aby zasięgnąć języka. Stała tam byle jak sklecona chata. Jej właściciel siedział na pniu nad wodą z wędką w dłoni.

- Chciałbyś, przyjacielu, na drugą stronę, do Camaar? - zapytał z akcentem, który natychmiast pozwolił rozpoznać w nim wacuńskiego wieśniaka.

- Nie, dzięki - odparłem. - Właśnie stamtąd przybyłem.

- Trochę jesteś mokry. Chyba nie przepравиłeś się wpraw?

- Nie - skłamałem. - Miałem małą łódkę. Przewróciła się, gdy próbowałem przybić do brzegu. W której części Arendii wylądowałem? Straciłem orientację podczas przeprawy.

- Szczęściarzem z ciebie, że wylądowałeś tutaj, a nie kilka mil dalej w dół rzeki. Jesteś na

ziemiach Jego Miłości, księcia Vo Wacune. Na zachód od ziem księcia Vo Astur. Nie powinienem tego mówić - wszak są naszymi sojusznikami i w ogóle - ale Asturowie to butni i zdradzieccy ludzie.

- Sojusznicy?

- W naszej walce z mimbrańskimi mordercami, jak wiesz.

- To ona nadal trwa?

- Jasne. Księżę Vo Mimbre ogłosił się królem całej Arendii, ale nasz księżę i księżę Asturów nie mają zamiaru oddać mu hołdu. - Spojrzał na mnie spod oka. - Wybacz, że ci to mówię... ale dość kiepsko wyglądasz.

- Długo chorowałem. Spojrzał na mnie ponownie.

- Ale nic zaraźliwego, co?

- Nie. Miałem paskudną ranę i nie goiła się dobrze.

- To ulga. Dość mamy kłopotów po tej stronie rzeki i bez zarazy przywleczonej przez jakiegoś włóczęgę.

- Którędy mam pójść, by trafić na drogę do Vo Wacune?

- Trzeba cofnąć się kilka mil wzdłuż rzeki. Jest tam druga przystań promowa, od niej zaczyna się droga. Nie przegapisz jej. - Ponownie spojrzął na mnie spod oka. - Nie chciałbyś łyknąć czegoś na pokrzepienie przed dalszą wędrówką? To kawał na piechotę, a ja mam bardzo przystępne ceny, przekonasz się.

- Nie, dziękuję, przyjacielu. Mam trochę wrażliwy żołądek. To z powodu tej choroby, rozumiesz.

- Szkoda. Wyglądasz na wesołka, a ja nie pogardziłbym towarzystwem.

Wesołek? Ja? Ten facet rzeczywiście bardzo chciał sprzedać mi piwo.

- No cóż - rzekłem - stanie tu nie zbliża mnie do Vo Wacune. Dzięki za informacje, przyjacielu, udanych połowów - dodałem, po czym odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w górę rzeki.

Nim dotarłem do Vo Wacune, zdołałem otrząsnąć się ze skutków lat spędzonych w Camaar i zacząłem ponownie logicznie myśleć. Najpilniejszą sprawą było znalezienie stosownego odzienia zamiast lachmanów, które nosiłem, i pieniędzy na dalszą drogę. Mogłem ukraść potrzebne rzeczy, ale mojemu Mistrzowi mogłoby to nie przypaść do gustu, więc postanowiłem zachowywać się przyzwoicie. Rozwiązanie mego małego problemu leżało nie dalej niż najbliższa świątynia Chaldana, Boga-Byka Arendów. W końcu w owych czasach byłem pewną osobistością.

Doprawdy nie winie kapłanów Chaldana, że nie uwierzyli mi, gdy wyznałem im swe

imię. W ich oczach byłem pewnie po prostu obszarpanym żebrakiem. Jednakże zdenerwował mnie ich wyniosły, pogardliwy stosunek do mnie i bez zastanowienia dałem im mały pokaz tego, do czego byłem zdolny, na dowód, że w istocie byłem tym, za kogo się podawałem. Prawdę powiedziawszy, efektem byłem równie zaskoczony jak oni, najwyraźniej ani szaleństwo, ani lata hulanki w Camaar nie nadwerężyły moich zdolności.

Kapłani płaszczyli się w przeprosinach i aby wynagrodzić mi swą niewiarę, obdarowali mnie nowymi szatami i dobrze wypchaną sakiewką. Wielkodusznie przyjąłem prezenty, choć zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę ich nie potrzebuję. Wiedziałem, że "talent" mnie nie opuścił. Mogłem wyciągnąć ubranie wprost z powietrza i zamienić kamyczki w monety, gdybym chciał. Wykąpałem się, przyciąłem zmierzwioną brodę i przywdziałem nowe szaty. Prawdę powiedziawszy, poczułem się znacznie lepiej.

Bardziej niż ubrania, pieniędzy czy kąpieli potrzebowałem informacji. Podczas pobytu w Camaar zupełnie nie śledziłem bieżących wydarzeń, więc żądny byłem wiadomości. Ku swemu

zaskoczeniu stwierdziłem, że nasza mała przygoda w Mallorei była w Arendii powszechnie znana. Kapłani Boga-Byka zapewнили mnie, że ta opowieść była również dobrze znana w Tolnedrze, a nawet dotarła do Nyissy i Maragoru. Teraz gdy myślę o tym z perspektywy czasu, zdaje się, że nie powinienem być zaskoczony. Mój Mistrz spotkał się ze swymi braćmi w Grocie Bogów, a ich decyzja odejścia w znacznej mierze opierała się na fakcie odzyskania przez nas Klejnotu Aldura zwanego niekiedy Globem. Ponieważ bez wątplenia było to najbardziej spektakularne wydarzenie od czasu rozłupania świata, inni Bogowie, przed swym odejściem, z pewnością przekazali relację o nim swym kapłanom.

Oczywiście całą historię znacznie upiększono. Zawsze gdy w grę wchodził cud, można było zaufać pomysłowości kapłanów. Skoro ich ubarwione opowieści wynosiły mnie niemal na wyżyny boskości, postanowiłem ich nie poprawiać. Czasami przydaje się tego typu reputacja. Biała szata, którą podarowali mi kapłani, przydawała mojemu wyglądowi dramatyzmu. Aby dopełnić charakteryzacji, wyciąłem długą łaskę. Nie planowałem pozostania w Vo Wacune, ale jeśli chciałem korzystać ze współpracy kapłanów z miast, przez które będę przechodził, musiałem wyglądać na potężnego czarodzieja. Oczywiście była to zwykła szarlataneria, lecz unikałem w ten sposób dyskusji i długich wyjaśnień.

W świątyni Chaldana, w Vo Wacune, spędziłem około miesiąca, a potem powędrowałem do Vo Astur zobaczyć, co zamierzają Asturowie - nic dobrego, jak się okazało, ale w końcu to była Arendia. Asturowie zapewniali równowagę władzy w czasie długich, ponurych lat wojny domowej w Arendii i byli niczym chorągiewka na wietrze.

Szczerze mówiąc, wojna domowa Arendów nudziła mnie. Nie interesowały mnie fałszywe krzywdy, jakie wciąż wymyślali Arendowie na usprawiedliwienie okrucieństw, których się dopuszczali. Udałem się do Asturii, ponieważ ma ona wybrzeże

morskie, a Wacune nie. Ostatnią rzeczą, jakiej dokonałem przed opuszczeniem Chereka i jego synów, było rozbitcie Królestwa Alorii na części i byłem ciekaw, jak dalej potoczyły się sprawy.

Vo Astur było usytuowane na południowym brzegu rzeki Astur i okręty alornskie często odwiedzały tutejsze porty. Zatrzymałem się w świątyni, a kapłani wskazali mi kilka nabrzeżnych tawern, w których mogłem znaleźć alornskich żeglarzy. Nie miałem wielkiej ochoty wystawiać swej woli na próbę, ale nie było innego sposobu. Jeśli chcesz rozmawiać z Alornami, musisz udać się tam, gdzie jest piwo.

Miałem szczęście. Już w drugiej knajpie spotkałem krzepkiego alornskiego kapitana. Nazywał się Haknar i żeglował do Arendii z Val Alorn. Przedstawiłem się, a biała szata i laska przekonały go, że mówię prawdę. Zaproponował mi kufel arendzkiego ale, lecz uprzejmie odmówiłem. Miałem dość pijaństwa.

- Jak spisują się łodzie? - zapytałem.

- Okręty - poprawił. Żeglarzom zawsze sprawiało to różnicę. - Są szybkie - przyznał - ale trzeba uważać na wiatr. Król Cherek powiedział, że ty je zaprojektowałeś.

- Trochę pomogłem - odparłem skromnie. - Aldur dał mi ogólny zarys. Jak ma się Cherek?

- Jest trochę ponury. Myślę, że tęskni za synami.

- Nic na to nie poradzę. Musimy chronić Klejnot. A jak chłopcy sobie radzą w swych królestwach?

- Chyba jakoś sobie radzą. Zdaje się, że trochę pospieszyłeś się z nimi, Belgaracie. Byli jeszcze młodzi, gdy wysłałeś ich na te dzikie pustkowia. Dras nazwał swe królestwo Drasnią i zaczął budować miasto w miejscu zwanym Boktor. Myślę, że tęskni za Val Alorn. Algar nazwał swe królestwo Algarią i nie buduje miast. Jego lud hoduje konie i bydło.

Kiwnąłem głową. Algara pewnie nie interesowały miasta.

- A co robi Riva? - zapytałem.

- On z całą pewnością buduje miasto. Choć pewnie bardziej pasowałoby tu słowo "twierdza". Byłeś kiedy na Wyspie Wiatrów?

- Raz - powiedziałem.

- Więc wiesz, gdzie jest plaża. Ta dolina, która opada terasami, jest zejściem na plażę. Riva kazał swym ludziom zbudować kamienne mury na skraju każdego terasu. A teraz każe

budować domy przy murach. Gdyby ktoś ich zaatakował, musiałby przedrzeć się przez kilkanaście murów. A to mogłoby go wiele kosztować. Zahaczyłem o Wyspę, udając się tutaj. Poczynili znaczne postępy

- Czy Riva rozpoczął już wznoszenie swojej Cytadeli?

- Zaprojektował ją, ale chce, aby najpierw zbudowano domy. Wiesz, jaki on jest. Choć młody, bardzo dba o swych ludzi.

- A zatem dobry z niego król.

- Pewnie tak. Jednakże jego poddani trochę się martwią. Chcieliby, aby się ożenił, ale on ciągle ich zbywa. Zdaje się, że myśli o kimś szczególnym.

- Tak. Przyśniła mu się kiedyś.

- Nie można poślubić snu, Belgaracie. Rivański tron powinien mieć następcę, a do tego potrzebna także kobieta.

- On jest jeszcze młody, Haknarze. Wcześniej czy później jakaś dziewczyna wpadnie mu w oko. Jeśli to zacznie wyglądać na problem, wybiorę się na Wyspę i porozmawiam z nim. Czy Cherek nadal nazywa Alorią to, co pozostało z jego królestwa?

- Nie. Alorii już nie ma. Cherek wziął sobie to bardzo do serca. Nie zebrał się nawet na tyle, aby nadać nazwę półwyspowi, który mu zostawiłeś. My nazywamy go po prostu "Cherek" i niech tak będzie, to znaczy wówczas, gdy pozwala nam wrócić do domu. Wiele czasu spędzamy na morzu, patrolując Morze Wiatrów. Cherek hojną ręką rozdaje tytuły szlacheckie, ale kryje się w tym pewien haczyk. Byłem dobrze podpity, gdy zrobił mnie baronem Haknar. A nim na dobre wytrzeźwiałem, zdałem sobie sprawę, że zgodziłem się na ochotnika do końca swego życia spędzać trzy miesiące każdego roku na żeglowaniu po Morzu Wiatrów. Tam jest naprawdę bardzo nieprzyjemnie, Belgaracie - szczególnie zimą. Każdej nocy na żaglach zbiera się pół stopy lodu. Moi majtkowie mówią o "Haknar jig" wtedy, gdy poranna bryza otrzepuje lód z żagli i zrzuca go na pokład. Marynarze muszą tańczyć, inaczej lód roztrzaskałby im głowy. Na pewno nie chcesz, bym postawił ci coś do picia?

- Nie, bardzo dziękuję, Haknarze, chyba lepiej już pójdę. Vo Astur działa na mnie przygnębiająco. Z Asturami nie daje się rozmawiać o niczym innym poza polityką.

- Polityką? - Haknar roześmiał się. - Asturowie jedynie rozmawiają o tym, z kim będą wieść wojnę w następnym tygodniu.

- To właśnie nazywają polityką - odparłem, wstając. - Pozdrów Chereka, gdy go znowu zobaczysz. Powiedz mu, że nadal nad wszystkim czuwam.

- Z pewnością będzie po tym lepiej spał. Przybędziesz do Val Alorn na ślub?

- Jaki ślub?

- Chereka. Jego żona umarła, gdy był w Mallorei. A ponieważ ukradłeś mu synów, będzie potrzebował nowego dziedzica. Jego narzeczona to prawdziwa piękność - ma około piętnastu lat. Jest śliczna, ale niezbyt bystra. Jeśli powiedziec jej "dzień dobry", przez dziesięć minut musi myśleć nad odpowiedzią.

Poczułem nagły skurcz. Nie tylko ja straciłem żonę.

- Przekaż mu moje przeprosiny - powiedziałem krótko Haknarowi. - Nie sądzę, aby udało mi się tam dotrzeć. Lepiej już pójdę. Dzięki za informacje.

- Cieszę, że mogłem ci pomóc, Belgaracie - powiedział, po czym odwrócił się i krzyknął - Karczmarzu! Więcej ale!

Wyszedłem na ulicę i powoli ruszyłem ku świątyni Chaldana. Przezornie nie myślałem o stracie Chereka. Miałem własny powód do żaloby i wypełniał mój umysł bez reszty. Nie chciałem tego rozpamiętywać. W pobliżu nie było nikogo, kto przykułby mnie łańcuchami do łóżka.

Kilkakrotnie zapraszano mnie, bym odwiedził księcia w jego pałacu, ale za każdym razem znajdowałem jakąś wymówkę. Nie odwiedziłem księcia Vo Wacune i zdecydowanie nie chciałem faworyzować któregośkolwiek z nich. Uznałem, że lepiej nie mieć nic wspólnego z tymi trzema wojującymi książętami. Nie chciałem być zamieszany w wojnę domową w Arendii - choćby nawet przez skojarzenie.

Być może było to błędem. Pewnie mógłbym zaoszczędzić Arendii kilku eonów cierpień, gdybym po prostu zebrał tych trzech kretynów razem i wepchnął im do gardeł traktat pokojowy. Biorąc jednak pod uwagę charakter Arendów, więcej niż pewne, że złamaliby go, nim atrament by wysechł.

W każdym razie w Vo Astur dowiedziałem się już, czego chciałem, ponieważ jednak zaproszenia z książęcego pałacu były coraz bardziej stanowcze, podziękowałem kapłanom za ich gościnność i przed świtem następnego dnia opuściłem miasto. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz wymykałem się z miasta przed świtem.

Byłem niemal pewny, że książę Vo Astur potraktuje moje odejście jako osobistą zniewagę, więc gdy oddaliłem się jakąś milę na południe od miasta, wróciłem na leśne ścieżki i przybrałem postać wilka.

Tak, to było bolesne. Nie wiedziałem, czy potrafię zmusić się do tego, ale czas było sprawdzić. Ostatnio robiłem wiele rzeczy, które wystawiały mój ból na poważną próbę. Nie miałem jednak zamiaru żyć jak emocjonalny kaleka. Poledra by tego nie chciała; a jeśli nawet oszaleję, to co z tego? Jeden więcej szalony wilk w arendzkich lasach nie zrobi większej

różnicy.

Okazało się, że całkiem trafnie oceniłem księcia Vo Astur. Gdy godzinę później przemykałem się skrajem lasu na południe, krętą leśną drogą nadjechała grupa uzbrojonych jeźdźców. Księżę Asturii rzeczywiście chciał, bym złożył mu wizytę. Wycofałem się między drzewa, przypadłem do ziemi i obserwowałem przejeżdżających obok ludzi. W tamtych czasach Aren-dzi byli o wiele niżsi niż dzisiaj, toteż nie wyglądali aż tak głupio na tych karłowatych koniach.

Wędrowałem dalej lasem i w końcu dotarłem na równiny Mimbre. W odróżnieniu od Wacitów i Asturian, Mimbraci niemal doszczętnie wycięli lasy na swych ziemiach. Konie Mim-bratów były większe od koni ich północnych kuzynów. Szlachta tego południowego księstwa zaczynała właśnie wykuwać zbroje, które dziś są dla nich tak charakterystyczne. Rycerz na koniu potrzebuje do działania otwartego terenu, zatem drzewa musiały zniknąć. Rozległe obszary uprawne, które w ten sposób powstały, nie interesowały jednak zbytnio Mimbratów.

Gdy myślimy o arendzkiej wojnie domowej, zwykle mamy na myśli trzy wojujące księstwa, ale to nie wszystko. Drobną szlachta również miała swoje rozrywki i nie było w Mimbre okręgu, w którym nie toczyłaby się jakaś wojna klanów. Powróciłem do swojej postaci, choć muszę przyznać, że poważnie zastanawiałem się nad spędzeniem reszty życia jako wilk, i podążyłem na południe, ku Vo Mimbre. Po drodze jednak natknąłem się na jedną z tych klanowych wojenek.

Na nieszczęście tępi Arendowie uwielbiali maszyny oblężnicze. Arendowie mają mało elastyczne umysły i perspektywa całych dziesięcioleci oblężenia wyraźnie do nich przemawiała. Rozbijali obóz wokół fortecy i przez lata bezmyślnie miotali głazy, podczas gdy obrońcy przez te wszystkie lata radośnie piętrzyli kamienie po wewnętrznej stronie murów. Na dłuższą metę taka walka staje się nudna, więc co jakiś czas któraś ze stron dopuszcza się okrucieństw, aby rozeźlić przeciwnika.

W tym wypadku baron prowadzący oblężenie postanowił spędzić wszystkich miejscowych chłopów i pozbawić ich głów na oczach rodaków.

Wówczas jednak ja wkroczyłem do akcji. Stałem na szczycie wzgórza z dramatycznie wyciągniętą przed siebie laską.

- Stop! - ryknąłem, wzmacniając swój głos tak, że pewnie słyszeli go w Nyissie. Baron i jego rycerze stanęli jak wryci; rycerz, który przymierzał się właśnie do ścięcia chłopu głowy, opuścił miecz, po czym uniósł go ponownie.

Jednakże w następnej chwili znowu go opuścił. Trochę trudno utrzymać miecz, gdy

jego rękojeść rozgrzewa się do białości. Oprawca podskakiwał, wyjąc i dmuchając na poparzone dłonie.

Zszedłem ze wzgórza i stanąłem przed baronem o morderczych zapędach.

- Nie dopuścisz się tej okropności! - powiedziałem mu.

- Nikomu nic do tego, co robię, starcze - odparł, ale nie miał zbyt pewnego głosu.

- Mnie jak najbardziej tak! Jeśli spróbujesz skrzywdzić tych ludzi, wyrwę ci serce!

- Zabij tego starego głupca - polecił baron jednemu ze swych rycerzy.

Ów bojaźliwie sięgnął po miecz, ale zebrałem swą Wolę, pochyliłem laskę i rzekłem:

- Świnia.

Rycerz natychmiast zamienił się w świnię.

- Czary! - krzyknął zaskoczony baron.

- Jak najbardziej. A teraz zbierz swoich ludzi i wracaj do domu - i puść wolno tych chłopów.

- Czyniłem to w imię sprawiedliwości - zapewniał.

- Ale twe metody nie są sprawiedliwe. A teraz zejź mi z oczu albo wyrośnie ci ryj i kręcony ogon.

- Czary są zakazane na ziemiach księcia Vo Mimbre - oznajmił, jakby to czyniło jakąś różnicę.

- Doprawdy? A jak masz zamiar mi przeszkodzić? - Skierowałem swą laskę na pobliski pień drzewa i rozsadziłem go na drzazgi. - Kusisz los, baronie. Równie dobrze mogłeś to być ty. Powiedziałem, abyś zniknął mi z oczu. Zrób to, zanim stracę cierpliwość.

- Pożałujesz tego, czarodzieju.

- Nie tak jak ty, jeśli natychmiast się stąd nie ruszysz. -Uczyniłem gest w kierunku rycerza, którego dopiero co zmieniłem w wędrownego bekon, i przywróciłem mu pierwotną postać. Przez moment stał z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, potem spojrzął na mnie i uciekł, głośno krzycząc.

Uparty baron chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Polecił ludziom dosiąść koni i z ponurą miną powiódł ich na południe.

- Możecie iść do swych domów - powiedziałem chłopom. Potem wróciłem na wzgórze, aby upewnić się, że baron nie nadciągnie okrężną drogą.

Pewnie mogłem rozegrać to inaczej. Nie musiałem uciekać się do bezpośredniej konfrontacji. Mogłem odtransportować stąd barona z jego ludźmi, nawet nie ujawniając swej obecności, ale straciłem panowanie nad sobą. Często wpadam przez to w kłopoty.

Dwa dni później na przydrożnych drzewach pojawiły się listy gończe z opisem

“głupiego czarodzieja”. Mój wygląd oddano całkiem udanie, ale oferowana nagroda była obraźliwie niska.

W tej sytuacji postanowiłem ruszyć prosto do Tolnedry. Z pewnością poradziłbym sobie z ewentualnymi prześladowcami, ale po co było zawracać sobie nimi głowę? Arendia i tak zaczynała mnie nudzić. Byłem poszukiwany w wielu miejscach i jedno więcej nie czyniło różnicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pewnego ranka, późną wiosną, przeprowiłem się przez rzekę Arend, tradycyjną granicę pomiędzy Arendią i Tolnedrą. Oczywiście północny brzeg rzeki patrolowali rycerze Mimbrate, ale nie przejmowałem się tym zbytnio. W końcu miałem pewną przewagę.

Zatrzymałem się na jakiś czas w Puszczy Yordue, aby zastanowić się nad sytuacją. Mój Mistrz, wyrrywając mnie z pijackiego amoku w Camaar, nie dał mi żadnych instrukcji, więc w zasadzie byłem zdany na siebie. Nie musiałem spieszyć się w żadne miejsce, nic mnie nie goniło. Nadal jednak ciążyło mi brzemień odpowiedzialności. Można by mnie nazwać emerytowanym uczniem, wędrownym czarodziejem, włóczykijem wtykającym nos w nie swoje sprawy. Gdybym natknął się na coś ważnego, mógłbym powiadomić o tym braci z Doliny. Poza tym wędrowałem tam, gdzie mi się podobało. Moja rozpacz wcale nie zmaląła, ale nauczyłem się z tym żyć i trzymać ją pod ścisłą kontrolą. Lata spędzone w Camaar udowodniły, że nie mogę przed nią uciec.

Pełen tłumionej melancholii ruszyłem więc w kierunku Tol Honeth. Pomyślałem sobie, że skoro już tu byłem, mogłem zobaczyć, co działo się w Imperium.

W drodze na południe przekonałem się, że w Wielkim Księstwie Yordue dokonano pewnych politycznych posunięć. Honethowie ponownie byli u władzy, a ród Yordue zawsze uważał to za osobistą obrazę. Liczne znaki świadczyły o zmierzchu

drugiej dynastii Honethitów. Dynastie we wszystkich królestwach cechuje jedna osobliwość. Założyciel jest zwykle energiczny i utalentowany, ale w miarę upływu stuleci kolejni władcy coraz mniej go przypominają. Być może dlatego, że małżeństwa zawierane są niemal wyłącznie między kuzynami. Taki sztuczny dobór może sprawdzać się u koni, psów czy bydła, ale u ludzi nie jest dobrym pomysłem. Złe cechy dziedziczone są na równi z dobrymi, ale głupota zawsze wypływa na wierzch szybciej niż odwaga czy inteligencja.

W każdym razie imperatorzy z rodu Honethów staczali się w ciągu ostatniego stulecia coraz niżej, a Vorduvianie cieszyli się, czując, że zbliża się ich kolejka do tronu.

Było wczesne lato, gdy dotarłem do Tol Honeth. Ponieważ było to rodzinne miasto imperatorów, większość swego czasu i gros kosztowności ze skarbcza poświęcali na ulepszanie stolicy. Zawsze gdy w Tolnedrze u władzy znajdowali się Honethowie, inwestycje w kamieniołomach marmurów przynosiły przyzwoite zyski.

Przeszedłem północnym mostem i zatrzymałem się przy bramie do miasta, aby odpowiedzieć na pobieżne pytania legionistów trzymających tam straż. Ich zbroja robiła

wrażenie w przeciwieństwie do nich samych. Zanotowałem w pamięci, że kondycja legionów wyraźnie podupadła. Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Ulice były zatłoczone. W Tol Honeth zawsze jest tłoczno. Każdy, kto w Tolnedrze uważa się za kogoś znaczącego, ciągnie do stolicy. Dla pewnych ludzi bliskość władzy ma bardzo duże znaczenie.

Byłem religijny, w bardzo ogólnym znaczeniu tego słowa, toteż, podobnie jak w Arendii, udałem się na poszukiwanie świątyni. Główną świątynię Nedry przeniesiono od czasu mojego ostatniego pobytu, musiałem więc poprosić o wskazanie drogi. Wiedziałem, że nie warto zaczepiać żadnego z bogato odzianych kupców. Mijali mnie z chusteczkami przy nosach i wyrazem obrzydzenia na twarzach. Zwróciłem się więc do człowieka naprawiającego bruk.

- Powiedz mi, przyjacielu, którą drogą dojść do świątyni Nedry?

- Świątynia znajduje się na południe od pałacu imperatora - odparł. - Idź tą ulicą do końca, a potem skręć w lewo. Spojrzał na mnie spod oka. - Będziesz potrzebował pieniędzy na wejście do środka.

- Co takiego?

- To nowy zwyczaj. Musisz zapłacić kapłanowi przy drzwiach, aby wejść do środka - i zapłacić innemu, aby dostać się w pobliże ołtarza.

- Osobliwy zwyczaj.

- To jest Tol Honeth, przyjacielu. Nic nie ma za darmo, a kapłani są tak samo chciwi jak wszyscy.

- Chyba będę miał dla nich coś lepszego niż pieniądze.

- Nie zakładałbym się, ale powodzenia.

- Zdaje się, że coś ci upadło, przyjacielu. - Wskazałem na dużego miedzianego tolnedrańskiego pensa, którego właśnie wyczarowałem i upuściłem przy jego lewym kolanie. W końcu zasłużył sobie, był mi pomocny.

Mężczyzna szybko pochwycił pensa - pewnie równowartość dziennego zarobku - i rozejrzał się wokół ukradkiem.

- Miłej pracy - powiedziałem i ruszyłem dalej ulicą. Świątynia Nedry przypominała pałac. Była imponującą

marmurową budowlą, od której biło ciepło mauzoleum. Zwykli ludzie modlili się przed niewielkimi niszami w murach. Wnętrze zarezerwowane było dla tych, których stać było na uiszczenie stosownej opłaty.

- Muszę porozmawiać z arcykapłanem - rzekłem do duchownego strzegącego wielkich

wrót.

Kapłan zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Absolutnie wykluczone. Powinieneś to wiedzieć, i bez proszenia.

- Ja nie proszę. Ja ci każę. Idź go poszukać albo zjedź mi z drogi, to sam to zrobię.

- Wynoś się stąd.

- To nie wróży dobrego początku, przyjacielu. Spróbujmy jeszcze raz. Nazywam się Belgarath i przybyłem zobaczyć się z najwyższym kapłanem.

- Belgarath? - Roześmiał się ironicznie. - Nie ma kogoś takiego. Wynoś się.

Przemieściłem go kilkaset jardów w głąb ulicy i wmaszerowałem do środka. Zdecydowanie musiałem rozmówić się z arcykapłanem na temat praktyk pobierania opłat za wejście do miejsca kultu; nawet Nedra by tego nie pochwalił. Świątynia roiała się od kapłanów, a każdy zdawał się wyciągać rękę. Uniknąłem dalszych problemów dzięki zsuniętej zawadiacko na Ucho aureoli. Nie jestem pewny, czy w tolnedrańskiej religii jest miejsce dla świętych, ale udało mi się przyciągnąć uwagę duchownych i nakłonić ich do szczerzej współpracy. I nawet nie musiałem za to płacić.

Arcykapłan nazywał się Arthon. Był grubasem o wydatnym brzuchu i nosił kosztowne szaty. Spojrzał na moją aureolę i powitał mnie z bojaźliwym entuzjazmem. Przedstawiłem się, co zdenerwowało go jeszcze bardziej. Nie moją sprawą było, że gwałcił zasady, ale nie widziałem powodu, by mu o tym mówić.

- Słyszeliśmy o twoich przygodach w Małłorei, święty Belgaracie - odezwał się do mnie wylewnie. - Czy naprawdę zabiłeś Toraka?

- Ktoś ci nagadał bzdur, Arthonie - odparłem. - Nie mnie czynić takie rzeczy. Udaliśmy się tam jedynie po to, aby odzyskać to, co zostało skradzione.

- Ach, tak. - Arthon wyglądał na rozczarowanego. - Czemu zawdzięczamy Twą wizytę, Prastary?

- Uprzejmości - odrzekłem ze wzruszeniem ramion. -Przechodziłem tędy i pomyślałem, że powinienem do ciebie zajrzeć. Czy miałeś jakieś wieści od Nedry?

- Nasz Bóg odszedł, Belgaracie - przypomniał mi.

- Wszyscy Bogowie odeszli, Arthonie. Mają jednak swoje sposoby kontaktowania się z nami. Belar przemówił do Rivy we śnie, a ledwie kilka miesięcy temu Aldur w ten sam sposób mnie odwiedził. Zwracaj uwagę na swe sny. One mogą mieć znaczenie.

- Ze sześć miesięcy temu miałem osobliwy sen - przypomniał sobie. - Zdawało mi się, że Nedra do mnie przemówił.

- Co powiedział?

- Już zapomniałem. Chodziło chyba o pieniądze.

- Jak zawsze. - Zastanowiłem się chwilę. - Chodziło pewnie o ten wasz nowy zwyczaj. Nie sądzę, aby Nedra pochwalał praktykę pobierania opłat za wejście do świątyni. Jest Bogiem wszystkich Tolnedran, nie tylko tych, których stać na kupienie sobie wstępu do świątyni.

Na twarzy Arthona pojawił się wyraz konsternacji.

- Ale... - zaczął protestować.

- Widziałem niektóre z bestii zamieszkujących piekło, Arthonie - poinformowałem go z przekonaniem. - Nie chciałbyś ich towarzystwa. Ale to już zależy od ciebie. Co słychać w Tolnedrze?

- Niewiele, Belgaracie - powiedział wymijająco, ale na odległość czuć było, że próbuje coś ukryć.

- Nie bądź taki nieśmiały, Arthonie - zachęciłem znużony. - Kościół nie powinien mieszać się do polityki. A ty brałeś łapówki, prawda?

- Skąd o tym wiesz? - zapytał z lekkim drżeniem w głosie.

- Potrafię czytać w tobie jak w otwartej księdze, Arthonie. Zwróć pieniądze i trzymaj się z dala od polityki.

- Musisz złożyć wizytę imperatorowi - oznajmił, zręcznie zmieniając temat.

- Spotykałem się już poprzednio z członkami rodu Honethów. Jeden niewiele różni się od drugiego.

- Jego Wysokość poczuje się urażony, jeśli nie złożysz mu wizyty.

- Oszczędź mu zatem bólu. Nie mów mu, że tu byłem. Oczywiście nie chciał nawet o tym słyszeć. Zdecydowanie

nie chciał, abym zaczął dociekać, od kogo dostał łapówkę lub

ile przypada mu w udziale z opłat za wejście do świątyni. Odprowadził mnie więc do pałacu, który aż roił się od członków rodu Honethów. Protekcja jest esencją tolnedrańskiej polityki. Nawet poborczy myta na większości mostów zwodzonych w Imperium zmieniają się wraz z dojściem do władzy nowej dynastii.

Obecnym imperatorem był Ran Honeth Dwudziesty-ileś-|am, który zarzucił imbecyizm na korzyść niezglębionego terytorium idiotyzmu. Jak zwykle w takich sytuacjach, nadgorliwy członek rodziny zaopiekował się ułomnym krewniakiem, skrupulatnie opatrując własne dekrety sentencją: "Imperator postanowił..." lub inną równie bzdurną formułką, pozwalając tym samym kretynowi na tronie zachować godność. Krewny, w tym wypadku bratanek, przez dwa dni kazał nam czekać W przedpokoju, gdy tymczasem przed oblicze imperatora

wprowadzano różnych wysoko postawionych Tolnedran.

W końcu miałem tego dość.

- Chodźmy, Arthonie - powiedziałem do kapłana Nedry. -Mamy co innego do roboty.

- Nie możemy! - rzucił zdławionym głosem Arthon. - Zostałoby to poczytane za śmiertelną zniewagę!

- I co z tego? W swym życiu obrażałem bogów, Arthonie. Nie przejmę się urażeniem uczuć półgłupka.

- Pozwól mi jeszcze raz porozmawiać z marszałkiem dworu. Arthon poderwał się na nogi i ruszył pospiesznie na drugi koniec komnaty, by porozmawiać z bratankiem imperatora.

Bratanek był typowym Honethem. Jego pierwszą reakcją było spojrzenie na mnie z góry.

- Będziecie czekać, dopóki Jego Wysokość Imperator nie zechce was widzieć - rzekł do mnie wyniosłym tonem.

Skoro czuł się tak wyniośle, postawiłem go pod sufitem, aby mógł dosłownie patrzeć na ludzi z góry. Zaręczam wam, że to było paskudne, ale on nie był lepszy.

- Nie sądzisz, że Jego Imperatorska Wysokość zechciałaby nas już widzieć, stary? - zapytałem go uprzejmym tonem. Zostawiłem go tam jeszcze chwilę, aby upewnić się, że zrozumiał, o co mi chodzi, po czym ponownie postawiłem na ziemi.

Natychmiast dostaliśmy się przed oblicze imperatora.

Ten Ran Honeth siedział na tronie ssąc kciuk. Degeneracja linii posunęła się dalej, niż przypuszczałem. Zajrzałem w jego myśli i niczego tam nie znalazłem. Niepewnie wyrecytował kilka grzecznościowych formułek - dreszcz mnie przeszedł na myśl, ile czasu musiało mu zająć ich zapamiętanie - a potem pozwolił nam odejść. Jego wystąpienie nieco urozmaicał fakt, że czterdzieści kilka lat ssania kciuka znacznie zdeformowało jego zgryz. Przypominał królika i okropnie seplenił.

Wycofując się w ukłonach z sali tronowej, oszacowałem nastrój imperatorskiego bratanka i uznałem, że najwyższy czas, bym opuścił Tol Honeth. Gdy tylko gość odzyska zimną krew, drzewa w okolicy zostaną upstrzone kolejnymi listami gończymi. To zaczynało stawać się zwyczajem.

Myślałem o tym po drodze do Tol Borune. Odkąd porzuciłem pijacki tryb życia, w niewłaściwy sposób wykorzystywałem swój dar. Wola i Słowo to poważne sprawy, a moje żarty były w złym guście. Pomimo rozpaczy nadal byłem uczniem Mistrza, nie jakimś wędrownym kuglarzem. Mógłbym pewnie zasłonić się stanem swego ducha, ale tego nie

zrobię. Oczekiwano, że mam więcej rozumu.

Minąłem Tol Borune, głównie dlatego, aby uniknąć kolejnych sposobności do zamiany zaczepnych ludzi w świnie lub zawieszania ich dla zabawy w powietrzu. To chyba był dobry pomysł; jestem pewny, że Boruni, by mnie zdenerwowali. Mam dużo szacunku dla rodu Borunów, ale oni potrafią czasami być okropnie głupi.

Przepraszam, Ce'Nedro. Nie miałem zamiaru być uszczypliwy.

W każdym razie przebyłem ziemie rodu Anadile i w końcu dotarłem na północny kraniec Lasu Driad. W ciągu minionych wieków okolica nieco się zmieniła, ale wydaje mi się, że poszedłem niemal tą samą drogą, którą przebyłem z przyjaciółmi trzy tysiące lat później, gdy wędrowaliśmy na południe w poszukiwaniu Klejnotu Aldura. Wielokrotnie rozmawialiśmy z Galionem na temat "powtórzeń". Być może to jeszcze jedna oznaka zakłócenia celu wszechświata. Z drugiej jednak strony to, iż poszedłem tą samą drogą, mogło być spowodowane tym, że wiodła na południe oraz że ją znałem. Zwykle za wszelką cenę staramy się dopasować fakty do teorii.

Nawet w tamtych czasach Las Driad był prastarą dębową puszczą, w której panował osobliwy nastrój pogodnej świętości. Ludzie mają skłonność do oddzielania religii od swego życia. Życie Driad było religią, więc nie musiały myśleć - czy mówić - o niej. To było krzepiące.

Minął tydzień, nim zobaczyłem Driadę. To nieśmiałe, drobne stworzenia, którym nie zależy szczególnie na kontakcie z przybyszami - z wyjątkiem pewnego okresu w roku. Wszystkie Driady są rodzaju żeńskiego, więc muszą co jakiś czas nawiązywać kontakty z samcami - różnych gatunków - w celach prokreacyjnych.

Pewny jestem, że wiecie już, o co chodzi.

Naprawdę nie szukałem żadnej Driady. Formalnie są "potworami", choć z pewnością nie tak niebezpiecznymi jak eldra-tó czy algothy, ale pomimo to nie chciałem żadnych nieporozumień.

Najwyraźniej jednak była to "ta pora roku" dla pierwszej z napotkanych Driad, ponieważ porzuciła zwykłą wstydliwość i usiłowała mnie dopaść. Stała na środku ścieżki, którą szedłem. Miała płomiennie rude włosy i filigranową budowę ciała. Trzymała jednak napięty łuk, a strzała była wymierzona prosto w moje serce.

- Lepiej się zatrzymaj - poradziła mi.

Uczyniłem to natychmiast.

Gdy już upewniła się, że nie będę próbował uciec, stała się bardzo przyjacielska. Powiedziała, że nazywa się Xanta i ma względem mnie pewne plany. Przeprosiła nawet za

łuk. Wyjaśniła, że wędrowcy są w Lesie rzadkością i Driady, jeśli chcą wcielić w życie swe zamiary, muszą uważać, aby nie uciekli.

Próbowałem wytłumaczyć, że jej propozycja była bardzo nie na miejscu, ale chyba to do niej nie dotarło. Była bardzo zdecydowaną osobką.

Myślę, że na tym poprzestaną. To, co wydarzyło się potem, nie ma istotnego znaczenia dla mojej opowieści.

Driady zwykle dzielą się wszystkim ze swymi siostrami, więc Xanta poznała mnie z innymi Driadami. Wszystkie mnie rozpieszczały, ale to nie zmieniało faktu, że byłem więźniem - niewolnikiem, mówiąc bez ogródek - i moje położenie było bardziej niż poniżające. Jednakże nie dawałem tego po sobie poznać. Dużo uśmiechałem się, robiłem to, czego ode mnie oczekiwano i wypatrywałem okazji. Gdy tylko znalazłem się na chwilę sam, przybrałem postać wilka i umknąłem w las. Oczywiście rzuciły się za mną w pogoń, ale nie wiedziały, czego szukać, więc bez problemu udało mi się uniknąć pościgu.

Dotarłem na północny brzeg Leśnej Rzeki, przepłynąłem ją i otrząsnąłem wodę z futra. Zapamiętajcie sobie: jeśli przybierzecie postać zwierzęcia porośniętego sierścią i zdarzy się wam zamoczyć, to przed zmianą postaci zawsze najpierw otrząśnijcie się z wody. W przeciwnym razie po powrocie do własnej postaci, wasze ubranie będzie ociekać wodą.

Byłem teraz w Nyissie, więc nie musiałem już martwić się Driadami. Zamiast tego zacząłem wypatrywać węży. Normalni ludzie starają się kontrolować ich populację, ale wąż jest częścią religii Nyissan, więc oni tego nie czynią. Ich dżungle dosłownie roją się od pełzających gadów - a wszystkie są jadowite. Podczas pierwszego dnia pobytu na tych cuchnących mokradłach trzykrotnie zostałem ukąszony i to uczyniło mnie nad wy-jaz ostrożnym. Na szczęście bez trudu zneutralizowałem jad, ale ukąszenia węży nigdy nie są przyjemne.

Wojna z Maragami poważnie zmieniła społeczeństwo Nyissan. Przed najazdem Maragów Nyissanie wycięli znaczne po-tacie dżungli i wybudowali miasta oraz łączące je drogi. Jednak trakty ułatwiały napaści, a miasta świadczyły o zamożności ich mieszkańców. Równie dobrze można było wystosować zaproszenie do najazdu. Salmisara uświadomiła to sobie i poleciła swym poddanym rozproszyć się i pozwolić dżungli odzyskać miasta i drogi. Tym sposobem pozostała tylko stolica W Sthiss Tor, a skoro sam wyznałyem sobie zadanie zbadania sytuacji w królestwach Zachodu, postanowiłem złożyć wizytę Królowej Wężowego Ludu.

Najazd Maragów przydarzył się około stu lat temu, ale do tej pory przetrwały po nim ślady. Porzucone miasta, zarośnięte pnączami i zaroślami, nadal nosiły ślady ognia i

zniszczeń spowodowanych przez maszyny oblężnicze. Nyissanie skrupulatnie unikali tych niegościnnych ruin. Nyissa jest państwem teokratycznym. Salmisara jest nie tylko królową, ale również najwyższą kapłanką Boga-Węża. Toteż gdy wyda rozkaz, lud ślepo jej słucha, a ona rozkazała mu żyć w gęszczu z węzami.

Trochę bolały mnie nogi i byłem bardzo głodny, gdy dotarłem do Sthiss Tor. W Nyissie trzeba uważać, co się je. Wiele roślin, ptaków i zwierząt jest trujących lub ma działanie narkotyczne.

Znalazłem przystań promową i przepравиłem się przez Rzekę Węża do barwnego miasta Sthiss Tor. Nyissanie to natchnieni ludzie. Wszędzie indziej uważa się, że natchnienie jest darem Bogów, ale Nyissanie znaleźli łatwiejszy sposób osiągnięcia szczególnej ekstazy. Dżungla pełna jest różnorodnych roślin o dziwnych właściwościach, a Wężowy Lud nie bał się eksperymentów. Znałem kiedyś Nyissana, który był uzależniony od dziewięciu różnych narkotyków. Nie spotkałem szczęśliwszego człowieka. Nie chciałbym jednak mieszkać w domu zaprojektowanym przez architekta o chemicznie rozbudowanej wyobraźni. Zakładając, że nie zawaliłby się na robotników w czasie budowy, bardzo prawdopodobne, że nabyłby pewnych osobliwych elementów - schodów biegnących donikąd, pokoi, do których nie można by wejść, drzwi otwierających się w pustkę i całą masę innych niedogodności. Jest również wielce prawdopodobne, że byłby pomalowany na kolor, który nie ma nazwy i nigdy nie pojawiał się w żadnej tęczy.

Wiedziałem, gdzie znajdował się pałac Salmisary. Byliśmy z Beldinem w Sthiss Tor podczas najazdu Maragów, więc nie musiałem pytać o drogę ludzi, którzy sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują.

W pałacu pracowali tylko ogoleni na łyso eunuchowie. Było to uzasadnione z logicznego punktu widzenia. Od wczesnego dzieciństwa kandydatki na Salmisarę poddawano działaniu różnych substancji spowalniających normalny proces starzenia. Było bardzo ważne, aby Salmisara zawsze wyglądała tak samo jak pierwsza służebnica Issy. Niestety, jednym z efektów ubocznych działania owych substancji, był znaczący wzrost apetytu królowej - i nie mam tu na myśli jedzenia. Salmisara miała władać królestwem, a jeśli jej służba składałaby się z pełnowartościowych mężczyzn, to pewnie nie mogłaby tego robić.

Wybaczenie, staram się wyrażać możliwie najoględniej.

Oczywiście królowa wiedziała, że przybywam. Jednym z wymagań stawianych kandydatkom do tronu Nyissy jest zdolność widzenia tego, czego inni nie dostrzegali. Nie jest to dokładnie taki sam dar jak nasz, ale spełnia swoje zadanie. Eunuchowie przywitali mnie

pełnymi uniżoności ukłonami i niezwłocznie zaprowadzili do sali tronowej. Obecna Salmissara wyglądała naturalnie tak samo jak jej poprzedniczki. Spoczywała półleżąc na otomanopodobnym tronie i podziwiała swe odbicie w lustrze, głaszcząc pstry łeb węża. Jej suknia była tak przezroczysta, że niewiele pozostawiała wyobraźni. Ogromny posąg Issy, Boga-Węża, mającym za podwyższeniem, na którym leżała jego obecna służka.

- Bądź pozdrowiona, Wieczna Salmissaro - zaintonował eunuch, który mi towarzyszył, rozplaszczając się na wypolerowanej posadzce.

- Naczelnny Eunuch zbliża się do tronu - zaintonował chór kilkunastu odzianych na czerwono dworzan.

- O co chodzi, Sthessie? - odparła Salmissara obojętnym tonem.

- Prastary Belgarath błaga o posłuchanie u Ukochanej Issy. Salmissara powoli odwróciła głowę i utkwiała we mnie spojrzeniem swych bezbarwnych oczu.

- Służebnica Issy pozdrawia ucznia Aldura - oznajmiła.

- Szczęśliwy uczeń Aldura, gdy przyjmuje go królowa Wężowego Ludu - zaintonował chór.

- Dobrze wyglądasz Salmissaro - odparłem, oszczędzając pół godziny nudnych formalności.

- Naprawdę tak myślisz, Belgaracie? - spytała z dziewczęcą naiwnością, co pozwalało sądzić, że była jeszcze całkiem młoda - prawdopodobnie nie więcej niż dwa, trzy lata na tronie.

- Zawsze dobrze wyglądasz, moja droga - odparłem. Te czułe słówka były pewnie pogwałceniem różnego rodzaju zasad, ale uznałem, że biorąc pod uwagę jej wiek, mogłem sobie na to pozwolić.

- Czcigodny gość pozdrawia Wieczną Salmissarę - oznajmił chór.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy to sobie darować? - zapytałem, wskazując na klęczących eunuchów. - Musimy porozmawiać, a całe to śpiewanie rozprasza moją uwagę.

- Prywatna audjencja, Belgaracie? - spytała figlarnie. Mrugnąłem do niej łobuzersko.

- Wolą naszą jest, by Prastary mógł wyjawić nam swe myśli na osobności - oznajmiła swym poddanym. - Macie nasze pozwolenie na odejście.

- Coś takiego! - usłyszałem, jak któryś mruknął z oburzeniem.

- Zostań, jeśli chcesz, Kassie - powiedziała Salmissara obojętnym tonem. - Wiedz jednak, że nikt żywy nie usłyszy o tym, co zaszło między mną a uczniem Aldura. Odejdź i żyj lub zostań i umrzyj. - Miała styl, muszę przyznać. Po tej propozycji natychmiast opróżniła się sala tronowa.

- A zatem - powiedziała, rzucając mi czarujące spojrzenie - teraz gdy jesteśmy już sami... - Zawiesiła znacząco głos.

- Och, przestań mnie kusić, kochanie - rzekłem, uśmiechając się. Beldin poradził sobie w ten sposób, więc i ja mogłem spróbować.

Salmissara faktycznie się roześmiała. Wówczas jedyny raz słyszałem, by któraś z ponad setki Salmissar śmiała się głośno.

- Przystąpmy do rzeczy, Salmissaro - zaproponowałem dziarsko. - Przeprowadzam inspekcję królestw Zachodu i myślę, że możemy korzystnie wymienić informacje.

- Z niecierpliwością oczekuję twych słów, Prastary - powiedziała, a jej twarz przybrała nieobecny wyraz. Miała bardzo bystry umysł i rozwinięte poczucie humoru. Pospieszenie zmieniłem swe podejście. Inteligentna Salmissara była niebezpieczną nowością.

- Wiesz oczywiście, co wydarzyło się w Mallorei - zacząłem.

- Tak - odparła po prostu. - Moje gratulacje.

- Dziękuję

- Może zechciałbyś usiąść tutaj? - zaprosiła. Uniosła się przy tym nieco i poklepała miejsce na sofie obok siebie.

- Dzięki, ale lepiej mi się myśli na stojąco. Aloria jest teraz podzielona na cztery oddzielne królestwa.

- Tak, wiem. Jak udało ci się nakłonić do tego Chereka?

- To nie ja. To Belar.

- Czy Cherek rzeczywiście jest tak religijny?

- Nie był zachwycony, ale zrozumiał konieczność tego posunięcia. Riva ma teraz Klejnot Aldura i przebywa na Wyspie Wiatrów. Możesz ostrzec swych kapitanów, aby trzymali się z dala od Wyspy. Cherek ma flotyllę okrętów wojennych. Zatopią każdy statek, który zbliży się na pięćdziesiąt lig do wyspy

Rivy.

Jej bezbarwne oczy przybrały przebiegły wyraz.

- Przyszła mi właśnie do głowy bardzo interesująca myśl, Belgaracie.

- Jaka?

- Czy Riva jest już żonaty?

- Nie. Nadal jest kawalerem.

- Możesz mu powiedzieć, że ja także jeszcze nie jestem zamężna. Czyż to nie przychodzi ci na myśl czegoś interesującego? Bo mnie tak.

Omam mnie nie zatkało.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Nie sądzisz, że warto się nad tym zastanowić? Nyissa to mały naród, a moi ludzie nie są zbyt dobrymi żołnierzami. Najazd Maragów uzmysłowił nam to. Mój ślub z Rivą doprowadziłby do bardzo interesującego przymierza.

- Czyż prawo nie mówi, że nie wolno ci wychodzić za mąż?

- Prawa są nudne, Belgaracie. Ludzie, tacy jak my, mogą je zlekceważyć, gdy im to odpowiada. Bądźmy szczerzy. Jestem jedynie malowaną władczynią słabego narodu i nie bardzo mi się to podoba. Wolałabym mieć prawdziwą władzę. A sojusz z Alornami mógłby mi to umożliwić.

- Występujesz przeciwko tradycji, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Z tradycjami jest tak samo jak z prawami, Belgaracie. Stworzono je po to, by ignorować. Issa długo już drzemie. Świat się zmienił, a jeśli Nyissa również się nie zmieni, to zostaniemy z tyłu. Będziemy małą, prymitywną oazą. Myślę, że ja mogłabym zacząć coś nowego.

- To się nie uda, Salmissaro - stwierdziłem.

- Masz na myśli moją bezpłodność? Mogę o to zadbać. Muszę jedynie przestać brać narkotyki i będę równie płodna jak każda młoda kobieta. Będę w stanie dać Rivie syna, by władał jego królestwem, a on da mi córkę, by władała tutaj. Moglibyśmy zmienić strukturę władzy w tej części świata.

Roześmiałem się.

- Doprowadzilibyście Tolnedran do hysterii, jeśli nie czegoś gorszego.

- Już samo to warte jest zachodu.

- Istotnie, ale obawiam się, że nic z tego. Riva jest już zaklepany.

- Tak? Kim jest ta szczęściara?

- Nie mam pojęcia. To jedno z tych małżeństw zaplanowanych w Niebiosach. Bogowie już wybrali Rivie narzeczoną.

Salmissara westchnęła.

- Szkoda - rzuciła półgłosem. - No cóż. Riva jest jeszcze chłopcem. Mogłabym go co prawda poduczyć, ale to trąci nudą. Wolę doświadczonych mężczyzn.

Pospiesznie zmieniłem temat. To była bardzo niebezpieczna młoda dama.

- Arendzka wojna domowa przybiera na sile. Asturia i Wacune sprzymierzyły się przeciwko Mimbre - a przynajmniej tak było podczas mojej ostatniej wizyty. To było całe dwa miesiące temu, więc do chwili obecnej sytuacja mogła ulec zmianie.

- Arendowie - westchnęła, przewracając oczyma.

- Amen. W Tolnedrze druga dynastia Honethitów chyli się ku upadkowi. Być może uda im się jeszcze wydusić jednego lub dwóch imperatorów, ale ta studnia już niemal wyschła. Vorduvianie czekają w pogotowiu - nie bardzo cierpliwie.

- Nie cierpię Vorduvian - oświadczyła.

- Ja również. Jednak będziemy musieli ich znieść.

- Chyba tak. - Umilkła na chwilę i przymknęła oczy. - Słyszałam o twojej stracie - powiedziała, jakby badając grunt. - Przyjmij wyrazy szczerego współczucia.

- Dziękuję. - Udało mi się odpowiedzieć spokojnym tonem.

- Przyszła mi na myśl inna możliwość. Oboje jesteście obecnie wolni. Związek z tobą mógłby być nawet bardziej interesujący niż z Rivą. Chyba zdajesz sobie sprawę, że Torak nie zostanie w Mallorei na zawsze. Już wysłała zwiadowców lądowym przejściem. Obecność Angaraków na tym kontynencie jest jedynie kwestią czasu, a to pociągnie za sobą obecność Grolimów. Nie sądzisz, że powinniśmy zacząć przygotowania?

W tym momencie zrobiłem się bardzo ostrożny. Najwyraźniej miałem tu do czynienia z politycznym geniuszem.

- Znowu mnie wodzisz na pokuszenie, Salmisaro. - Oczywiście skłamałem, ale myślę, że dała się nabrać na moje zainteresowanie. Potem westchnąłem. - Niestety, to zabronione.

- Zabronione?

- Przez mojego Mistrza. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, aby się sprzeciwić.

Salmisara westchnęła.

- Jaka szkoda. Zdaje się, że w tej sytuacji zostają mi tylko Alornowie. Może zaproszę Drasa lub Algara do złożenia wizyty w Sthiss Tor.

- Oni mają obowiązki na Północy, Salmisaro, a ty masz swoje tutaj. Marne byłoby z tego małżeństwo, bez względu na to, którego byś wybrała. Rzadko byście się widywali.

- To najlepszy rodzaj małżeństwa. Nie mielibyśmy szansy znudzić się sobą. - Nagle uderzyła dłonią w oparcie tronu. - Nie chodzi mi o miłość, Belgaracie. Potrzebuję sojuszu, nie rozrywki. Znalazłam się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Byłam na tyle głupia, że pozwoliłam, by wymknęło mi się parę rzeczy, gdy wstąpiłam na tron. Eunuchowie wiedzą, że nie jestem jedynie

głupią dziewczyną zżeraną przez żądze. Jestem pewna, że już ćwiczą kandydatki na mój tron. Gdy tylko jedna z nich zostanie wybrana, eunuchowie mnie otrują. Jeśli nie znajdę żadnego Alorna na męża, będę musiała wziąć Tolnedrana - lub Arenda. Od tego zależy moje życie, starcze.

W końcu zrozumiałem. Kierowała nią nie tyle ambicja, ile instynkt samozachowawczy.

- Masz przecież inne wyjście - powiedziałem. - Uderz pierwsza. Pozbądź się swych eunuchów, nim oni będą gotowi pozbyć się ciebie.

- Już o tym myślałam, ale to się nie uda. Oni aplikują sobie antidotum na wszystkie znane trucizny.

- O ile wiem, nie ma antidotum na pchnięcie nożem w serce, Salmissaro.

- Nie załatwiamy tak spraw w Nyissie.

- A zatem twoi eunuchowie nie będą się tego spodziewać, prawda?

Oczy Salmissary zwięzły się.

- Tak - przyznała - nie będą. - Nagle zachichotała. - Oczywiście będę musiała załatwić ich wszystkich naraz, ale krwawa łaźnia będzie niezłą lekcją, prawda?

- Minie sporo czasu, nim ktokolwiek spróbuje ci wejść w drogę, moja droga.

- Jakież z ciebie cudowny staruszek - odparła z wdzięcznością. - Będę musiała znaleźć jakiś sposób, by cię nagrodzić.

- Doprawdy nie trzeba mi pieniędzy, Salmissaro. Rzuciła mi powłóczyście spojrzenie.

- Zatem pomyślę o czymś innym. Uznałem, że lepiej będzie zmienić temat.

- Co słyhać na Południu?

- To ty mi powiedz. Mieszkają tam zachodni Dalowie. Nikt nie wie, co robią Dalowie. W jakiś sposób kontaktują się z wyrocznią w Kell. Myślę, że wszyscy powinniśmy na nich uważać. Pod wieloma względami są niebezpieczniejsi od Angaraków.

Och, niemal zapomniałam ci powiedzieć. Torak opuścił ruiny Cthol Mishrak. Znajduje się teraz w Górach Karandy, w miejscu zwanym Ashaba. Przekazuje rozkazy Grolimom przez Ctuchika lub Urrona. Nikt nie wie, gdzie jest Zedar. - Przerwała. - Na pewno nie chcesz usiąść tu, obok mnie? - spytała ponownie. - Naprawdę nie musimy brać ślubu. Jestem pewna, że Aldur nie miałby nic przeciwko takiemu nieformalnemu układowi. Chodź, usiądź przy mnie, Belgaracie i porozmawiajmy o nagrodzie. Jestem pewna, że potrafię wymyślić coś, co ci się spodoba.

ROZDZIAŁ TRZECI

Biorąc pod uwagę wszystkie kłopoty, jakich przysporzył mi długi łańcuch Salmissar, uczucia, jakimi darzyłem tę z nich, były nieco niezwykłe, tak jak i ona sama. Przy wyborze każdej nowej królowej Nyissy niemal wyłącznie kierowano się jej wyglądem zewnętrznym. W określonym momencie życia rządzącej królowej wybierano dwadzieścia kandydatek na jej następczynię. Eunuchowie uzbrojeni w podobizny pierwszej Salmissary przemierzali królestwo, porównując z obrazem twarzy wszystkich dwunastoletnich dziewcząt. Wybierano dwadzieścia i zabierano na naukę do posiadłości w pobliżu Sthiss Tor. Po śmierci starej królowej na podstawie wnikliwej obserwacji całej dwudziestki wybierano jedną, która miała zasiąść na tronie. Pozostałe dziewiętnaście zabijano. To było brutalne, ale słuszne z politycznego punktu widzenia. Decydującymi czynnikami przy elekcji był wygląd i zachowanie. W ten sposób istniały jednakowe szanse wyboru geniusza lub idiotki. Tym razem trafiła im się inteligentna królowa. Oczywiście była piękna. Salmissara zawsze jest piękna. Naturalnie była odpowiednio zmanierowana, jako że jej życie zależało od tego. Była jednakże na tyle sprytna, by ukrywać swą inteligencję, poczucie humoru i silną osobowość - dopóki nie wstąpiła na tron. Wyobrażam sobie, jak wściekli byli eunuchowie, gdy odkryli jej prawdziwą naturę - w każdym razie byli wystarczająco wściekli, by planować jej usunięcie.

Lubiłem ją. Była inteligentną młodą kobietą, która w tej sytuacji radziła sobie, jak mogła najlepiej. Jak wspomniała, rozliczne narkotyki, które zażywała, aby zachować swój wygląd, czyniły ją bezpłodną, ale miała już gotowe rozwiązanie tego problemu. Zawsze zastanawiałem się, co by się wydarzyło, gdyby wyszła za męża. To mogłoby zmienić bieg historii w tej części świata.

Zmitrężyłem w jej pałacu kilka tygodni, po czym, raczej z żalem, ruszyłem dalej. Moja gospodyni wspaniałomyślnie wypożyczyła mi swą królewską łódź i dla odmiany z fasonem popłynąłem Rzeką Węża ku wodospadom w jej górnym biegu.

Gdy barka dotarła do wodospadów, zszedłem na północny brzeg i ruszyłem wijącym się przez góry szlakiem do Maragoru.

Z wielką ulgą opuściłem mokradła Nyissy. Po pierwsze, nie musiałem ciągle uważać na węże, a po drugie, pozbyłem się towarzyszącej mi uparcie chmury moskitów. Sam nie wiem, co było gorsze. W górach powietrze było chłodniejsze, a las się przerzedził. Zawsze lubiłem góry.

Miałem nieco kłopotów na granicy z Maragorem. Maragowie nadal praktykują ów

rytualny kanibalizm, o którym opowiadał mi Beldin, i strażnikom granicznym podróżni kojarzyli się z pożywieniem. Bez większego problemu jednak przekonałem ich, że nie smakowałbym za dobrze, a następnie ruszyłem na północny wschód, w kierunku stolicy, Mar Amon.

Zdaje mi się, że wspominałem już o pewnych osobliwościach kultury Maragów, ale podejrzewam, że w tym momencie należy dodać więcej szczegółów. Bóg Mara był wielkim miłośnikiem fizycznego piękna. W przypadku kobiet sprawa była prosta; były lub nie były urodziwe. Jednakże mężczyźni na miano pięknego musieli sobie zapracować. Piękno męskiego ciała wymaga rozwoju mięśni, więc Maragowie wiele czasu spędzali na podnoszeniu ciężkich przedmiotów nad głowy. Po jakimś czasie jednak zaczęło im się to nudzić. Posiadanie góry mięśni nie ma wielkiego sensu, jeśli do niczego ich nie używasz. Mężczyźni wynaleźli więc różnego rodzaju zawody - biegi, skoki, rzuty różnymi rzeczami, pływanie i tym podobne. Niestety, na pewnym etapie rozwoju mięśni zaczęły ściskać głowę i redukować wielkość mózgu. Z czasem wszyscy mężczyźni Maragów byli piękni niczym marmurowe posągi - i niemal równie inteligentni. Absolutnie nie byli w stanie zatroszczyć się o siebie, więc kobiety musiały przejąć sprawy w swe ręce. One były właścicielkami wszystkich nieruchomości i zapewniały utrzymanie swym dziecięciom mężczyznom. Organizowały też dla nich zawody lekkoatletyczne.

Wśród Maragów było wiele więcej kobiet niż mężczyzn, ale nie stanowiło to żadnego problemu, jako że tamtejsi mężczyźni byłiby marnymi mężami. Maragowie doskonale sobie radzili bez instytucji małżeństwa. Byli szczęśliwi, cieszyli się życiem, cechowała ich uprzejmość i wielkoduszność. Zdawali się niezdolni do zazdrości i irracjonalnej zaborczości typowej dla innych kultur.

Myślę, że tyle wystarczy. Z jakichś powodów Polgara nigdy nie miała najlepszej opinii o Maragach i moje dalsze wywody dostarczyłyby jej jedynie pretekstu do gderania.

Jeszcze tylko jedno. Maragowie nie mieli władcy. Zamiast tego mieli Radę Matriarchalną - dziewięć kobiet w średnim wieku, zapewne mądrych, które podejmowały wszystkie decyzje. Było to nieco nietypowe rozwiązanie, ale sprawdzało się całkiem dobrze.

Maragor położony jest w przyjemnej, żyznej rzecznej dolinie, w południowej części Gór Tomedrańskich. Występują tam wyjątkowo bogate złoża minerałów, a rwące potoki spływające do doliny, w której żyli Maragowie, wymywały z pokładów najrozmaitsze minerały i liczne kamienie szlachetne. Dla niewprawnego oka diamenty, szafiry i szmaragdy wydają się zwykłymi kamieniami. Jednakże złoto wyraźnie widać na dnach

deg strumienia w Maragorze. Maragowie nie zwracali na nie uwagi. Prowadzili handel

wymienny i w znacznej mierze byli samowystarczalni, zatem nie byli szczególnie zainteresowani handlem z innymi narodami. Tym samym nie potrzebowali pieniędzy. Ich pojęcie piękna opierało się na fizycznej atrakcyjności, więc nie dbali o posiadanie drogocennych ozdób. Po wyeliminowaniu pieniędzy i biżuterii złoto traci na znaczeniu. Jest zbyt miękkie i ciężkie, żeby miało praktyczne zastosowanie.

Jednak nie umknęło mojej uwadze. Zamarudziłem trochę w swej podróży od granicy do stolicy i udało mi się zebrać sporą sakiewkę samorodków. Trudno przejść obok, gdy w zasięgu wzroku leżą całe sterty złota.

Była już jesień, gdy dotarłem do Mar Amon, pięknego miasta leżącego kilka lig na zachód od wielkiego jeziora w centrum Maragoru. Udałem się do świątyni Mary i przedstawiłem się arcykapłance. Oczywiście, byli i kapłani, ale tak jak w całym Maragorze mężczyźni odgrywali zdecydowanie mniejszą rolę. Arcykapłanka była wysoką, przystojną kobietą po czterdziestce i nazywała się Terell. Po krótkiej rozmowie zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie interesuje jej świat zewnętrzny. To był fatalny w skutkach słaby punkt cywilizacji Maragów. Żadne miejsce nie jest na tyle izolowane, by można było ignorować resztę świata - szczególnie jeśli strumienie płyną tam złotem.

Pomimo faktu, że nie posiadałem góry mięśni i byczego karku, kobiety z Mar Amon uznały mnie za atrakcyjnego. Być może zawdzięczam to po części mojej sławie. Tamtejsi mężczyźni mogli się poszczycić co najwyżej zwycięstwem w jakichś zawodach, a ich zdolności konwersacyjne ograniczały się do niezbędnego minimum. Kobiety zaś, jak pewnie zauważyliście, lubią rozmawiać, podobnie jak ja.

Dryfowałem po Mar Amon, a wiele z rozmów, które zacząłem od "dzień dobry" rzuconego maraskiej kobiecie zamiatającej się, ciągnęło się przez kilka tygodni. Kobiety Maragów były szczodre i przyjazne, więc zawsze miałem co jeść i gdzie spać.

Jest wiele rzeczy, które można robić, aby oderwać swój umysł od kłopotów. Spróbowałem jednego z nich w Camaar i nie wyszło mi to na dobre. Ten, którego spróbowałem w Maragu, nie był aż tak wyniszczający, ale końcowy rezultat był pewnie podobny. Nadmierna zmysłowość potrafi wyjałowić umysł niemal w równym stopniu co pijaństwo. Jednakże nie jest tak zabójcza dla wątroby.

Lepiej nie ciągnijmy tego dalej.

W Mar Amon spędziłem dziewięć lat. Cały ten czas znajdowałem się w pewnego rodzaju otępieniu. Po kilku latach byłem już po imieniu ze wszystkimi kobietami w mieście.

Potem, pewnej wiosny, przybył Beldin. Jadłem właśnie śniadanie w kuchni pewnej miłej kobiety, gdy wkuśtykał przez drzwi z pochmurną miną.

- Co ty wyprawiasz, Belgaracie? - zażądał wyjaśnienia.

- Właśnie jem śniadanie A jak to wygląda?

- Moim zdaniem żyjesz w grzechu.

- Mówisz jak Ulgo, Beldinie. Definicja grzechu zmienia się w zależności od kultury. Maragowie nie uważają tych nieformalnych związków za grzeszne. Jak udało ci się mnie znaleźć"?

- To nie było trudne - warknął. - Zostawiłeś za sobą bardzo wyraźny ślad. - Podeszedł do stołu i usiadł na krześle. Moja gospodyni bez słowa przyniosła mu śniadanie. - W Camaar jesteś już legendą - mówił dalej, spoglądając na mnie spod oka. - Nigdy nie widzieli, by ktoś upijał się tak jak ty.

- Już tego nie robię.

- Tak, ale zauważyłem, że znalazłeś sobie inną rozrywkę. Budzisz we mnie odrazę. Na sam twój widok robi mi się niedobrze.

- No to nie patrz.

- Muszę. To nie był mój pomysł. Dla mnie mógłbyś utopić się w tanim piwsku lub tarzać z każdą napotkaną kobietą. Szukałem cię, bo mnie po ciebie wysłano.

- Przekaż Aldurowi moje przeprosiny. Powiedz mu, że przeszedłem na emeryturę.

- Doprawdy? Nie możesz przejść na emeryturę, ty śmieciu. Zgłosiłeś się na ochotnika i nie możesz teraz wycofać się tylko dlatego, że żal ci samego siebie.

- Odejdź, Beldinie.

- Nie, Belgaracie. Mistrz przysłał mnie, bym zabrał cię do Doliny, i mam zamiar wykonać jego polecenie, choćbyś nie chciał. Możemy to załatwić po dobroci lub nie. To już zależy tylko od ciebie. Możesz wrócić ze mną dobrowolnie - w jednym kawałku - lub zabiorę cię z powrotem w strzępach.

- Możesz mieć z tym trochę roboty, bracie.

- Nie myślę. Sądząc po tych wszystkich głupstwach, jakie wyprawiałeś z sobą po drodze, nie zostało ci już nawet tyle zdolności, by zdmuchnąć świeczkę. A teraz przestań rozczulać się nad sobą i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce - powiedział i wstał.

- Nie - odparłem i również wstałem.

- Budzisz wstręt, Belgaracie. Naprawdę sądzisz, że te minione dwanaście lat rozpusty i deprawacji cokolwiek zmieniły? Poledra nadal nie żyje, twoje córki nadal są w Dolinie, a na tobie nadal spoczywa odpowiedzialność.

- Przekażę ją tobie, bracie. Rozkoszuj się nią.

- Chyba lepiej zaczynajmy.

- Co zaczynamy?

- Walkę - odparł i wałnął mnie z całej siły w brzuch.

Beldin jest wyjątkowo silny i jego cios rzucił mnie na drugi koniec pokoju. Leżałem na podłodze, dysząc i usiłując złapać oddech, a on przykuśtykał i kopnął mnie w żebra.

- Możemy to ciągnąć przez cały tydzień, jeśli chcesz - warknął, po czym ponownie mnie kopnął.

Moje zasady uległy poważnemu nadwątleniu po latach tego, co nazwał rozpustą i deprawacją, ale nie aż tak, abym naszą wymianę poglądów zmienił w coś poważniejszego, on o tym wiedział. Dopóki jedynie kopał i rozdzielał razy, mogłem odpowiadać tylko tym samym. W końcu udało mi się wstać i przez chwilę okładaliśmy się nawzajem. Osobliwe, ale poprawiło to moje samopoczucie i myślę, że Beldin wiedział, iż tak będzie. Wreszcie padliśmy na podłogę, na wpół wyczerpani.

Z ogromnym wysiłkiem przekreślił swe zdeformowane ciało i uderzył mnie.

- Zdradziłeś swego Mistrza! - rzucił mi w twarz, po czym uderzył ponownie. - Zdradziłeś Poledrę! - dorzucił i podbił mi oko. - Zdradziłeś swe córki! - Po tych słowach, dowodząc zdumiewającej zwinności jak na leżącego na podłodze, kopnął mnie w pierś. - Zdradziłeś pamięć Belsambara i Belmakora! Jesteś nie lepszy od Zedara! - Ponownie podniósł potężną pięść.

- Przestań - powiedziałem, podnosząc drżącą rękę.

- Masz dosyć?

- Najwyraźniej.

- Wrócisz ze mną do Doliny?

- Zgoda, skoro to dla ciebie takie ważne. Beldin usiadł.

- Wiedziałem, że w końcu się ze mną zgodzisz. Mają tu coś do picia?

- Pewnie tak, ale nie rękę za jakość. Nie piłem od opuszczenia Camaar.

- To musi cię chyba nieźle suszyć.

- Nie powinienem o tym myśleć.

- Nie martw się, nie jesteś jak inni pijacy. Piłeś w Camaar ze szczególnego powodu. Ale masz to już za sobą. Po prostu nie wpadaj w nałóg.

Kobieta, której kuchnię właśnie roznieśliśmy na strzępy, przyniosła nam po kuflu piwa. Mnie wydawało się paskudne, ale Beldinowi smakowało. I to chyba niezgorzej, bo wypił jeszcze trzy. Ja nawet nie skończyłem pierwszego. Nie miałem ochoty ponownie wchodzić na tę drogę. Chciałbym, abyście

wiedzieli, że przez te wszystkie wieki więcej czasu spędziłem, trzymając kufel w dłoni,

niż pijąc z niego. Ludzie mogą sobie wierzyć, w co chcą, ale ja zaliczyłem już dość rynsztoków jak na jedno życie.

Następnego ranka przeprosiliśmy gospodynię za wszystkie zniszczenia i ruszyliśmy do Doliny. Pogoda była ładna, więc postanowiliśmy iść piechotą. Nie było szczególnego pośpiechu.

- Co słysząc? - zapytałem Beldina, gdy odeszliśmy nieco od Mar Amon.

- Angarakowie przeprawiają się lądowym przejściem - odparł.

- Tak, wiem. Salmissara mówiła mi o grupach zwiadowczych.

- To już coś więcej. O ile wiem, wszyscy mieszkańcy Cthol Mishrak są już na drugim brzegu. Najpierw przeszli żołnierze i ruszyli wzdłuż wybrzeża. Zbudowali fortecę u ujścia jednej z tych rzek, które spływają do Morza Wschodu. Nazwali swą twierdzę Rak Goska, a o sobie mówią "Murgo". Nadal są Angarakami, ale zdaje się, że czują potrzebę odróżnienia się od tych, którzy pozostali w Mallorei.

- Niezupełnie. Nauczyłeś się w końcu języka staroangarackiego?

- Nie traciłem czasu na martwe języki, Belgaracie.

- On nie jest zupełnie martwy. Ludzie w Cthol Mishrak mówią jego zniekształconą wersją. W każdym razie "Murgo" oznacza szlachcica lub wojownika w staroangarackim. Najwyraźniej ci Murgo w Cthol Mishrak należeli do arystokracji.

- A co oznacza "Thull"?

- Chłopa pańszczyźnianego lub wieśniaka. U Angaraków to niewielka różnica. Powinieneś to wiedzieć, Beldinie. Spędziłeś w Mallorei więcej czasu ode mnie.

- Nie byłem tam w celach towarzyskich. Druga fala Angaraków osiedliła się na północ od Murgów. Nazywają siebie Thullami i zaopatrują Murgów w żywność. Trzecia fala ruszyła na tereny dawnej wschodniej Alorii - do tej wielkiej puszczy. Nazywają się Nadrakami.

- Mieszczanie - przetłumaczyłem mu. - Klasa kupców. Czy Alornowie robią coś w tej sprawie?

- Nie bardzo. Trochę ich rozproszyłeś. Cherek mówi o wyprawie na wschód, ale nie ma dostatecznej liczby ludzi. Algar niewiele mógłby zrobić, ponieważ Wschodni Szaniec blokuje mu dostęp do tej części kontynentu

- Trzeba będzie skontaktować się z Mistrzem po powrocie do Doliny. Ta migracja ma bardzo określony cel. Dopóki Anga-rakowie pozostawali w Mallorei, nie stanowili problemu. Osiedlają się po tej stronie Morza Wschodu, aby sprowadzić Grolimów. Może powinniśmy przepędzić tych Murgów, Nadraków i Thullów tam, skąd przyszli.

- Kolejna wojna?

- Jeśli będzie trzeba. Nie chcemy chyba Grolimów na tym kontynencie, jeśli można temu zapobiec.

- Zdumiewające - powiedział. - Co?

- Twój umysł nadal pracuje. Myślałem, że zniszczyłeś go doszczętnie w ciągu tych ostatnich kilkunastu lat.

- Byłem tego bliski. Jeszcze kilka lat w Camaar i pewnie by się udało. Piłem wszystko, co mi wpadło w rękę.

- Słyszałem. Co w końcu przekonało cię do trzeźwości?

- Mistrz złożył mi wizytę. Szybko po tym wytrzeźwiałem i opuściłem Camaar. Wędrowałem przez Arendię i Tolnedrę - wiesz o tym, skoro mnie tropiłeś. Czy miałeś kłopoty z Driadami, gdy przechodziłeś przez ich las?

- Nie widziałem żadnej.

- Może to była zła pora roku. Mnie zdecydowanie przeszkodziły w podróży.

-Tak?

- Przechodziłem tamtędy w porze ich godów.

- To musiało być podniecające

- Nie bardzo. Rozmawiałeś z Salmissarą przy okazji pobytu w Sthiss Tor?

- Krótko. W Sthiss Tor panowało wielkie zamieszanie. Ktoś wyróżnął wszystkich wyższych rangą eunuchów.

Roześmiałem się zadowolony.

- Wspaniała dziewczyna!

- O czym ty mówisz, Belgaracie?

- Ta Salmissarą miała rozum. Jednakże popełniła błąd pozwalając, by eunuchowie dowiedzieli się o tym. Planowali ją zamordować, a ja podpowiedziałem, jak tego uniknąć. Dostała wszystkich?

- Z tego, co słyszałem, tak.

- Pewnie dlatego zajęło jej to tyle czasu. Jest bardzo sumienną młodą damą. A co porabia Torak w Ashabie? Salmissarą powiedziała, że tam się przeniósł.

- Słyszałem, że doznaje religijnych uniesień. Od ponad dziesięciu lat pogrążony jest w rodzaju ekstazy. Bełkocze coś bez sensu. Urvon nakazał grupie Grolimów spisywać każde jego słowo. Nazywają te majaczenia Wyrocznią Ashabińską. Prawdę powiedziawszy, w ostatnich czasach aż roi się od obłądu. Kilka mil na zachód od Boktoru Dras trzyma szaleńca przykutego łańcuchami do słupa, a skrybowie skrzętnie notują każde słowo biedaka.

- To dobrze. Kazałem mu tak robić. Mistrz, tuż przed odejściem, powiedział mi, że

wskazówki będzie przekazywał nam w prorocत्वach, a nie jak dotychczas - bezpośrednio. To jest Wiek Proroctwa.

- Mówisz jak Dal.

- Najwyraźniej Dalowie wiedzą coś, czego my nie wiemy. Myślę, że będzie nam potrzebna kopia tego zapisu, który kazał sporządzić Dras. Trzeba też powiadomić pozostałe królestwa, aby zwracano baczniejszą uwagę na szaleńców. - Na chwilę umilkłem. - Jak się mają dziewczynki? - zapytałem, starając się, aby zabrzmiało to zupełnie zwyczajnie.

- Są starsze. Długo cię nie było.

- Mają już chyba po dziesięć lat.

- Dokładnie trzynaście. Zimą obchodziły urodziny.

- Miło będzie je znowu zobaczyć.

- Nie spodziewaj się ciepłego przyjęcia, Belgaracie. Być może Beldaran ucieszy się na twój widok, ale ulubieńcem Pol zdecydowanie nie jesteś.

Czas pokazał, że było to delikatnie powiedziane.

Opuściliśmy Maragor i przez Góry Tolnedrańskie przeszliśmy do Doliny. Nie spieszyliśmy się szczególnie. Po uwagach mego brata na temat Polgary z pewną obawą oczekiwałem spotkania z nią - całkiem słusznie, jak się okazało.

Przez te wszystkie lata włóczęgi tęskniłem za spokojem Doliny i gdy zeszliśmy z gór, spłynęło na mnie uczucie głębokiego spokoju. Ze wzruszeniem spoglądałem ponownie na nasz dom. Bolesne wspomnienia nadal tam oczywiście były i choć upływ czasu przytłumił je i złagodził, raz po raz przeszywał mnie ostry ból.

Pod nieobecność Beldina moje córki przeprowadziły się do bliźniaków. Nadzieje, jakie rokowała w niemowlęctwie Beldaran, spełniły się w większym stopniu, niż oczekiwałem. Pomimo swych trzynastu lat była zapierającą dech w piersiach piękną. Włosy, koloru lnu, miała długie i gęste. Na widok jej twarzy serce zamierało z zachwytu, a ruchy miała wdzięczne jak gazela.

- Ojczy! - zawołała, gdy znalazłem się na szczycie schodów. Głos miała głęboki i dźwięczny. Podbiegła i rzuciła mi się w objęcia. Natychmiast pożałowałem tych straconych dwunastu lat. Przyływ miłości do niej niemal mnie przygniótł. Staliśmy zamknięci w uścisku, a łzy spływały nam po twarzach.

- No, no, stary wilku - odezwał się z przekąsem inny głos. - Widzę, że w końcu postanowiłeś wrócić na miejsce zbrodni.

Drgnąłem, potem westchnąłem, wypuściłem z objęć Beldaran i odwróciłem się, by spojrzeć w twarz Polgarze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Beldaran była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałem, ale Polgara, mówiąc delikatnie, wyglądała jak straszycło. Ze skołtunionych, ciemnych włosów sterczały gałązki i liście. Była wysoka, szczupła i niemal tak brudna jak Beldin. Nogi miała w strupach, a brudne paznokcie u rąk poobgryzane do skóry. Całe lata trwało, nim oduczyła się ich obgryzania. Białe pasemko włosów na skroni było ledwie widoczne z powodu brudu. Odniosłem wrażenie, że cały jej wygląd był wynikiem świadomego działania. Polgara była spostrzegawcza i z pewnością dostrzegła, że urodą nie dorównuje siostrze. Z jakiegoś powodu zdawała się schodzić jej z drogi, a siebie starała się uczynić możliwie najwstrętniejszą. Wspaniale jej się to udawało.

Tak, wiem. Dojdziemy do jej przemiany we właściwym czasie. Nie ponagłajcie mnie.

Jednak to nie jej wygląd sprawiał, że nasze spotkanie było tak niemiłe. Beldin wychował Polgarę i Beldaran. Mojej młodszej córce udało się jakimś cudem nie przejąć jego sposobu mówienia, w odróżnieniu od Polgary. Tej udało się to znakomicie.

- Miło cię znowu widzieć, Polgaro - pozdrowiłem ją, starając się, aby zabrzmiało to naturalnie.

- Doprawdy? Spróbujmy to więc naprawić. Czyżby przestali w Camaar warzyć piwo? Dlatego opuściłeś to miejsce?

Westchnąłem. Zapowiadało się paskudnie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy się najpierw pocałować, nim do tego przejdziemy? - zaproponowałem.

- Nic ci z tego nie przyjdzie, starcze. Nie lubiłam cię od pierwszego wejrzenia, a ty ostatnio nie zrobiłeś niczego, abym zmieniła zdanie.

- Z tym już koniec.

- Oczywiście - na razie, dopóki nie zwietrzysz zapachu piwa lub nie zobaczysz w pobliżu spódniczki.

- Ty jej opowiadałeś? - zapytałem Beldina.

- Nie - odparł. - Pół miała własne sposoby śledzenia tego, co robiłeś.

- Zamknij się, wujku - warknęła na niego. - Ten zapijaczony dureń nie musi o tym wiedzieć.

- Mylisz się, Pol - powiedziałem. - Ten zapijaczony dureń powinien o tym wiedzieć. Jeśli posiadasz dar, potrzebna ci będzie nauka.

- Nie od ciebie, ojcze. Niczego od ciebie nie potrzebuję. Czemu nie wrócisz do Camaar lub do Lasu Driad? Zbliża się już czas parzenia. Będziemy z Beldaran wprost zachwycone posiadaniem hordy półludzkich siostrzyczek.

- Uważaj, co mówisz, Pol.

- Dlaczego? Jesteśmy ojcem i córką. Powinniśmy być zawsze względem siebie całkowicie szczerzy. Flirtowałeś już z trollem albo eldrakiem? To dopiero mogłoby być podniecające.

Poddałem się i usiadłem na krześle.

- No dalej, Pol - powiedziałem. - Dogodź sobie. Jestem pewny, że sobie dogodziła. Całe lata cyzelowała te

cięte uwagi i miała dryg do ich wygłaszania. Pozostawienie dziewczynek pieczy Beldina pewnie było błędem, gdyż przynajmniej Polgara była bardzo pojętną uczennicą. Od niektórych jej wyzwisk włosy stawały dęba. Dziwne, ale Beldaran nie wydawała się w najmniejszym stopniu zgorzona językiem swej siostry. Jestem pewny, że rozumiała znaczenie tych słów, ale zdawała się nimi nie przejmować. Być może podzielała zdanie Pol, ale przebaczyła mi. Polgara najwyraźniej nie.

Siedziałem, spoglądając przez okno na zachód słońca, podczas gdy córka ciągnęła dalej swą diatrybę. Po godzinie zaczęła się powtarzać. W każdym języku jest tylko skończona liczba przekleństw. Kilka razy przeszła na język Ulgosów, ale nie miała zbyt dobrego akcentu. Oczywiście poprawiałem ją; poprawianie dzieci należy do obowiązków każdego ojca. Pol nie przyjmowała jednak tego ze szczególną wdzięcznością.

W końcu wstałem.

- To do niczego nie prowadzi - powiedziałem. - Chyba już pójdę do domu. Gdy tylko doprowadzę wieżę do porządku, będziecie mogli się do mnie przeprowadzić.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Jak najbardziej, Pol. Zaczynaj się pakować. Czy ci się to podoba, czy nie, będziemy rodziną. - Uśmiechnąłem się do niej. - Śpij dobrze, Polgaro - dodałem, po czym wyszedłem.

Jeszcze w swojej wieży słyszałem jej krzyki.

Dziewczęta przeprowadziły się w następnym tygodniu. Beldaran była posłusznym dzieckiem i zaakceptowała moją decyzję bez dyskusji. To oczywiście zmusiło i Pol do posłuszeństwa, ponieważ zbyt kochała swoją siostrę, by znieść rozłąkę. Niewiele ją widywaliśmy, ale przynajmniej przeniosła swoje rzeczy do mojej wieży.

Przez resztę lata większość czasu spędziła na gałęziach drzewa rosnącego na środku Doliny. Początkowo myślałem, że w końcu głód sprowadzi ją z powrotem do mojej wieży,

ale zapomniałem o przyzwyczajeniach bliźniaków. Zadbali o to, aby Pol nie była głodna.

Postanowiłem wziąć ją na przetrzymanie. W najgorszym razie zima sprowadzi ją do domu. Beldaran zaczęła jednak być przygnębiona. To musiał być bardzo trudny okres dla mojej jasnowłosej córki. Kochała nas i nasza wzajemna niechęć najwyraźniej bardzo ją martwiła. Ublagała mnie, abym spróbował pogodzić się z jej siostrą. Wiedziałem, że to daremne, ale nie potrafiłem odmówić Beldaran. Westchnąłem więc i poszedłem spróbować raz jeszcze.

Był ciepły, słoneczny, letni poranek. Przez wysoką trawę szedłem ku drzewu. Zdawało mi się, że dookoła fruwało niesamowicie dużo ptaków.

Gdy tam dotarłem, było ich jeszcze więcej. Wokół drzewa aż się od nich roiło - i nie był to tylko jeden gatunek ptaków. Znajdowały się tam drozdy, wróble, skowronki i zięby, a cały ten świergot i szczebiotanie były niemal ogłuszające.

Polgara na wpół leżała w rozwidleniu ogromnej gałęzi, około dwudziestu stóp nade mną. Wokół niej fruwały stada ptaków. Zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem obserwowała, jak się zbliżam.

- O co chodzi, ojczy? - zapytała, gdy znalazłem się u podnóża drzewa.

- Nie sądzisz, że to trwa już dostatecznie długo? - spytałem.

- Co trwa już dostatecznie długo?

- Twoja dziecinada, Pol.

- Mam do tego prawo. Mam tylko trzynaście lat. Będziemy się o wiele lepiej bawić, gdy dorosnę.

- Łamiesz Beldaran serce tymi wygłupami. Bardzo za tobą tęskni.

- Jest silniejsza, niż na to wygląda. Potrafi wytrzymać prawie tyle co ja. - Z roztargnieniem strąciła z ramienia szczebiocącego skowronka. Ptaki wokół niej śpiewały w pełnym uniesienia uwielbieniu.

Postanowiłem spróbować z innej beczki.

- Tracisz wspaniałą okazję, Pol.

- Do czego?

- Z pewnością całe lato układałaś nowe tyrady. Nie bardzo możesz je na mnie wypróbować, tkwiąc na tej gałęzi i ostrząc sobie dziób.

- Do tego dojdziemy później, ojczy. Teraz sam twój widok działa mi na nerwy. Daj mi kilkanaście lat, a może się do ciebie przyzwyczaję. - Uśmiechnęła się do mnie, uśmiechem ciepłym jak góra lodowa. - Potem porozmawiamy. Mam ci wiele, wiele rzeczy do powiedzenia. Teraz odejdz.

Do dziś nie wiem, jak to zrobiła. Nie usłyszałem ani nie poczułem niczego, ale nagle dźwięki wydawane przez te tysiące ptaków zaczęły być gniewne, przerażające, a one same spływały na mnie niczym chmura, dziobiąc mnie i uderzając skrzydłami. Próbowałem opędzić się od nich, ale nie można odgonić tak wielu ptaków. Ptaki śpiewające mogły jedynie dziobać i wrywać mi kępki włosów z głowy i brody, ale jastrzębie to była już całkiem inna sprawa. Oddaliłem się w pośpiechu, goniony drwiącym śmiechem Polgary.

Do wieży Beldina dotarłem już mocno potarmoszony.

- Jak daleko zaszła? - zapytałem Beldina.
- Kto jak daleko zaszedł z czym?
- Polgara. Jak wiele potrafi?
- Skąd mam wiedzieć? To dziewczyna, Belgaracie. One nie myślą tak jak my, więc i postępują po swojemu. Co ci zrobiła?
- Napuściła na mnie wszystkie ptaki w Dolinie.
- Wyglądasz na nieco rozdrażnionego. Czym ją tak mocno zdenerwowałaś?
- Poszedłem pod drzewo i powiedziałem, żeby wróciła do domu.
- Rozumiem, że odrzuciła zaproszenie?
- Raczej zdecydowanie. Od jak dawna robi tego rodzaju rzeczy?
- Nie wiem - myślę, że kilka lat. To logiczne.
- Nie bardzo rozumiem. Spojrzał na mnie zaskoczony.
- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? Czy nigdy nie zastanawiała cię natura naszego daru?
- Miałem inne rzeczy na głowie. Beldin przewrócił oczyma.
- Czy widziałeś kiedyś dziecko, które potrafiłoby robić to, co my?
- Nie myślałem o tym, ale skoro wspomniałeś...
- Jak udało ci się tak długo żyć z wyłączonym mózgiem? Zdolności nie ujawniają się przed osiągnięciem pewnego wieku. Zwykle u dziewcząt dzieje się to nieco szybciej niż u chłopców.
- Tak?
- To jest związane z okresem dojrzewania, ty tępaku!
- A co ma do tego dojrzewanie? Beldin wzruszył ramionami.
- Kto wie? Może dar jest pochodzenia gruczołowego.
- To bez sensu, Beldinie. Co gruczoły mają wspólnego z Wolą i Słowem?
- Być może to rodzaj zabezpieczenia. Dwulatek obdarzony darem mógłby być nieco niebezpieczny. Dar musi być kontrolowany, a to wymaga pewnej dojrzałości. Powinieneś się cieszyć, że tak jest. Polgara nie bardzo za tobą przepada i jeśli miałyby dar już jako

niemowlak, to mogłaby cię zamienić w ropuchę.

Zakląłem.

- W czym problem?

- Muszę ją ściągnąć z tego drzewa. Potrzebna jej nauka.

- Zostaw ją w spokoju. Nie zrobi sobie krzywdy. Wyjaśniliśmy jej z bliźniakami wszystkie ograniczenia. Potrafi jedynie rozmawiać z ptakami.

- Tak. Zauważyłem.

- Może zahaczyłbyś o strumień przed powrotem do domu.

- Po co miałbym to uczynić?

- Cały jesteś w ptasim łajnie i mógłbyś wydać się Beldaran nieco odrażający.

Mistrz złożył mi tej nocy wizytę i udzielił kilku bardzo osobliwych wskazówek. Wyglądało na to, że uważał je za ważne, choć mnie nie wydały się zbyt sensowne.

Jak zauważyła Poledra, niezbyt zręcznie radzę sobie z narzędziami, a wskazówki mego Mistrza wymagały ode mnie wielkiej precyzji. Na szczęście miałem w swej sakiewce sporo srebrnych imperialów tolnedrańskich, toteż nie musiałem ruszać w góry w poszukiwaniu pokładów rudy. Czyste złoto łatwo znaleźć, ale oczyszczenie rudy srebra z domieszek wymaga sporo pracy.

Samo rzeźbienie nie było zbyt trudne - gdy już nabrałem wprawy w posługiwaniu się maleńkimi narzędziami - ale robienie łańcuchów było bardzo nudne.

Była już jesień, gdy pewnego wieczoru skończyłem ostatnią zapinkę.

- Beldaran - przywołałem swą jasnowłosą córkę.

- Słucham, ojcze - odparła, podnosząc głowę znad szycia. Oczywiście nauczyłem ją czytać, ale wołała szyć.

- Mam coś dla ciebie. Zbliżyła się do mnie ochoczo.

- Co to jest?

- Masz. - Podałem jej srebrny amulet.

- Och, ojcze! Jest prześliczny!

- Przymierz.

Założyła go na szyję, zapięła i podbiegła do lustra.

- Wspaniały! - Przypatrzyła się uważniej swemu odbiciu. - To drzewo Polgary, prawda?

- A przynajmniej powinno nim być.

- To pewnie coś oznacza, prawda?

- Prawdopodobnie. Jednak nie jestem pewny co. Mistrz kazał mi je zrobić, ale nic nie wyjaśnił.

- Czy ten jest dla Polgary? To w końcu jej drzewo.

- Drzewo było tu na długo przed Polgara, Beldaran. - Wyciągnąłem drugi amulet. - Ten jest dla niej.

Beldaran przyjrzała mu się.

- Sowa? To osobliwy prezent dla Pol.

- To nie był mój pomysł. - Bardzo cierpiałem, rzeźbiąc tę sowę. Obudziła wiele wspomnień.

Tak, Durniku, wiem, że mogłem je wyczarować, ale Mistrz kazał mi je wyrzeźbić osobiście.

Wiedziałem, co oznaczał mój amulet, to nie było trudne. Tak często przybierałem postać wilka, że mogłem wyrzeźbić go z zamkniętymi oczyma. Włożyłem go, westchnąłem i zamknąłem zapinkę.

- Ojciec - powiedziała Beldaran, mocując się z zapinką na karku.

- Słucham, kochanie?

- Moja zapinka chyba się popsowała. Nie mogę jej odpiąć.

- I nie powinna, Beldaran. Nie wolno ci zdjąć amuletu.

- Nigdy?

- Nigdy. Mistrz chce, abyśmy zawsze je nosili.

- Czasami może to być trochę niewygodne.

- Myślę, że poradzimy sobie. Jesteśmy rodziną, Beldaran. Amulety mają nam o tym przypominać - między innymi.

- Czy amulet Polgary również się zatrześnie?

- Mam nadzieję. Zrobiłem go tak, aby się zaniknął. Beldaran zachichotała.

- Co w tym zabawnego?

- Nie myślę, aby jej się to spodobało, ojciec. Bardzo ją unieszczęśliwisz, zamykając jej coś na szyi.

Mrugnąłem do niej.

- To może lepiej nie mówmy jej o tym, dopóki go nie zapnie.

- Czemuż nie? - odparła, przewracając szelmowsko oczami. Potem znowu zachichotała, zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała.

Następnego ranka poszliśmy z Beldaran pod drzewo, aby dać Polgarze amulet.

- Co mam z nim zrobić? - zapytała.

- Masz go nałożyć - nakazałem.

- Po co?

Zaczynałem mieć tego powoli dość.

- To nie mój pomysł, Pol - rzekłem. - Zrobiłem te amulety, ponieważ Aldur mi kazał. A teraz włóż go i przestań się wygłupiać. Czas, byśmy wszyscy dorośli.

Spojrzała na mnie dziwnie i zapięła amulet na szyi.

- Teraz jest nas troje - powiedziała czule Beldaran.

- Niesamowite - odparła cierpkim tonem Pol. - Umiesz liczyć.

- Przestań być złośliwa - powiedziała Beldaran. - Wiem, że jesteś mądrzejsza ode mnie, Polgaro. Nie musisz mi tego wytykać. A teraz chodź do domu, tam twoje miejsce.

Mógłbym pewnie błagać o to Polgarę bez skutku całe miesiące. Na prośbę Beldaran przystała jednak bez żadnej dyskusji. Wróciliśmy zatem do wieży i zajęliśmy się codziennymi sprawami.

O dziwo, panował względny spokój. Przynajmniej Beldaran udawało się powstrzymać nas od skoczenia sobie do gardeł - a mnie udało się przekonać Pol, by nosiła amulet, choć znalazła sposób na zapinkę. Moja jasnowłosa córka miała rację. Polgara była o wiele inteligentniejsza od niej. To nie znaczy, że Beldaran była głupia. Po prostu Pol była najinteligentniejszym ze znanych mi ludzi - oczywiście była gderliwa, ale wyjątkowo mądra.

Przykro mi, Pol, ale jesteś. Nie ma się czego wstydić.

Po powrocie do wieży Pol zajęła się kuchnią. Beltira i Belkira nauczyli ją gotować, a ona to wprost uwielbiała. Była w tym bardzo dobra. Nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi do tego, co jadłem, ale gdy każdy posiłek jest ucztą, zaczyna się zwracać na to uwagę.

Nie oznacza to, że wszystko było słodyczą. Czasami dochodziło pomiędzy nami do pyskówek.

Trwało to jakieś trzy lata. W owym czasie udało nam się wypracować sposób zachowania względem siebie, którego, lepiej lub gorzej, przestrzegaliśmy przez trzy tysiące lat. Ona zręcznie komentowała moje różne przyzwyczajenia, a ja jej uwagi na ogół ignorowałem. Nie krzyczeliśmy na siebie i rzadko przeklinaliśmy. Nie dlatego, że nie mieliśmy czasami na to ochoty, ale nauczyliśmy się kontrolować swoje zachowanie ze względu na Beldaran.

Krótko po szesnastych urodzinach dziewczynek Aldur znowu mnie odwiedził. Tego wieczoru dość poważnie posprzeczałyśmy się z Pol. Zaczęło się od tego, że wspomniałem, iż czas, by nauczyła się czytać. Nie uwierzycie, jak bardzo poczuła się tym dotknięta.

- Nazywasz mnie głupią? - zapytała tym swoim głębokim głosem, i od tego się zaczęło. Do dziś nie wiem, co ją tak rozzłościło.

W każdym razie poszedłem do łóżka w podłym nastroju i spałem niespokojnie.

- Belgaracie, mój synu. - Oczywiście znałem ten głos.
- Słucham, Mistrzu?
- Twój ród połączy się z rodem Strażnika Klejnotu Aldura.
- Czy to Konieczność, Mistrzu?

- Tak, mój ukochany uczniu. To największe wyzwanie, jakie kiedykolwiek przed tobą postawiłem. Z połączenia twego rodu z rodem Rivańskiego Króla wywiedzie się ostatecznie Dziecko Światła. A zatem dokonaj wyboru, którą ze swych córek oddasz Rivańskiemu Królowi za żonę, albowiem z połączenia tych dwóch rodów więź zostanie wysnuta niewidoczna, która połączy mą Wolę z Wolą mego brata Belara, a Torak nie będzie mógł zatnumfować nad nami.

Kusiło mnie. Bóg wie jak bardzo mnie kusiło, ale wiedziałem, kto będzie żoną Rivy. Opisał mi ją ze wszystkimi szczegółami tego dnia, gdy wykuwaliśmy mu miecz. Nie miała ciemnych włosów.

Beldaran z zachwytem przyjęła moją decyzję.

- Król? - wykrzyknęła.
- Praktycznie chyba tak. Jednak nie wiem, czy Riva myśli o sobie w ten sposób. Nie bardzo zajmują go ceremonie i widowiska.
- Jak wygląda? Wzruszyłem ramionami.
- Wysoki, ciemnowłosy, niebieskie oczy. - Podszedłem do umywalki i nappełniłem miednicę wodą. - Podejdz - powiedziałem. - Pokażę ci go - dodałem i utworzyłem na powierzchni wody obraz twarzy Rivy.

- Jest wspaniały! - pisnęła, po czym zmrużyła nieco oczy. - Czy musi nosić brodę?
- Jest Alornem. Większość Alornów nosi brody.
- Może uda mi się go przekonać. Reakcja Polgary była nieco osobliwa
- Czemu wybrałaś Beldaran? - zapytała.
- Prawdę powiedziawszy, to nie ja - odparłem. - To Riva - lub za niego dokonano wyboru. Marzy o niej od czasu przybycia na Wyspę Wiatrów. To pewnie Belar ukazał Rivie we śnie twarz Beldaran. Belar ma słabość do blondynek.

- To niedorzeczne, ojczu. Masz zamiar wydać moją siostrę za kompletnie obcego człowieka.
- Będą mieli dość czasu, aby się poznać.
- Ile lat ma ten Alorn?
- Nie wiem - pewnie jest po trzydziestce.
- Masz zamiar wydać Beldaran za starca?

- Trudno nazwać trzydziestopięciolatka starcem, Pol.
 - Dla ciebie, skoro sam masz ze trzydzieści pięć tysięcy lat.
 - Nie. Prawdę powiedziawszy, cztery.
 - Co?
 - Mam cztery tysiące lat, Pol, nie czterdzieści tysięcy. Nie pogarszaj jeszcze sprawy.
 - Kiedy ta niedorzeczność ma mieć miejsce?
 - Musimy najpierw udać się na Wyspę Wiatrów. Potem dojdzie do ślubu. Alornowie nie przepadają za długim okresem narzeczeństwa.
- Polgara wypadła z wieży, mrużąc pod nosem przekleństwo.
- Miałam nadzieję, że będzie cieszyć się razem ze mną -westchnęła Beldaran.
 - Oswoi się z tym, kochanie. - Staralem się, aby zabrzmiało to przekonująco, ale poważnie wątpiłem, czy mi się udało. Trudno było nakłonić ją do zmiany zdania, gdy raz wbiła sobie coś do głowy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sprawy być może przybrałyby lepszy obrót, gdybyśmy mogli wyruszyć natychmiast, ale nadal była zima, a ja nie miałem zamiaru ciągnąć córek w niepogodę. Beldaran wykorzystwała czas oczekiwania na szycie swej sukni ślubnej. Jednakże Polgara ponownie przeniosła się na drzewo i uparcie odmawiała nawet rozmowy z nami.

W miesiąc po podjęciu przeze mnie decyzji do Doliny przybył kuzyn Rivy, Anrak, z jeszcze jednym Alornem.

- Hej, Belgaracie! - pozdrowił mnie niesforny Anrak. - Czemu jeszcze tu jesteś?

- Ponieważ nadal jest zima.

- Ależ nie jest wcale taka sroga. Riva z niecierpliwością wyczekuje spotkania z dziewczyną, którą ma poślubić.

- Jak się o tym dowiedział?

- Miał kolejny z tych swoich snów.

- Rozumiem. Kim jest twój przyjaciel?

- Nazywa się Gelheim. Można powiedzieć, że jest artystą. Riva pragnie mieć portret swej narzeczonej.

- Przecież wie, jak wygląda. Śnił o niej przez ostatnie piętnaście lat.

Anrak wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że woli się upewnić, czy wybrałeś właściwą.

- Nie sądzę, aby Belar i Aldur pozwolili mi popełnić pomyłkę.

- Nigdy nie wiadomo. Czasami Bogowie są trochę dziwni. Masz coś do picia?

- Poznam cię z bliźniakami. Robią niezłe piwo. Są Alornami, więc znają się na rzeczy.

Beldaran i Anrak natychmiast przypadli sobie do gustu, ale z Polgarą było gorzej. Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Anrak wpadł do mnie po śniadaniu.

- Myślałem, że masz dwie córki - powiedział do mnie kuzyn Rivy.

- Tak, mam - odparłem. - Polgarą trochę się na mnie gniewa; mieszka na drzewie.

- Chyba nie ma dobrze w głowie. Czy jest podobna do swojej siostry?

- Nie za bardzo.

- Myślałem, że są bliźniaczkami.

- To nie zawsze oznacza, że wyglądają tak samo.

- Gdzie jest to jej drzewo?

- Rośnie pośrodku Doliny.

- Pójdę tam i rzucę na nią okiem. Skoro Riva się żeni, to może i ja bym się ożenił.

Beldaran zachichotała.

- Co w tym zabawnego, śliczna? - zainteresował się. Tak właśnie lubił ją nazywać.

- Moja siostra nie należy raczej do tych, które wychodzą za męża, Anraku. Możesz jej to zaproponować, jeśli chcesz, ale patrz, byś miał dokąd uciekać, gdy już to uczynisz.

- Chyba nie jest aż tak nieznośna.

Beldaran ukryła uśmiech i wskazała mu drogę do drzewa. Gdy Anrak wrócił do wieży, wyglądał na nieco wstrząśniętego.

- Nieprzyjazna - zauważył ogłędnie. - Czy zawsze jest tak brudna?

- Moja siostra nie jest miłośniczką kąpieli - odparła Beldaran.

- Nie jest również szczególną zwolenniczką dobrych manier. Pewnie dałoby się ją domyć, ale z tą jej niewyparzoną buzią mógłby być kłopot. Nie jestem nawet pewny, co niektóre z tych słów znaczą.

- Co jej takiego powiedziałeś? - zapytała Beldaran.

- Byłem szczery - odparł Anrak, wzruszając ramionami. - Powiedziałem, że zwykle wszystko robimy z Rivą razem, więc skoro on się żeni, ja również mógłbym - a skoro ona nie jest z nikim związana... - Podrapał się po brodzie. - Tyle udało mi się powiedzieć. - Wyglądał na nieco urażonego. - Nie przywykłem, by ludzie śmiali się ze mnie. To była absolutnie uczciwa propozycja. Nie zaproponowałem jej niczego nieprzystojnego. - Przeszedł przez pokój, by spojrzeć w zwierciadło Beldaran. - Czy coś jest nie tak z moją brodą? - zapytał. - Mnie wydaje się w porządku.

- Polgarą nie przepada za brodami, Anraku - wyjaśniłem.

- Nie musiała jednak zachowywać się tak obraźliwie. Czy naprawdę przypominam czającego się w krzakach szczura?

- Polgarą czasami przesadza - powiedziała Beldaran. - Trzeba się do niej przyzwyczaić.

- Nic by z tego nie było - uznał. - Nie mam zamiaru cię obrażać, Belgaracie, ale nie wychowałeś jej zbyt dobrze. Jeśli rzeczywiście postanowię się ożenić, to raczej wybiorę sobie jakąś miłą Alornkę. Czarodziejki są dla mnie trochę za skomplikowane.

- Czarodziejka?

- Tak chyba nazywa się waszą rasę?

- To jest zawód, Anraku, nie rasa.

- Nie wiedziałem.

Gelheim narysował kilka portretów Beldaran, a następnie zaczął szykować się do powrotu.

- Powiedz Rivie, że przybędziemy wiosną - powiedział mu Anrak.

Gelheim kiwnął głową. W ponury dzień u schyłku zimy ruszył w drogę powrotną. Był prawie tak małomówny jak Algar.

Anrak większość czasu spędzał w wieży bliźniaków. Zaszedł do mnie jednak pewnego dnia i opowiedział mi o postępach Rivy przy wznoszeniu Dworu Rivańskiego Króla.

- Prawdę powiedziawszy, jest trochę zbyt wystawny jak na mój gust - skrytykował. - Nie dlatego, że ma tyle ozdóbek, ale jest okropnie wielki. Nie myślałem, że Riva jest taki pyszny.

- Wypełnia polecenia - wyjaśniłem. - Dwór Rivańskiego Króla został wzniesiony dla ochrony Klejnotu Aldura, nie dla ludzi, którzy w nim mieszkają. Zdecydowanie nie chcielibyśmy, aby Klejnot wpadł w ręce Toraka.

- To nie grozi, Belgaracie. Musiałby najpierw uporać się z Drasem i Algarem, a wojenna flota Chereka patroluje Morze Wiatrów. Jednooki może wyruszyć z wielką armią, ale niewiele z niej zostanie po dotarciu do Wyspy.

- Nie zaszkodzi przedsięwziąć kilku dodatkowych środków ostrożności.

Miesiąc później pogoda w końcu poprawiła się i zaczęliśmy przygotowania do podróży.

- Gotowi już jesteśmy do drogi? - zapytała Beldaran pewnego pięknego wiosennego popołudnia.

- Chyba nie musimy zabierać z sobą mebli - powiedział Beldin nieco zgryźliwie. Beldin nie lubił podróżować z bagażami.

- Pójdę więc po Polgarę - zaproponowała.

- Ona nie zechce z nami jechać, Beldaran - oznajmiłem.

- Oczywiście, że pojedzie. -W głosie mojej córki zabrzmiała niecodzienna stanowczość.

- Wiesz przecież, że nie pochwała tego małżeństwa.

- To jej problem. Będzie na moim ślubie, czy jej się to podoba, czy nie. - Łatwo było nie docenić Beldaran z powodu jej pogodnego i miłego usposobienia. Rzadko rozkazywała, głównie dlatego, że nie musiała. Kochaliśmy ją tak bardzo, że zwykle dostawała to, co chciała, bez specjalnych zabiegów. Jednakże, gdy któreś z nas weszło jej w drogę, potrafiła być bardzo stanowcza. Była nieco zawiedziona, że bliźniacy z nami nie pojedą, ale ktoś musiał zostać w Dolinie, a Belkira i Beltira nie czuli się najlepiej w towarzystwie obcych.

Dużo bym dał za to, by usłyszeć rozmowę moich córek, gdy Beldaran poszła ściągnąć Pol z drzewa. Żadna z nich nie chciała o tym mówić. Jednakże Polgara, choć nieco markotna, wyruszyła z nami.

Poszliśmy skrajem wschodniej granicy Ulgołandu, w owych czasach wszyscy tak robili.

Beldin pełnił rolę zwiadowcy. Nie spodziewaliśmy się kłopotów, ale on nie przepuszczał żadnej okazji do latania.

Ciekaw jestem, jak radzi sobie z Vellą. Ona nie ma już co prawda swoich sztyletów, ale wyobrażam sobie, że dziób i szpony doskonale je zastępują.

Pogoda tego roku była szczególnie dobra. Na przełęczach śnieg w większości już stopniał. Po dotarciu do Muros, Anrak ruszył przodem.

- Polecenie Rivy - wyjaśnił. - Po dotarciu na wybrzeże mam mu zaraz przesłać wiadomość. Przypłynie na spotkanie do Camaar.

- Naprawdę uważasz, że bezpiecznie zabierać ojca z powrotem do Camaar? - spytała Polgara z cieniem złośliwości w głosie. Obie córki zachowywały się w Muros trochę nerwowo. Zapominałem, że nigdy przedtem nie opuszczały Doliny i obecność obcych ludzi trochę je denerwowała. W owych czasach Muros jeszcze za bardzo nie przypominało miasta, ale i tak było tam więcej ludzi, niż kiedykolwiek widziały moje córki.

Wynajęliśmy powóz i z fasonem pojechaliśmy w kierunku wybrzeża. Po dotarciu do Camaar nie odwiedziłem dzielnicy portowej. Wynajęliśmy pokoje w jednym z lepszych zajazdów w głównej części miasta i wysłałem Beldina na poszukiwanie Anraka.

- Riva już w drodze - zapewnił nas, gdy Beldin przyprowadził go do naszego zajazdu. - Pewnie postawił całe akry żagli. Nie może doczekać się spotkania z tobą, śliczna.

Beldaran oblała się rumieńcem.

- Obrzydliwe - mruknęła Polgara. Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie. Niezadowolenie Polgary z powodu zbliżającego się ślubu siostry było chyba całkiem naturalne. Moje córki łączyły więzy, których nawet nie próbowałem zrozumieć. Polgara chyba była dominującym bliźniakiem, ale to ona odruchowo mówiła w liczbie mnogiej, co jest zwykle typowe dla podległej siostry. Nawet dzisiaj, jeśli ktoś będzie na tyle nieuprzejmy, aby zapytać, ile ma lat, prawdopodobnie odpowie coś w rodzaju: "Mamy około trzech tysięcy lat". Beldaran dawno już odeszła z grona żywych, ale nadal snuje się po świecie Polgary.

Myślę, że pewnego dnia będę musiał z nią o tym porozmawiać. Spojrzenie na świat kogoś, kto nigdy tak naprawdę nie był sam, może być bardzo interesujące.

Potem do Camaar przybył Riva. Jestem pewny, że mieszkańcy miasta od razu go zauważali. Jednakże to nie siedem stóp wzrostu zwracało uwagę. Chodziło raczej o sposób, w jaki się poruszał. Kroczył prosto ku Beldaran, nie bacząc na nic i na nikogo. Widywałem już poprzednio zakochanych, ale nikogo tak jak Riva.

Gdy wszedł do pokoju w zajazdzie - Beldin był na tyle szybki, by otworzyć przed nim drzwi, zanim Riva ich nie staranował - spojrzał na mą jasnowłosą córkę i już było po nim.

Beldaran wyuczyła się małej przemowy, ale gdy ujrzała twarz Rivy, natychmiast wszystkiego zapomniała.

Nie powiedzieli do siebie ani słowa! Czy spędziliście kiedykolwiek całe popołudnie w jednym pokoju z ludźmi wpatrującymi się w siebie w milczeniu?

W końcu zaczęło to być krępujące, więc zamiast na nich patrzyłem na Polgarę. A było na co popatrzeć. W tym pokoju tyle było emocji, że powietrze zdawało się od nich gęste. Początkowo Polgara patrzyła na Rivę z nie skrywaną wrogością. Był rywalem i nienawidziła go z całego serca. Stopniowo jednakże siła absolutnego uwielbienia, z jakim Riva i Beldaran na siebie patrzyli, zaczęła robić na niej wrażenie. Na twarzy Polgary mogą się nie malować żadne uczucia, ale nie potrafi kontrolować wyrazu swych oczu. Przyglądałem się migotliwym blaskom we wspaniałych oczach, były odbiciem walczących w niej uczuć. Zmieniały barwę od stalowoszarej po fioletową. Polgara nie należy do tych, którzy łatwo się poddają. W końcu jednak wydała przeciągłe westchnienie i w jej oczach pojawiły się dwie wielkie łzy. Najwyraźniej uświadomiła sobie, że przegrała. Nie była w stanie konkurować z miłością swej siostry i Rivańskiego Króla.

W tym momencie poczułem przyływ sympatii. Podeszedłem do niej i ująłem jej brudną dłoń.

- Może wyszlibyśmy się trochę przewietrzyć, Pol? - zaproponowałem delikatnie.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, kiwnęła w milczeniu głową i wstała. Z godnością wyszliśmy z pokoju.

Poprowadziłem ją na balkon, który znajdował się na końcu korytarza.

- No cóż - odezwała się niemal neutralnym tonem - to chyba przesądza sprawę?

- To było przesądzone już dawno temu, Pol - powiedziałem. - Oto jedna z owych Konieczności. Tak musiało być.

- Wszystko się zawsze do tego sprowadza, prawda, ojciec?

- Do Konieczności? Oczywiście, Pol. Wiąże się z tym, kim jesteśmy.

- Czy nigdy nie jest łatwiejsze?

- Nie zauważyłem.

- No cóż, mam nadzieję, że będą szczęśliwi. - Byłem z niej tak dumny, że duma niemal rozsądzała mi pierś.

Nagle Pol odwróciła się do mnie.

- Och, ojciec! - zawołała z rozpaczliwym szlochem. Przytuliła się do mnie w nagłym ataku płaczu.

Tuliłem ją do siebie, powtarzając: "Dobrze już, dobrze". To najgłupsze, co pewnie

można powiedzieć w tej sytuacji, ale nic lepszego nie udało mi się wymyślić.

Po jakimś czasie opanowała się i zaczęła pociągać nosem, co nie było szczególnie przyjemnym dźwiękiem

- Wytrzymaj nos w chusteczkę - poleciłem.

- Zapomniałam zabrać.

Nie myśląc wiele, zrobiłem jej jedną i podałem.

- Dziękuję - powiedziała i wytarła nos i zapłakane oczy. - Czy jest tu łaźnia?

- Myślę, że tak. Zapytam właściciela zajazdu.

- Będę wdzięczna. Myślę, że już czas się umyć. Nie mam chyba powodu, by dalej być brudaską?

Nie pomyślałem o tym.

- Może kupiłbyś mi jakąś stosowną suknię, ojcze? - zaproponowała.

- Oczywiście, Pol. Coś jeszcze?

- Może jeszcze grzebień i szczotkę. - Przyjrzała się krytycznie jednemu ze swych splątanych loków. - Zdaje się, że muszę coś zrobić z włosami.

- Zobaczą, co uda mi się znaleźć. Chciałabyś też wstążkę?

- Nie bądź śmieszny, ojcze. Nie jestem straganem jarmarcznym. Niepotrzebne mi dekoracje. Idź rozmówić się z oberżystą. Naprawdę muszę wziąć kąpiel. A tak przy okazji, to ma być prosta suknia. To Beldaran wesele, nie moje. Będę w swoim pokoju.

Załatwiłem jej łaźnię i poszedłem poszukać Angaraka. Razem z Beldinem siedzieli w piwiarni na parterze zajazdu.

- Poszukaj mi krawca - poprosiłem.

- Co takiego?

- Polgara chce mieć nową suknię.

- A co złego jest w tej, którą ma?

- Angaraku, nie dyskutuj ze mną, po prostu zrób to. Chce mieć również grzebień i szczotkę. Krawiec powinien wiedzieć, gdzie je można dostać. Angarak spojrzał posepnie na swój na wpół opróżniony kufel.

- Teraz, Angaraku. Alorn westchnął i wyszedł.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Beldin.

- Polgara zmieniła zdanie. Nie chce już przypominać porzuconego ptasiego gniazda.

- Co ją do tego skłoniło?

- Nie mam najmniejszego pojęcia i nie chcę jej o to pytać. Jeśli chce wyglądać jak dziewczyna, to jej sprawa.

- Jesteś w osobliwym humorze.
- Wiem - odparłem, po czym podskoczyłem i zapiałem radośnie.

Następnego ranka wszyscy oniemieliśmy na widok wchodzącej do pokoju Polgary. Prosta suknia, którą włożyła, była oczywiście błękitna. Pol niemal zawsze ubierała się na niebiesko. Długie, ciemne włosy miała gładko zaczesane do tyłu i związane na karku. Teraz gdy była czysta, zobaczyliśmy, że ma bardzo jasną cerę, podobnie jak jej siostra, i że jest oszałamiająco piękna. Jednakże najbardziej zaskoczył nas jej sposób bycia. Już wówczas, mając raptem szesnaście lat, miała iście królewskie maniery.

Riva i Anrak wstali i skłonili się jej nisko. Potem Anrak westchnął.

- O co chodzi? - zapytał go kuzyn.
- Zdaje się, że popełniłem błąd.
- To nic nowego.
- Ale tego będę chyba żałował. Może miałbym szansę u lady Polgary, gdybym był bardziej uparty. Dolina to odludne miejsce, więc nie było innych starających się. Obawiam się jednak, że teraz jest już za późno. Gdy tylko dopłyniemy do Rivy, wszyscy młodzieńcy na Wyspie uderzą do niej w konkury.

Pol obdarzyła go ciepłym spojrzeniem.

- Czemu pozwoliłeś, by ci się wymknęła? - zapytał Riva.
- Widziałeś chyba, jak wczoraj wyglądała?
- Prawdę powiedziawszy, nie. Miałem co innego w głowie. Beldaran zarumieniła się. Oboje mieli co innego w głowach.

- Proszę nie poczytać mi tego za obrazę, lady Polgaro -zwrócił się Anrak do mej starszej córki.

- Bez obawy, Anraku - odparła. Zdawała się oczarowana pomysłem zwracania się do niej "lady Polgaro". Teraz prawie wszyscy na świecie tak się do niej zwracają, ale myślę, że nadal robi jej się ciepłej na sercu za każdym razem, gdy to słyszy.

- No cóż - zaczął Anrak, ostrożnie dobierając słowa - gdy po raz pierwszy ujrzałem lady Polgarę, jej widok budził dość mieszane odczucia. Myślę, że jest czarodziejką jak jej ojciec. Oczywiście on jest czarodziejem, nie czarodziejką, ale rozumiecie, co mam na myśli. Czarodzieje to bardzo tajemniczy ludzie, a ona pewnie myślała nad czymś przez kilka milionów lat i...

- Mam tylko szesnaście lat, Anraku - poprawiła go delikatnie Pol.
- No tak, wiem, ale dla was czas ma inne znaczenie. Możecie go przecież zatrzymać i ruszyć ponownie, kiedy tylko chcecie, prawda?

- Możemy, ojczy? - zapytała mnie z ciekawością.

- Nie wiem. - Spojrzałem na Beldina. - Możemy?

- No cóż, teoretycznie pewnie tak - odparł. - Kiedyś omawialiśmy tę sprawę z Belmakorem, ale uznaliśmy, że to nie najlepszy pomysł. Można by poplątać czas - jeden czas w jednym miejscu i inny w drugim. Prawdopodobnie bardzo trudno byłoby przywrócić porządek, a nie można by tego po prostu tak sobie zostawić.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłbyś w dwóch miejscach jednocześnie.

- A co w tym złego?

- To byłby paradoks, Belgaracie. Nie byliśmy pewni z Belmakorem, jaki to by mogło mieć wpływ na wszechświat - mogłoby rozerwać go na strzępy lub spowodować jego zniknięcie.

- Nie spowodowałoby.

- Nie miałem zamiaru sprawdzać.

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc, jak bardzo niezrozumiałe jest dla nas ich zachowanie - powiedział Anrak do swego kuzyna. - W każdym razie lady Polgara pofrunęła na drzewo i oddawała się tam czarodziejskim sprawom. Zaproponowałem jej, że mógłbym się z nią ożenić - skoro jej siostra miała wyjść za ciebie, a bliźnięta lubią robić wszystko razem. Zdaje się jednak, że ten pomysł niezbyt przypadł jej do gustu, więc nie nalegałem. Szczerze mówiąc, nie wyglądała zbyt schludnie, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem.

- Przerwał, spoglądając na Pol z pewną konsternacją.

- Byłam w przebraniu, Anraku - przyszła mu z pomocą Pol.

- Doprawdy? Po co?

- To jedna z tych czarodziejskich spraw, o których wspomniałeś.

- Ach, jedna z tych. To było bardzo dobre przebranie, lady Polgaro. Wyglądałaś, pani, absolutnie paskudnie.

- Nie posuwałabym się za daleko, Anraku - poradziła mu Beldaran. - Może zjedlibyśmy śniadanie i zaczęli się pakować? Bardzo chcę zobaczyć swój nowy dom.

Jeszcze tego samego dnia postawiliśmy żagle. Do miasta 'Rivy przybyliśmy dwa dni później. Wszyscy mieszkańcy czeka-ili na nas na brzegu - prawdę powiedziawszy, czekali na Beldaran. Nie myślę, aby Rivańczycy byli zbyt zainteresowani widokiem moim czy Beldina, ale naprawdę pragnęli zobaczyć swą nową królowę. Riva osłaniał ją troskliwie. Nie chciał, aby ktokolwiek za bardzo się nią zachwyił.

Jestem pewny, że zrozumieli, o co chodzi - przynajmniej gdy chodziło o Beldaran. W

końcu było jeszcze kogo podziwiać.

- Lepiej spraw sobie maczugę - mruknął do mnie Beldin.

- Co takiego?

- Maczugę, Belgaracie - solidna pałka ze zgrubieniem na końcu.

- A po co mi maczuga?

- Ślepy jesteś, Belgaracie. Przyjrzyj się Polgarze, a potem spójrz na twarze tych wszystkich młodych Ałornów stojących na plaży. Wierz mi, będzie ci potrzebna maczuga.

Nie sięgnąłem po nią wprawdzie, ale dołożyłem wszelkich starań, aby nie spuszczać Pol z oczu podczas pobytu na Wyspie Wiatrów. Zdaje się, że byłbym o wiele spokojniejszy, gdyby Pol jeszcze jakiś czas pozostawała w swoim kokonie. Oczywiście byłem z niej dumny, ale jej zmieniony wygląd czynił mnie bardzo nerwowym. Choć młoda i niedoświadczona, najwyraźniej oczarowała młodzieńców na Wyspie.

Miałem całkiem prostą strategię. Siadałem na widoku i patrzyłem groźnie. Nosilem jedną z tych idiotycznych białych szat, którymi zwykle obdarzali mnie ludzie, i trzymałem długą laskę - podobnie jak czyniłem to w Arendii i Tolnedrze. Cieszyłem się wśród Ałornów niezłą reputacją, którą podnosiły jeszcze te absurdalne przejawy dostojeństwa, co wydatnie pomogło zrozumieć im moje stanowisko. Młodzi Rivańczycy byli przesadnie grzeczni i uprzejmi - co było w porządku. Ale nie zaciągali Polgary w ciemne kąty - co nie byłoby w porządku.

Pol, oczywiście, świetnie się bawiła. Nie była właściwie zalotna, ale często uśmiechała się, a nawet od czasu do czasu wybuchwała głośnym śmiechem. Przykro to mówić, ale podejrzewam, że znajdowała przyjemność w tym, iż dziewczęta najczęściej wychodziły z pokoju, w którym ona przyjmowała adoratorów. Wołały nie okazywać publicznie zżerającej je zazdrości.

Przebywaliśmy już około tygodnia na Dworze Rivańskiego Króla, gdy do portu wpłynęły okręty Chereka. Pozostali ałornscy królowie przybywali na ślub Rivy.

Ucieszył mnie wiodok Chereka i jego synów, choć nie mieliśmy zbyt wielu okazji do rozmów. Pol zapewniała, że sama potrafi o siebie zadbać, ale wołałem nie ryzykować.

Tak, Polgaro, byłem zazdrosny. Czyż ojcowie nie powinni być zazdrośni? Wiedziałem, co chodzi tym młodzikom po głowach, i nie miałem zamiaru zostawić cię z nimi sam na sam.

Kilka dni po przybyciu Chereka i jego synów przyszedł do mnie Beldin. Byłem tam, gdzie zwykle, oczywiście z groźną miną, a Polgara zajmowała się łamaniem serc.

- Lepiej porozmawiaj z Cherekiem - powiedział do mnie.

- O co chodzi?

- Ślub Rivy może podsunąć Drasowi i Algarowi pewne pomysły.

- Jakie pomysły?

- Dorośnij w końcu, Belgaracie. Pomimo uczucia łączącego Rivę i Beldaran, jest to polityczne małżeństwo.

- Religijne, prawdę powiedziawszy.

- To to samo. Dras i Algar już zaczynają rozmyślać o korzyściach, jakie wiązałyby się z poślubieniem Polgary.

- To śmieszne!

- To nie ja o tym myślę, więc nie mnie oskarżaj o śmieszność. Prędzej czy później jeden z nich pójdzie do Chereka i poprosi, by z tobą na ten temat porozmawiał. Wówczas on z kolei uda się do ciebie z pewną propozycją. Lepiej uprzedź go, nim sam postawi cię w kłopotliwej sytuacji. Nadal potrzebujemy Alornów.

Zakląłem i wstałem.

- Mógłbyś popilnować Polgary?

- Czemu nie?

- Uważaj na tego wysokiego blondyna. Pol poświęca mu 1 nieco zbyt dużo uwagi, według mnie.

- Zajmę się tym.

- Nie rób mu niczego na stałe. Jest synem wodza klanu, a Wyspa jest trochę za ciasna na wojnę klanów - dodałem i ruszyłem na poszukiwania Chereka.

Trochę naciągnąłem prawdę, mówiąc mu, że Aldur polecił, bym zatrzymał Polgarę przy sobie w Dolinie i że przez jakiś czas nie powinna wychodzić za mąż. Gdy już jednak przeciągnąłem na swoją stronę ich ojca, Dras i Algar mogli prosić, o co chcieli. Nie wystąpi w roli swatki.

Cherek postarzał się od czasu naszej wyprawy do Mallorei. Włosy i brodę przyprószyła mu siwizna, a jego oczy nie miały już tak wesołego wyrazu. Powiedział mi, że Nadrakowie węszą wzdłuż wschodniej granicy królestwa Drasa, a Murgowie zeszli ze Wschodniego Szańca i zapuszczają się w głąb Algarii.

- Pewnie powinniśmy ich do tego zniechęcić - powiedziałem.

- Dras i Algar już o to dbają - odparł. - Z technicznego punktu widzenia nadal jesteśmy w stanie wojny z Angaraka-mi, więc możemy usprawiedliwić pewne akty stanowczości, gdyby sprawa kiedykolwiek trafiła do sądu.

- Chereku, my mówimy o polityce międzynarodowej. Nie ma żadnych praw i nie ma żadnych sądów.

Cherek westchnął

- Świat robi się coraz bardziej cywilizowany, Belgaracie -stwierdził posępnie. - Tolnedranie cały czas próbują narzucić nam jakieś drobne ograniczenia.

- Jakże?

- Usiłowali wymusić na mnie zgodę na wyjęcie spod prawa tego, co nazywają "piractwem". Czy słyszałeś kiedyś coś równie śmiesznego? Na pełnym morzu nie obowiązują żadne prawa. To, co tam się dzieje, nie jest czyjąkolwiek sprawą. Po co wciągać w to sędziów i prawników?

- Tolnedranie już tacy są. Powiedz Drasowi i Algarowi, aby poszukali sobie żon gdzie indziej, dobrze? Polgara na razie nie wchodzi w grę.

- Wspomnę im o tym.

W tamtych czasach kalendarz alornski był trochę mało dokładny. Alornowie liczyli lata, ale nie zawracali sobie głowy nadawaniem nazw miesiącom, jak to czynili Tolnedranie. Śledzili jedynie zmiany pór roku, więc nie potrafię podać wam dokładnej daty ślubu Rivy i Beldaran. Odbył się około trzech tygodni po przybyciu jego ojca i braci. Gdzieś na dziesięć dni przed ślubem Polgara skończyła z kampanią łamania serc i wraz z Beldaran oddała się absolutnemu szaleństwu szycia strojów. Z pomocą kilku życzliwych alornskich dziewcząt gruntownie przerobiły ślubną suknię Beldaran, a potem zabrały się za przygotowanie odpowiedniej sukni dla siostry panny młodej. Beldaran zawsze lubiła szycie, ale zamiłowanie Pol do tej czynności datuje się od tamtego okresu. Szycie daje zajęcie kobiecym palcom, ale zostawia im pod dostatkiem czasu na rozmowy. Nie jestem pewny, o czym te damy wówczas rozmawiały, ponieważ zawsze milkły, gdy wchodziłem do pokoju. Najwyraźniej były to sprawy, którymi kobiety nie lubią dzielić się z mężczyznami. Polgara udzielała chyba swej siostrze rozlicznych rad odnośnie życia w małżeństwie - aczkolwiek nie mam najmniejszego pojęcia, skąd wiedziała o tych sprawach. Ile informacji mogła w końcu zdobyć, przesiadując na drzewie w otoczeniu ptaków?

Ostatecznie nadszedł szczęśliwy dzień. Riva był bardzo zdenerwowany, ale Beldaran wydawała się spokojna. Uroczystość odbyła się na Dworze Rivańskiego Króla - w sali tronowej Rivy. Sala tronowa pewnie nie jest najlepszym miejscem na ślub, ale Riva upierał się, wyjaśniając, że chciałby wziąć ślub w obecności Klejnotu, a w świątyni Belara miecz u boku, byłby trochę nie na miejscu. Oto cały Riva.

Ze ślubami wiąże się całe mnóstwo tajemniczych obrządków, których znaczenie dawno już poszło w zapomnienie. Pan fu i młody powinien na miejsce ślubu przybyć pierwszy, w otoczeniu gromadki krzepkich przyjaciół, którzy stanowczo rozprawiliby się z każdym, kto

sprzeciwiłby się ślubowi. Riva miał ich

oczywiście pod dostatkiem. Jego ojciec, bracia i kuzynowie, wszyscy w błyszczących kolczugach, otaczali go tłumnie przed wejściem do dworu. Zdecydowanie jednak zabrałem Drasowi jego topór i przypasałem mu miecz w pochwie. Dras łatwo się unosił, a ja nie chciałem, aby zaczął rąbać gości weselnych, demonstrując, jak bardzo kochał swego młodszego brata.

W końcu wszyscy się usadowili. Ucichły pobrzękiwania kolczug. Wówczas, za sprawą Beldina, rozległy się fanfary oznajmiające przybycie panny młodej. Beldin bezgranicznie uwielbiał Beldaran i trochę przesadził. Jestem niemal pewny, że mieszkańcy Tol Honeth, oddalonego o setki mil na południe, przestali się na moment oszukiwać, by zapytać: "Co to było?", gdy powietrzem sali tronowej wstrząsnął dźwięk tysięcy srebrnych trąbek. Po fanfarach rozległ się chór stłumionych kobiecych głosów - pewnie kilkuset - szemrających hymn na cześć panny młodej. Ongiś Beldin przez kilka dobrych stuleci studiował muzykę i ten hymn robił wielkie wrażenie, ale utwór o tak złożonej harmonii był dla mnie trochę za skomplikowany

Odziani w zbroje Alornowie otworzyli z rozmachem wielkie wrota Dworu Rivańskiego Króla i Beldaran, cała w bieli, stanęła w środku wejścia. Wiem, że był to dokładnie środek, ponieważ wymierzałem go osiem razy i wyciąłem w kamiennej posadzce znak, który tam pewnie nadal jest. Beldaran, blada jak księżyc, stała w sklepionym łukowo wejściu, a wszyscy Alornowie odwrócili się, wyciągnęli szyje i utkwili w niej spojrzenia.

Rozległo się bicie ogromnego dzwonu. Po ślubie szukałem go, ale nigdzie nie mogłem znaleźć.

Wtem moją młodszą córkę oblało ciepłe, białe światło, które z każdą chwilą robiło się coraz bardziej intensywne.

Polgara, otulona błękitnym aksamitnym płaszczem, podeszła i ujęła mnie pod rękę.

- Ty to robisz? - zapytała mnie, wskazując głową blask oświetlający jej siostrę.

- To nie ja, Pol - odparłem. - Właśnie chciałem zapytać, czy to twoja sprawka.

- Może to wujek Beldin. - Poruszyła lekko ramionami i płaszcz miękko opadł z nich, ukazując suknię. Na jej widok niemal zapało mi dech w piersiach

Beldaran była cała w bieli i jaśniała niczym błądzący płomień w smudze światła, która bez wątplenia była ślubnym prezentem od zabawnego staruszka na rozklekotanym wozie. Polgara była cała w błękitach. Jej suknia opadała z ramion w fałdach i skomplikowanych marszczeniach, a rękawy i dekolt kończyły się śnieżnobiałymi koronkami. Idealnie pasowała, nie pozostawiając wątpliwości, że Polgara była dziewczyną. Ta błękitna suknia była niczym

załamująca się fala, a Polgara wynurzała się z niej jak bogini wychodząca z morza.

Staralem się, jak mogłem najlepiej, panować nad swymi emocjami.

- Ładna sukienka - wydusiłem przez zaciśnięte zęby.

- Ta starość? - powiedziała lekceważąco, dotykając od niechcienia jednej z koronek. Potem roześmiała się ciepłym, gardłowym śmiechem, który zabrzmiał bardzo dorosło jak na jej wiek, i pocałowała mnie. Nigdy dobrowolnie tego przedtem nie robiła i zaskoczyła mnie tym tak bardzo, że nawet nie usłyszałem dzwonów bijących w mej głowie na alarm.

Stanęliśmy po obu stronach panny młodej, ujęliśmy ją pod ręce i dostojnie, powolnym, odmierzonym krokiem doprowadziliśmy naszą ukochaną Beldaran do uwielbianego przez nią I Króla Wyspy Wiatrów.

W głowie aż roilo mi się od różnych myśli, toteż nie przysłuchiwałem się zbyt uważnie ceremonii zaślubin odprawianej przez najwyższego kapłana Belara. Jeśli słuchałeś jednej ślubnej ceremonii, to tak jakbyś słyszał je wszystkie. W pewnym momencie zdarzyło się jednak coś niezwykłego.

Klejnot mego Mistrza zaczął jarzyć się intensywnym błękitnym blaskiem, niemal dokładnie takiego samego koloru jak suknia Polgary. Wszyscy ogromnie się cieszyliśmy ze ślubu Bel-daran i Rivy, ale wydawało mi się, że Polgara wywarła na Klejnocie o wiele większe wrażenie niż jej siostra. Mógłbym się założyć, że to, co widziałem potem, zdarzyło się naprawdę, choć nikt poza mną nie przyznał, by cokolwiek widział. Być może dlatego dałem się przekonać, że widywałem już rzeczy, których naprawdę nie było. Klejnot, jak mówiłem, rozjarzył się, ale zawsze to czynił, gdy Riva był w pobliżu, więc nie było w tym nic niezwykłego.

Niezwykłe było to, że Polgara również zaczęła świecić. Zdawał się od niej bić delikatny bladobłękitny blask, ale jej biały lok na skroni nie był jasny, tylko intensywnie błękitny.

A potem zdawało mi się, że usłyszałem delikatny trzepot skrzydeł dobiegający z głębi sali. To właśnie sprawiło, że zacząłem podawać w wątpliwość swe zdrowe zmysły.

Zdawało się jednak, że Polgara również to usłyszała, ponieważ odwróciła się.

I z głębokim szacunkiem i miłością skłoniła się nisko, z zapierającą dech w piersiach gracją, przed mglistym wizerunkiem śnieżnobiałej sowy, siedzącej na krokwi Dworu Rivańskiego Króla.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przestańcie mi już, u licha, suszyć głowę. Jasne, powinienem zdawać sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo osobliwego. Postawcie się jednak w mojej sytuacji. Pamiętajcie, że śmierć Poledry niemal przyprawiła mnie o utratę zmysłów. Ktoś, kogo trzeba przykuwać do łóżka łańcuchami, ma problemy. Potem jakieś trzy lata marynowałem swój mózg w portowych tawernach Camaar, a przez następne dziewięć lat zabawiałem damy w Mar Amon i przez cały ten czas widywałem wiele rzeczy, których naprawdę nie było. Tak się do tego przyzwyczaiłem, że przestałem zwracać na to uwagę, traktując wszystko jako przywidzenia. Zdarzenie na ślubie Beldaran nie było przywidzeniem, ale skąd miałem o tym wiedzieć. Wykażcie trochę więcej zrozumienia. To uczyni was lepszymi.

Tak więc Beldaran i Riva pobrali się i byli obłędnie szczęśliwi. Jednakże na świecie działo się wiele innych rzeczy i Beldin zaproponował, że skoro królowie Alornów i tak są na Wyspie Wiatrów, to moglibyśmy wykorzystać okazję i przedyskutować kilka spraw wagi państwowej. Na temat powstania Rady Alornów napisano całą kupę bzdur, oto więc jak naprawdę doszło do jej utworzenia. Tolnedranie od stuleci protestowali przeciwko tym dość nieformalnym corocznym spotkaniom - głównie dlatego, że nie byli na nie zapraszani. Tolnedranie to podejrzliwi ludzie i za każdym razem, gdy docierała do nich wieść o jakiejś naradzie, byli absolutnie przekonani, że spiskowano tam przeciwko nim.

Polgara wzięła udział w naszej naradzie. Początkowo nie bardzo miała na to ochotę, ale byłem nieugięty. Nie mogłem pozwolić, aby włóczyła się po twierdzy bez dozoru.

Nie jestem przekonany, by nasza zaimprovizowana narada rzeczywiście wiele osiągnęła. Większość czasu rozmawialiśmy na temat Angaraków. Nikogo z nas nie cieszyła ich obecność po tej stronie Morza Wschodu, ale w danej chwili niewiele mogliśmy na to poradzić. Po prostu odległości były zbyt wielkie.

- Mógłbym zrobić wypad w te lasy na wschód od mokradeł i spalić miasta Nadraków - gruchnął Dras swym tubalnym głosem - ale to byłoby bez sensu. Nie mam tylu ludzi, by zaludnić te pustkowia. Wcześniej czy później musiałbym się wycofać, a wówczas Nadrakowie po prostu znowu wyszliby z lasów i odbudowaliby swoje miasta.

- Czy kontaktowaliście się z nimi? - zapytała Pol.

- Kilka potyczek, to wszystko. - Dras wzruszył ramionami. - Co jakiś czas schodzą z gór, a wtedy ich przepędzamy z powrotem. Nie myślę, aby to było coś poważnego. Pewnie po prostu sprawdzają naszą obronę.

- Miałam na myśli pokojowe kontakty.
- Nie ma czegoś takiego, jak pokojowe kontakty pomiędzy Alornami i Angarakami, Polgaro.

- Może powinny być.
- Uważam, że to wbrew naszej religii.
- Może powinienes to przemyśleć. Jak rozumiem, Nadrakowie są kupcami. Być może byliby zainteresowani handlem.

- Nie sędzę, by mieli cokolwiek, czego byśmy potrzebowali.
- Ależ wręcz przeciwnie, Drasie. Posiadają informacje na temat Murgów, którzy nas bardzo interesują. Jeśli ktokolwiek miałby przysporzyć nam kłopotów, to właśnie Murgowie.
Gdy-

byśmy od Nadraków wiedzieli, co robią, nie musielibyśmy wyprawiać się do Rak Goska, by samemu to sprawdzać.

- Ona ma rację, Drasie - zwrócił się do swego brata Algar.
- Moi ludzie kontaktowali się kilkakrotnie z Thullami, ale od nich nie da się wyciągnąć zbyt wiele. Z tego, co słyszałem, Nadrakowie nie przejmują się zbytnio Murgami, być może więc nie mieliby nic przeciwko przekazaniu kilku informacji na ich temat.

- Czy rzeczywiście potraficie dostać się do Mishrak ac Thull przez Wschodni Szaniec? - zapytał Cherek z pewnym zaskoczeniem.

- Szaniec przecinają biegnące w dół wąwozy, ojczy - odparł Algar. - Są strome, ale do przejścia. Murgowie patrolują zachodnią granicę Mishrak ac Thull i od czasu do czasu jeden z ich patroli schodzi na równiny Algarii - zwykle, by ukraść konie. Nie podoba nam się to, więc przeganiamy ich z powrotem.

- Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu. - Lepiej, by to oni znaleźli dla nas te wąwozy, niż mielibyśmy szukać ich sami.

- To jest myśl - przyznał Dras. - Skoro Murgowie potrzebują koni, to może i ich zainteresowałibyśmy handlem?

Algar pokręcił głową.

- Nie, nie Murgów. Nie w głowie im handel. Jeden z moich wodzów przepytował raz Thulla, który, o dziwo, nawet potrafił odróżnić prawą rękę od lewej. Thull powiedział, że Ctuchik jest w Rak Goska. Dopóki on sprawuje władzę nad społecznością Murgów, nie ma mowy o żadnych pokojowych kontaktach.

- A zatem Pol ma rację - powiedział Beldin. - Trzeba będzie spróbować współpracy z Nadrakami - dodał i spojrzął w sufit. - Nie sędzę, aby ta migracja Angaraków stanowiła jakieś

zagrożenie - a przynajmniej jeszcze nie teraz. W Cthol Mishrak nie ma zbyt wielu ludzi, a Ctuchik znacznie ich jeszcze rozproszył. Prawdziwe zagrożenie nadal stanowi Mallorea. Myślę, że wrócę tam i będę miał oko na wszystko. Angarakowie na tym kontynencie to tylko zwiadowcy. Prawdopodobnie przybyli tu po to, aby zbudować składy na zapasy i przygotować punkty wymiany koni. Z ostrzeżeniem mieczy możecie poczekać, dopóki Malloreanie nie zaczną przeprawiać się na drugi brzeg. Będę pilnie nadstawiał ucha i dam wam znać, gdy wojsko ruszy z Mai Zeth na północ, w kierunku przejścia lądowego. Polgara przygryzła wargę.

- Chyba warto zacieśnić stosunki z Tolnedranami i Arendami.

- A po co, kochana siostrze? - zapytał Riva. Teraz byli rodziną i machinalnie zwracał się do niej w tej formie. Rodzina jest dla Alornów bardzo ważną sprawą.

- Możemy potrzebować ich pomocy przeciwko Malloreanom.

- Tolnedranie nie pomogą, dopóki im nie zapłacimy - wtrącił Cherek - a Arendowie są zbyt zajęci bratobójczymi walkami.

- Oni również tu żyją, Chereku - zauważyła - i nie sądzę, aby bardziej niż my pragnęli obecności Mallorean na tym kontynencie. Legiony mogłyby być bardzo pomocne, a Arendowie przygotowują się do wojny od czasu, gdy Torak rozłupał świat. Poza tym Chaldan i Nedra pewnie poczuliby się urażeni, gdybyśmy wyruszyli na wojnę i nie zaprosili ich na nią.

- Wybacz, Polgaro - zagrmiał Dras - ale skąd wiesz tyle o polityce? O ile wiem, dopiero po raz pierwszy opuściłaś Dolinę.

- Wujek Beldin informował mnie na bieżąco - odparła, wzruszając lekko ramionami. - Zawsze dobrze jest wiedzieć, co robią sąsiedzi.

- Czy jest sens mieszać w to Nyissan i Maragów? - zapytał Riva.

- Pewnie powinniśmy im to zaproponować - powiedziałem. - Obecna Salmissara to całkiem inteligentna panna i Angarakowie niepokoją ją tak samo jak nas. Maragowie na niewiele się zdadzą. Nie ma ich zbyt wielu, a fakt, iż są kanibalami, mógłby wszystkich zdenerwować.

Beldin wybuchnął swym paskudnym śmiechem.

- No to powiedz im, aby zaczęli zjadać Angaraków. Niech Murgowie się denerwują.

- Lepiej zbierajmy się do domu - zasugerował Cherek, wstając. - Wesele już się skończyło, a skoro Malloreanie mają przybyć, lepiej zacznijmy przygotowywać się na ich powitanie.

Taki mniej więcej był przebieg pierwszej Rady Alornów.

- Czy to zawsze jest takie zabawne? - zapytała Polgara, gdy wracaliśmy do naszej

kwatery.

- Zabawne? Czyżbym coś przegapił?

- Polityka, ojciec - wyjaśniła. - Te wszystkie próby odgadnięcia posunięć drugiej strony.

- Zawsze to lubiłem.

- A zatem zdaje się, że naprawdę jesteś moim ojcem. To było o wiele zabawniejsze niż wodzenie za nos młodzieńców i przyprawianie ich o drżenie kolan trzepotem rżęs.

- Jesteś okrutna, Polgaro.

- Cieszę się, że to zauważyłeś, ojciec. Nie byłoby wcale zabawne dostać cię przez zaskoczenie. - Rzuciła mi jeden z tych swoich tajemniczych uśmiezków. - Strzeż się mnie, ojciec - ostrzegła. - Jestem przynajmniej tak niebezpieczna jak ty czy Torak.

Rzeczywiście tak powiedziałas, Polgaro, zatem nie próbuj | zaprzeczać.

Rozstanie z Beldaran nie należało do najszcześniejszych i" momentów w naszym życiu. Miłość do jasnowłosej córki przywróciła mnie do zdrowych zmysłów, a związki Polgary z jej siostrą bliźniaczką były tak złożone, że nawet nie próbowałem ich zrozumieć.

Przed odejściem miałem dłuższą rozmowę z Beldinem.

Obiecał, że będzie informował mnie o tym, co dzieje się w Mallorei, ale motywy jego powrotu tam wydały mi się nieco podejrzan. Miałem wrażenie, że chciał podjąć przerwana dyskusję o rozgrzanych do białości hakach z Urronem, a może miał nadzieję spotkać Zedara w jakimś ustronnym miejscu. Beldin nie należał do najmiłszych ludzi na świecie.

Życzyłem mu powodzenia - szczerze. Ja również nie należę do najmiłszych. 'Grat w końcu nie jest miły.

Mój brat opuścił przylądek tuż na południe od portu Rivy i wzbił się do góry, machając leniwie skrzydłami. My z Pol opuściliśmy wyspę w bardziej konwencjonalny sposób. Cherek zabrał nas na wybrzeże Sendarii na jednym ze swych niebezpiecznie wąskich okrętów. Choć sam pomagałem je projektować, to nie lubiłem wojennych okrętów Chereka. Niezaprzeczalnie były szybkie, ale za każdym razem gdy wchodziłem na ich pokład, miałem wrażenie, że zaraz się wywróci. Jestem pewny, że Silk to rozumie, choć dla Baraka zawsze to będzie niepojęte.

Nie spieszyliśmy się zbytnio z powrotem do Doliny. W końcu nie było powodu. W osobiwy sposób ślub Beldaran zaprowadził pokój pomiędzy mną i Pol. Nie rozmawialiśmy o tym, po prostu zwarliśmy szeregi, aby zamknąć lukę, która nagle pojawiła się w naszych życiach. Pol nadal robiła cięte uwagi, ale nie było w nich już poprzedniej zjadliwości.

Był środek lata, gdy dotarliśmy do domu. Pierwszy tydzień spędziliśmy na szczegółowym opowiadaniu bliźniakom o weselu i podbojach Pol. Jestem pewny, że

zauważyli zmianę jej wyglądu, ale nie dali tego po sobie poznać.

Potem już na dobre rozgościliśmy się w swej wieży. Pewnego wieczoru, po kolacji, Polgara poruszyła temat, który od dawna chodził mi już po głowie. Jeśli sobie dobrze przypominam, zmywaliśmy właśnie naczynia. Nie przepadam szczególnie za wycieraniem naczyń, ale skoro Polgara to lubiła, nie protestowałem, aby nie zakłócać niełatwego pokoju między nami. Podała mi ostatni, ociekający wodą talerz, wytarła ręce i powiedziała:

- Zdaje się, że czas rozpocząć moją edukację, ojczu. Mistrz marudzi już o tym od jakiegoś czasu.

Niemal upuściłem talerz.

- Aldur też z tobą rozmawia? - zapytałem, jak mogłem najspokojniej.

Spojrzała na mnie figlarnie.

- Oczywiście - odparła, po czym jej spojrzenie przybrało obraźliwie litościwy wyraz. - Daj spokój, ojczu. Czyżbyś chciał powiedzieć, że nie wiedziałeś?

Wiem, że nie powinienem czuć się zaskoczony, ale wychowywałem się w społeczeństwie, w którym kobiety pełniły rolę służby. Oczywiście Polgara to co innego, ale z jakiejś przyczyny znaczenie tego, o czym właśnie mi powiedziała, było absolutnie szokujące. Fakt, że Aldur przybywał do niej w ten sam sposób jak do mnie, był wyznacznikiem określonego statusu, a ja po prostu nie byłem gotów na przyjęcie uczennicy. Chyba jestem na to trochę za staromodny.

Na szczęście miałem tyle rozumu, aby zachować uwagi dla siebie. Skończyłem wycierać talerz, odstawiłem go na półkę i odwiesiłem ścierkę.

- Od czego najlepiej zacząć? - zapytała.

- Pewnie od tego samego co ja. Nie obraż się, Pol, ale musisz nauczyć się czytać.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć tego, co powinnam wiedzieć?

Pokręciłem głową

- Dlaczego?

- Ponieważ nie znam wszystkiego, czego powinnaś się nauczyć. Usiądźmy, Pol, spróbuję ci to wyjaśnić. - Zaprowadziłem ją do tej części wieży, którą przeznaczyłem na prowadzenie swych badań. Nigdy nie pomyślałem o zbudowaniu ścianek

działowych we wnętrzu, dlatego było to po prostu jedno duże

pomieszczenie, którego poszczególne części przeznaczone były na różną działalność.

Usiedliśmy przy dużym stole założonym książkami, zwojami i tajemniczymi częściami jakiejś maszynierii. - Po pierwsze - zacząłem - wszyscy jesteście inni.

- A to ci nowina. Jak to się stało, że nigdy tego nie zauważyłam?

- Mówię poważnie, Pol. To, co nazywamy "talentem", ujawnia się w każdym z nas na inny sposób. Beldin potrafi robić rzeczy, których ja nawet nie próbowałbym czynić. Pozostali z nas również posiadają szczególne umiejętności. Mogę ci dać podstawy, ale potem będziesz zdana już wyłącznie na siebie. Twoje talenty rozwiną się w zależności od tego, jak pracuje twój umysł. Ludzie paplają o "czarach", ale większość z tego, co wygadują, jest wierutną bzdurą. Tymczasem wszystko, czym jest bądź może być, to myśl, a każdy z nas myśli inaczej. O to właśnie mi chodziło, gdy powiedziałem, że jesteś zdana tylko na siebie.

- A zatem po co mi czytanie? Skoro jestem taka wyjątkowa, co przydatnego mogłabym znaleźć w twoich książkach?

- To skrót, Polgaro. Choćbyś nie wiadomo jak długo żyła, nie wystarczy ci czasu na odtworzenie myśli, które kiedykolwiek przysły do głowy wszystkim, którzy żyli. Po to czytamy - aby oszczędzić czas.

- Skąd będę wiedziała, co jest dobre, a co nie?

- Nie będziesz - przynajmniej początkowo. W miarę upływu czasu zaczniesz jednak odróżniać prawdę od fałszu.

- Ale to będzie tylko moja opinia.

- Tak, o to właśnie chodzi.

- A jeśli będę się mylić?

- Musisz podjąć ryzyko. - Usiadłem wygodniej na swym krześle. - Nie ma żadnych prawd absolutnych, Pol. Życie byłoby prostsze, gdyby tak było, ale nie jest.

- Tu cię mam, staruszkę - rzekła z zapalem. Polgara uwielbiała dobre dyskusje. - Są rzeczy, które wiemy na pewno.

- Tak? Wymień którąś.

- Słońce wzejdzie jutro rano.

- Dlaczego?

- Zawsze wschodzi.

- Czy to rzeczywiście oznacza, że zawsze będzie? Wyraz lekkiego zaskoczenia przemknął jej przez twarz.

- Chyba będzie, prawda?

- Prawdopodobnie, ale nie możemy być tego absolutnie pewni. Kiedy już raz uznasz coś za pewnik, zamykasz na to swój umysł, a umysł zamknięty do niczego nie dochodzi. Wszystko podawaj w wątpliwość, Pol. Na tym polega uczenie się.

- To może zająć więcej czasu, niż myślałam.

- Pewnie tak. Możemy zacząć?

Pol musiała rozumieć, co robi. Gdy już pojęła, dlaczego umiejętność czytania jest ważna, opanowała ją w zdumiewająco krótkim czasie i im więcej czytała, tym lepiej jej to szło. Być może dzięki jej oczom. Ja potrafię czytać szybciej od innych pewnie dlatego, że umiem uchwycić znaczenie całego wiersza jednym spojrzeniem. Pol w ten sam sposób potrafi zrozumieć cały rozdział. Jeśli kiedykolwiek będziecie mieli okazję obserwować moją córkę z książką w ręku, nie dajcie się zwieść sposobem, w jaki ją leniwie kartkuje. Bo nie kartkuje. Ona w ten sposób czyta, nie opuszczając nawet jednego słowa. Przez całą moją bibliotekę przebrnęła w trochę ponad rok. Potem zabrała się za księgozbiór Beldina - co było trochę większym wyzwaniem, jako że biblioteka Beldina w owych czasach była pewnie najobszerniejszym księgozbiorem na świecie.

Niestety, Polgara miała zwyczaj głośnego komentowania książek w trakcie czytania. W tym czasie ja zajęty byłem własnymi studiami, a bardzo trudno jest się skoncentrować przy nieustannych okrzykach: "Nonsens!", "Idiotyzm!" czy nawet "Duby smalone!"

- Czytaj dla siebie! - krzyknąłem na nią pewnego wieczoru.

- Ależ, kochany ojcze - odezwała się słodko - to ty poleciłeś mi tę książkę, więc chyba wierzysz w to, co jest w niej napisane. Ja jedynie próbuję otworzyć twój umysł na możliwość istnienia odmiennej opinii.

Dyskutowaliśmy o filozofii, teologii i naukach przyrodniczych. Spieraliśmy się na temat logiki i prawa. Krzyczeliśmy na siebie przy okazji omawiania etyki i moralności. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak dobrze się bawiłem. Za każdym razem zapędzała mnie w kozi róg. Gdy na poparcie swego stanowiska powoływałem się na mądrość płynącą z mego wieku, ona zgrabnie odpierała moje nadęte gadulstwo ostrą jak brzytwa logiką. Teoretycznie to ja ją uczyłem, ale sam przy tym korzystałem równie dużo.

Bliźniacy co i rusz przychodzili z narzekaniami. Mamy z Pol donośne głosy i nie szczczędziliśmy ich w trakcie dyskusji, a oni nie mieszkali znowu aż tak daleko, więc musieli wysłuchiwać naszych dyskusji - choć nie mieli na to ochoty.

Byłem bardzo zadowolony z jej bystrości, nieco mniejszą radość budziła we mnie rodząca się w niej zarozumiałość. Polgara miała tendencję do przesady. Przez całe dzieciństwo przekornie nie dbała o swój wygląd. Teraz popadła w drugą skrajność. Absolutnie musiała brać kąpiel co najmniej raz dziennie - nawet zimą. Ja zawsze uważałem, że kąpiele zimą są niezdrowe, ale Pol wyśmiała to i zanurzała się po uszy w ciepłej wodzie z pianą przy każdej okazji. Mało tego, zasugerowała, że ja również powinienem częściej się kąpać. Myślę, że miała jakiś wewnętrzny kalendarz, dzięki któremu potrafiła mi powiedzieć - i często to czyniła - jak dawno temu brałem ostatnią kąpiel. Zwykliśmy prowadzić na ten

temat długie dyskusje.

Jeśli o mnie chodzi, mogłaby sobie brać kąpiel i pięć razy dziennie. Ona jednak upierała się, by również myć za każdym razem włosy! Pol ma bardzo gęste włosy i w naszej wieży nieustannie było pełno oparów. Zapach wilgotnych włosów nie należy do moich ulubionych. W lecie nie było jeszcze tak źle, ale zimą musiałem po prostu z tym żyć.

Miara przebrała się, gdy przesunęła zwierciadło Beldaran tak, aby mogła oglądać się w nim w czasie czytania. W istocie Polgara wyrosła na równie piękną pannę jak Beldaran, ale doprawdy...

Wyczyniała ze swymi brwiami rzeczy, które wyglądały na bardzo bolesne.

Prawdę powiedziawszy, wiem, że były bolesne. Pewnego ranka obudziłem się, gdy spokojnie pochylona wrywała moje - włoski po włosku. Potem, nadal niezadowolona, zabrała się za moje uszy. Miło być schludnym, ale bez przesady. Włosy w moich uszach mają swe powody, by tam rosnąć. Bronią wstępu owadom i zabezpieczają mózg przed chłodem zimy. Matka Polgary nigdy nie protestowała przeciwko moim owłosionym uszom. Oczywiście Poledra inaczej patrzyła na świat.

Pol poświęcała niezwykle wiele czasu swym włosom.

Czesła je.

Szczotkowała.

Doprowadzała mnie do szaleństwa tymi wszystkimi zabiegami. Tak, wiem, że Polgara ma piękne włosy, ale gdy robi się zimno, zaczynają wydawać trzaski. Spróbujcie sami. Pozwólcie urosnąć włosom aż za pas, a potem wyszczotkujcie je w mroźny zimowy poranek. Bywały dni, że przypominała jeża, a z jej palców tryskały skry, gdy tylko dotknęła czegoś metalowego.

Zwykła kląć przy tym co nie miara. Polgara w istocie nie pochwałała przeklinania, ale znała wszystkie potrzebne do tego słowa.

Była chyba późna wiosna roku, w którym skończyła osiemnaście lat, gdy po raz pierwszy przekroczyła barierę i zademonstrowała swój dar. Pol przejawia dziwną skromność. Nie lubi, by ktokolwiek przyglądał się, jak prezentuje swe umiejętności. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z jej stosunkiem do nagości. Nikt - naprawdę nikt - nie widział Polgary wychodzącej z kąpeli odzianej jedynie w uśmiech. W ten sam sposób skrywa swój dar - z wyjątkiem sytuacji niecierpiących zwłoki.

Prawdę powiedziawszy, nie była to sprawa niecierpiąca, zwłoki. Pol po uszy siedziała w pewnym traktacie filozoficznym. Była bardzo skupiona, a ja niewinnie napomknąłem, że Od dwóch dni nic nie jedliśmy. Był schyłek zimy i pewnie mogłem pod postacią wilka

upolować kilka polnych myszy, ale miałem ochotę na coś konkretniejszego. Myszy nie są złe, ale to tylko skóra i kości.

- Och, bracie - powiedziała i wykonała niedbały gest, nie podnosząc nawet głowy nad książki - i na gołym kuchennym stole pojawił się kawał dymiącej wołowej łopatki.

Spojrzałem nieco zde gustowany. Tłuszcz kapał na podłogę, a poza tym mięso było nie dopieczone. Polgara dostarczyła mięso. Pieczenie i doprowadzanie do smaku było moim problemem.

Przygryzłem wargę.

- Straszne dzięki - powiedziałem sardonicznie.

- Nie ma za co - odparła, nie odrywając oczu od książki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Świat poza Doliną się zmieniał. Nie było w tym nic szczególnego; świat zawsze się zmieniał. Jedyną różnicą tym razem polegała na tym, że to zauważaliśmy. Trawiaste równiny na północ od nas zawsze były nie zamieszkałe - jeśli nie liczyć dzikich koni i bydła. Ale teraz żyli tam Algarowie.

Lubiłem Algara Chyżonogiego, najinteligentniejszego z synów Chereka. Fakt, iż nie otwierał bez potrzeby buzi, był na to dowodem. Być może gdyby to on był pierwotnym synem, to nie trzeba by dzielić Alorii. Nie miałem przy tym zamiaru czynić zarzutów Drasowi. Był bowiem jednym z najodważniejszych ludzi, tyle że nieco porywczym. Może miało to coś wspólnego z jego rozmiarami.

Zapoczątkowana przez Algara hodowla koni zaczęła przynosić pierwsze rezultaty. Zwierzęta były potężniejsze i coraz więcej Algarów jeździło konno. Dzięki krzyżówkom karłowatego alornskiego bydła z dzikim z równin otrzymano zwierzęta] pokaźnie j szych rozmiarów i łagodniejszego usposobienia.

Alornowie byli dobrymi sąsiadami - chciałem przez to powiedzieć, że nam się nie naprzykrzali. Algar regularnie przysyłał posłańców z wieściami do Doliny, ale poza tym jego ludzie pozostawiali nas w spokoju.

Jakieś dwa lata po ślubie Beldaran - zdaje się, że było to późną wiosną - do Doliny przybył sam Algar ze swym kuzynem Anrakiem.

- Dobre wieści, Belgaracie - zawołał, gdy znalazł się pod moją wieżą. - Zostaniesz dziadkiem.

- Najwyższy czas - odkrzyknąłem. - Wejdźcie na górę, obaj. - Stałem na schodach i kazałem otworzyć się drzwiom.

- Kiedy rozwiązanie? - zapytałem, gdy zaczęli wchodzić.

- Zdaje mi się, że za miesiąc - odparł Anrak. - Beldaran pragnie, abyście przybyli na Wyspę. Panie lubią mieć przy sobie rodzinę, gdy przychodzi na świat ich pierwsze dziecko. - Anrak rozejrzał się po wieży. - Gdzie jest lady Polgara?

- Odwiedza bliźniaków - odrzekłem. - Niedługo wróci. Usiądźcie, panowie. Przyniosę ale. Myślę, że trzeba to uczcić.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przez całe popołudnie, potem wróciła Polgara. Wieści przyjęła raczej spokojnie, co mnie dość zaskoczyło.

- Musimy spakować kilka rzeczy. - Tylko tyle powiedziała, nim zabrała się za

przygotowywanie kolacji. Jestem przekonany, że ona już wiedziała o odmiennym stanie siostry.

- Przyprowadziłem konie - powiedział spokojnie Algar.

- Dobrze - odparła Pol. - To długa podróż.

- Często jeździsz konno? - zapytał.

- Nie za często.

- Trochę potrwa, nim przywykniecie do siodła - ostrzegł.

- Poradzę sobie, Algarze.

- Zobaczymy.

Powiniennem baczniejszą uwagę zwrócić na ostrzegawczą nutę w jego głosie. Nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia z końmi. Oczywiście widywałem je, ale nim Algarowie rozpoczęli hodowlę, były dość małe i miałem wrażenie, że szybciej dotrę wszędzie na piechotę. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem następnego dnia i nim minęło południe, żałowałem, że nie podróżuję pieszo. Algarskie siodła są pewnie najlepsze na świecie, ale i tak są bardzo twarde, a równy kłus, który był ulubionym sposobem jazdy Algarów, sprawiał, że od ciągłego podskakiwania bolały mnie wszystkie kości. Przez kilka pierwszych dni nawet jadłem na stojąco.

Dalej na północy zaczęliśmy natykać się na małe stada bydła.

- Czy to dobry pomysł, by tak chodziły samopas? - zapytał Algara Anrak.

- A dokąd miałyby pójść? - odparł Algar. - Tu jest woda i trawa.

- A nietrudno ich pilnować?

- Nie bardzo. - Algar wskazał na samotnego jeźdźcę na szczycie pobliskiego wzgórza.

- To mi wygląda na nudne zajęcie.

- Jeśli ci się poszczęści. Pasterz woli, aby jego zajęcie nie było zbyt ekscytujące.

- Co zamierzasz zrobić z tym całym bydłem? - zapytałem.

- Chyba je sprzedam. Gdzieś się znajdują chętni.

- Być może - powiedział z lekkim powątpiewaniem Anrak - ale jak zamierzasz je tam dostarczyć?

- A po co mają nogi, Anraku?

Następnego dnia natknęliśmy się na obozowisko jednego z algarskich klanów. Większość ich wozów przypominała inne farmerskie wozy - otwarte skrzynie na czterech kołach. Jednakże kilka z nich miało osobliwy wygląd. Przypominały zamknięte kufry.

- To pewnie coś nowego? - zapytał Anrak, wskazując na jeden z nich.

Algar skinął głową.

- Często wędrujemy, więc postanowiliśmy zabierać z sobą nasze domy. To bardziej praktyczne.

- Myślisz, że kiedyś zbudujecie miasto? - zapytał Anrak.

- Już zbudowaliśmy - odparł Algar. - Tylko nikt w nim nie mieszka. Znajduje się na wschód stąd.

- Po co budować miasto, skoro nie planujecie w nim mieszkać?

- To dla Murgów.

- Dla Murgów?

- Tym sposobem mają gdzie wpadać z wizytą. - Przez twarz Algara przemknął nikły uśmiech. - To dla nas o wiele wygodniejsze.

- Nie rozumiem.

- Jesteśmy pasterzami, Anraku. Wędrujemy za bydłem. Murgowie nie potrafią tego pojąć. Ich jazda porusza się w małych grupach. Zjeżdżają wężozami z szanca, by kraść konie, a potem próbują wrócić, nim ich dopadniemy. Co jakiś czas zjeżdża jednak na dół większa grupa, szukając okazji do walki. Zbudowaliśmy więc miasto na niby, aby mieli jakiś cel i nie włóczyli się po całej Algarii. Łatwiej ich w ten sposób znaleźć.

- A zatem to przynęta? Algar zastanowił się nad tym.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- Czy jego zbudowanie nie kosztowało zbyt wiele pracy? Algar wzruszył ramionami.

- Nie mamy za wiele do roboty. W końcu krowy pasą się same.

Noc spędziliśmy w obozowisku Algarów. Następnego ranka odjechaliśmy na zachód.

Główne przejście przez góry było już wolne od śniegu i zauważyłem, że Algar bacznie mu się przyglądał.

- Dobra trawa - zauważył - i pod dostatkiem wody.

- Czyżbyś myślał o poszerzeniu swego królestwa? - zapytałem.

- Nie. W okolicy Darine żyje kilka klanów, ale zachodnie stoki są za gęsto porośnięte drzewami, nie nadają się na pastwiska dla krów. Czy ta droga prowadzi do jakiegoś miasta?

- Do Muros - powiedziałem. - Zbudowali je wacuńscy Arendowie.

- Może po narodzinach syna Rivy wpadnę do Vo Wacune i porozmawiam z księciem. Przeprowadzenie bydła przez tę przełęcz nie powinno nastęrczać zbytnich problemów, a jeśli rozejdzie się wieść, że spędzamy tam bydło, to do Muros może zacząć ściągać kupcy. Mierzi mnie myśl, że musiałbym ich sam szukać.

Oto jaki był początek dorocznych targów bydła w Muros, które z czasem stały się jedną z największych handlowych imprez na całym Zachodzie.

Ale uprzedzam fakty.

W Muros wynająłem powóz i z radością opuściłem siodło. Przesiedliśmy się z Pol do niego, a Algar i jego kuzyn pozostali na końskich grzbietach. Bez przeszkód dotarliśmy do Camaar. Tam weszliśmy na pokład okrętu, który oczekiwał na Anra-ka. Rivańskie statki są szersze od okrętów wojennych Chereka, więc dwudniowa podróż na Wyspę Wiatrów była naprawdę przyjemna.

Nie sposób niepostrzeżenie dostać się do miasta wzniesionego na Wyspie przez Rivę. Mieszkańcy wiedzieli o naszym przybyciu na długo, nim nasz okręt przybił do brzegu. Riva czekał na nas przy nabrzeżu.

- Czy zdążyliśmy? - zawołała Polgara, gdy marynarze rzucili liny ludziom czekającym na brzegu.

- Myślę, że mamy pod dostatkiem czasu - odparł. - Przynajmniej tak mi mówiły akuszerki. Beldaran chciała wam wyjść na spotkanie, ale jej zabroniłem. Nie wiem, czy dobrze zrobiłaby jej wspinaczka po tych wszystkich schodach.

- Widzę, że zgoiliłeś brodę - powiedziałem.

- Wolałem to od sprzeczek. Moja żona ma na temat bród swoje zdanie.

- Wyglądasz bez niej młodziej - zauważyła z aprobatą Pol. Marynarze przystawili trap i zeszliśmy na brzeg. Polgara przytuliła swego szwagra i rozpoczęliśmy długą wspinaczkę na szczyt.

- Jak tam pogoda? - zapytał kuzyna Anrak.

- Niecodzienna - odparł Riva. - Nie padało już prawie od tygodnia. Ulice zaczynają wysychać.

Beldaran czekała na nas przy wejściu do twierdzy. Istotnie była w bardzo poważnym stanie.

- Zdaje się, że trochę przybrałaś na wadze, kochana - powiedziała uszczypliwie Pol, po czym ją przytuliła.

- Zauważyłaś. - Beldaran roześmiała się. - Niebawem pozbędę się swej tuszy. Przynajmniej taką mam nadzieję. - Położyła dłoń na wydatnym brzuchu. - To krępujące i niewygodne, ale myślę, że tego warte. - Potem podeszła i pocałowała mnie. - Jak się masz, ojczy?

- Jak zwykle.

- O tak - przyznała Pol. - Nic nie zmieni naszego ojca.

- Może weszlibyśmy do środka? - zaproponował Riva. - Nie chcę, by Beldaran się przeziębila.

- Czuję się doskonale, Rivo - powiedziała. - Za bardzo się przejmujesz.

Ciąża Beldaran poruszyła mnie do głębi. O dziwo, wspomnienia o jej matce wcale nie były tak bolesne. Ciąża uczyniła Poledrę bardzo szczęśliwą i to właśnie pamiętałem lepiej niż późniejsze wydarzenia.

Trochę byłem niespokojny z powodu powrotu Polgary na scenę jej poprzednich triumfów. Ona jednak najwyraźniej uznała, że złamała już dość serc i nie zwracała większej uwagi na tłumy młodzieńców, którzy przybyli do Cytadeli na wieść o jej przyjeździe. Pol lubiła być w centrum uwagi, ale tym razem miała głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Młodzieńcy sposepniali, ale nie sądzę, aby jej to zbyt przeszkadzało. Ja byłem zadowolony.

Oczywiście Polgara większość czasu spędzała ze swą siostrą, ale odbywała też długie narady z akuszerkami. Myślę, że od tamtego czasu datuje się jej zainteresowanie medycyną. Przyjście na świat dziecka to chyba najlepszy moment na rozpoczęcie zgłębiania nauk medycznych.

Pozostali z nas byli niepotrzebni. Gdy kobiety wydają na świat dzieci, ich mężowie są naprawdę zbędni. Pol dała nam to jasno do zrozumienia, a my mądrze postanowiliśmy nie dysku-

tować na ten temat. Pomimo swego młodego wieku Polgara zaczynała już brać sprawy w swoje ręce. Nie raz - wielokrotnie - wołałem, aby nie była taka władca, ale taka już była.

Wysoko w wieży Riva miał komnatę, która służyła mu za rodzaj pracowni, choć trudno go nazwać moim ksiązkowym. Nie chcę tu sugerować, że był głupi, ale brak mu było owej czytelniczkiej pasji, tak charakterystycznej dla naukowców. Myślę, że w owym czasie jego głównym strapieniem były przepisy podatkowe.

Algar, Anrak i ja dotrzyśmy mu towarzystwa w wieży - głównie po to, aby nie plątać się pod nogami.

- Miałeś wieści od Beldina? - zapytał mnie Algar pewnego ranka, gdy już usadowiliśmy się, by kolejny dzień spędzić na rozmowach o wszystkim i o niczym.

- Od kilku miesięcy żadnych - odparłem. - Zdaje się, że w Mallorei panuje spokój.

- Czy Torak nadal jest w Ashabie? - zapytał Riva.

- Z tego, co wiem, tak. Podczas ostatniej rozmowy Beldin powiedział mi, że Torak nadal znajduje się ekstazie.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał Anrak. - Co właściwie mu się stało?

- Słyszałeś o dwóch Przeznaczeniach?

- Co nieco. Kapłan Belara czasami mówi o tym w swoich kazaniach. Zwykle jednak

działa to na mnie usypiająco.

- Postaraj się nie zasnąć tym razem - powiedziałem. - Mówiąc najprościej, wszechświat zaistniał w pewnym Celu.

- To rozumiem.

- Dobrze. W każdym razie wydarzyło się coś, co nie powinno się wydarzyć, i spowodowało rozdwojenie Celu. Teraz są dwie możliwości tam, gdzie była jedna.

- W tym miejscu zwykle zasypiam - rzekł.

- Pokonaj senność. Poprzednio wskazówki otrzymywaliśmy wprost od Bogów, ale oni odeszli, więc wskazówki otrzymujemy od jednej z Konieczności. Torak kieruje się wskazówkami

jednej z nich, a my drugiej. Na niektórych ludzi spływa natchnienie za sprawą Konieczności, wtedy zaczynają mówić. Większość ludzi uważa ich za szaleńców, ale oni nie są obłąkani. Oni jedynie przekazują nam wskazówki.

- To chyba dość niepraktyczny sposób? Wzruszyłem ramionami.

- Tak, ale tak już musi być.

- Dlaczego?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. W każdym razie Torak mający już od lat, a Urvon posadził skrybów, którzy spisują każde jego słowo. W tych majaczeniach są wskazówki i aluzje dotyczące przyszłości. Gdy tylko Torakowi wróci jasność myśli, postara się zrozumieć ich znaczenie. - Nagle coś mi się przypomniało. - Czy Dras nadal ma tego szaleńca przykutego łańcuchami do słupa w pobliżu Boktoru? - zapytałem Rive.

- O ile wiem, tak - chyba że biedak poprzegryzał łańcuchy i zwiął na bagna. W Darine też jest taki jeden. Nie jest aż tak szalony jak ten Drasa, ale niewiele mu brakuje.

Spojrzałem na Algara.

- Czy w pobliżu Darine znajduje się któryś z twoich klanów?

-Tak.

- Mógłbyś przekazać wieści jednemu ze swych wodzów? Chciałbym, aby skrybowie zaczęli spisywać majaczenia tego człowieka. Być może są ważne.

- Już się o to zatroszczyłem, Belgaracie.

- Zdaje się, że wrócę do domu okrężną drogą - powiedziałem z zadumą. - Chciałbym rzucić okiem na tych dwóch proroków i porozmawiać z nimi. Może udałoby mi się znaleźć odpowiednie słowa, by ich sprawdzić. Czy Dras nawiązał już jakieś kontakty z Nadrakami?

- Nie osobiście - odparł Riva. - Dras jest uprzedzony do Angaraków. W Boktorze są jednak kupcy, którzy handlują trochę wzdłuż granicy. Zbierają sporo informacji.

- Dowiedzieli się czegoś użytecznego?

- Trudno powiedzieć. Fakty po przejściu przez kilka ust często ulegają wypaczeniu. Z tego, co wiem, Murgowie kierują się na południe, na ziemie zachodnich Dalów. Zdaje się, że nie pozostaje im nic innego. Thullowie powoli tracą ochotę na żywienie swych byłych panów, a wokół Rak Goska nic nie rośnie. Murgom pozostało więc jedynie ruszyć lub umrzeć z głodu.

- Może zblądzą aż na południowy kraniec kontynentu - powiedział Algar. - Tęsknię za widokiem maszerujących nad morze Murgów.

- Czy były jakieś wieści o Ctuchiku? - zapytałem.

- Myślę, że opuścił Rak Goska - odparł Riva. - Mówią, że buduje miasto w miejscu zwanym Rak Cthol. Podobno to gdzieś na szczycie jakichś gór.

- To byłoby logiczne - powiedziałem. - Ctuchik jest Grolimem, a Grolimowie nie mogą odżalować pochłoniętego przez morze Korimu. Z jakichś względów uwielbiają świątynie na szczytach gór.

- Ze mnie nie mieliby pociechy w takim miejscu - powiedział Anrak. - Mogę iść do świątyni, jeśli to niezbyt kłopotliwe. Nie miałbym jednak ochoty wspinać się do niej. - Spojrzał na mnie. - Spotkałeś kiedyś Ctuchika?

- Chyba tak - odparłem. - Myślę, że to on kierował pościgiem po wykradnięciu przez nas Klejnotu. Ctuchik sprawował pieczę nad wszystkim w Cthol Mishrak. Torak całą swoją uwagę skupił na Klejnocie, więc dogłębne oglądanie bieżących spraw pozostawił Ctuchikowi. Wiem, że pościgiem dowodził Urvon lub Ctuchik. Słyszałem też, że Urvon nie pojawia się w Cthol Mishrak bez wyraźnego wezwania Toraka.

- Jak Ctuchik wyglądał?

- Jak pies, gdy widziałem go po raz ostatni - mruknął Algar.

- Pies?

- Jeden z gończych Toraka - wyjaśniłem. - Niektórzy Grolimowie przybierają postać psów, aby strzec tego miejsca.

- A któż chciałby zbliżyć się do miejsca takiego jak Cthol Mishrak?

- My - powiedział Algar. - Było tam coś, czego chcieliśmy. - Spojrzał na mnie. - Czy Beldinowi nie obito się o uszy, gdzie mógłby być Zedar? - zapytał.

- Nic o tym nie wspominał.

- Myślę, że powinniśmy się mieć przed nim na baczności. Wiemy, że Urvon jest w Mai Yaska, a Ctuchik w Rak Cthol. Nie wiemy, gdzie jest Zedar, a to czyni go niebezpiecznym. Urvon i Ctuchik są Angarakami. Jeśli któryś z nich wyruszy po Klejnot, to przybędzie z całą

armią. Zedar nie jest Angarakiem, toteż może spróbować innego sposobu.

Oszczędziłbym sobie - i innym ludziom - wielu kłopotów, gdybym z większą uwagą wysłuchał słów Algara. Jednakże nie mieliśmy czasu na dalsze roztrząsanie tego problemu, gdyż właśnie wtedy przybył do nas posłaniec od Polgary.

- Królu - zwrócił się do mego zięcia - lady Polgara powiedziała, że powinieneś teraz przyjść.

Riva wstał pospiesznie.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

Posłańcem był brodaty alornski wojownik, który wydawał się lekko urażony swym zadaniem. Polgara nie przywiązywała wagi do rangi. Gdy czegoś potrzebowała, wysyłała po to pierwszą osobę, która jej się nawinęła pod rękę.

- Moim zdaniem, tak - odparł posłaniec, wruszając ramionami. - Kobiety biegają z wiadrami gorącej wody, a twoja żona krzyczy.

- Krzyczy? - powtórzył Riva z obłędem w oczach.

- Kobiety zawsze krzyczą, gdy rodzą dzieci, mój panie. Moja żona urodziła już dziewięcioro, a nadal krzyczy.

Riva odepchnął go na bok i pognął schodami na dół, przeskakując po cztery stopnie naraz.

To był pierwszy poród, przy którym asystowała Pol, więc pewnie dlatego trochę przedwcześnie wezwała Rivę. Beldaran rodziła jeszcze cztery godziny i cały ten czas Riva zdecydowanie przeszkadzał. Myślę, że tego dnia moja córka wiele się nauczyła. Potem zawsze już wynajdowała przyszlęmu ojcu jakieś zajęcie - zwykle fizyczne i daleko od komnaty, w której rodziła jego żona. We właściwym czasie przyszedł na świat mój wnuk, czerwony, wrzeszczący chłopiec o mokrych włoskach, które po wyschnięciu okazały się jasne jak piasek. Polgara wyszła z sypialni z małym zawiniątkiem w ramionach. Na jej twarzy malował się wyraz dziwnego zadumania.

- Patrzcie, oto dziedzic Rियाńskiego Tronu - zwróciła się do nas, wyciągając ku nam dziecko.

Riva z trudem wstał.

- Czy ona dobrze się czuje?

- Dobrze, Rivo. Weź dziecko.

- Ależ on okropnie małeńki.

- Jak większość dzieci. Weź go.

- Może lepiej nie. Mógłbym go upuścić

W oczach Polgary pojawiły się groźne błyski.

- Weź dziecko, Rivo - powiedziała powoli, akcentując każde słowo. Nikt nie dyskutuje z Polgara, gdy przybiera taki ton.

Ręce Rivy trzęsły się gwałtownie, gdy wyciągnął je po syna.

- Podtrzymaj mu główkę - poinstruowała go.

Riva podłożył jedną ze swych ogromnych dłoni pod główkę dziecka. Kolana mu drżały w widoczny sposób.

- Może lepiej usiądź - powiedziała.

Riva usiadł w swym fotelu. Twarz miał bardzo bladą.

- Mężczyźni! - powiedziała Polgara, przewracając oczyma. Potem odwróciła się i wróciła do sypialni.

Mój wnuk spoglądał poważnie na swego ojca. Miał błękitne oczy i wydawał się o wiele spokojniejszy od dygoczącego olbrzyma, który go trzymał. Po kilku minutach Riva rozpoczął metodyczne oglądanie swej latorośli. Wszyscy rodzice uznają to za konieczne. Nie jestem pewny, dlaczego ludzie w takich okolicznościach liczą dziecku paluszki u rąk i nóg.

- Spójrzcie tylko na te malutkie paznokietki! - zawołał Riva. Dlaczego ludzi zawsze zdumiewają rozmiary dziecięcych paznokci? Czyżby spodziewali się zobaczyć szpony?

- Belgaracie! - krzyknął Riva zdławionym głosem. - On ma wadę!

Spojrzałem na dziecko.

- Nic złego nie widzę.

- Ma znamię na prawej dłoni! - Ostrożnie otworzył małe paluszki i pokazał mi dłoń dziecka.

Znamię nie było zbyt duże, ledwie biała plamka.

- Ach, to - powiedziałem. - Tym się nie martw. Powinno tam być.

- Co takiego?

- Spójrz na swoją dłoń, Rivo - powiedziałem cierpliwie. Młody ojciec otworzył ogromną dłoń.

- Ale to jest ślad po oparzeniu. Zrobił mi się, gdy pierwszy raz podniosłem Klejnot Aldura - nim mnie poznał.

- A bolało, gdy cię oparzył?

- Dokładnie nie pamiętam. Byłem wówczas trochę podniecony. Torak był w sąsiednim pokoju i nie byłem pewny, czy naprawdę spał.

- To nie jest ślad po oparzeniu, Rivo. Klejnot wiedział, kim jesteś i nie oparzyłby cię. On jedynie cię nazaczył. Twój syn został naznaczony dokładnie tak samo, ponieważ będzie

następnym Strażnikiem Klejnotu. Powinieneś przyzwyczać się do tego znamienia. Długo jeszcze będzie w twojej rodzinie.

- To zdumiewające. Skąd o tym wiesz? Wzruszyłem ramionami.

- Aldur mi powiedział - odparłem. Łatwo było powiedzieć, ale to nie było zupełnie zgodne z prawdą. Nie wiedziałem o istnieniu znamienia, dopóki go nie zobaczyłem, ale wówczas od razu wiedziałem, co oznaczało. Najwyraźniej ów osobliwy głos, gdy gościł w mej głowie w czasie drogi do Cthol Mishrak, przekazał mi ogromną ilość informacji. Szkoda tylko, że ta podświadoma wiedza wypływa na powierzchnię dopiero z chwilą zajścia określonych zdarzeń. Co więcej, gdy tylko ujrzałem znamię na dłoni wnuka, wiedziałem, co muszę uczynić.

Musiałem z tym jednak poczekać, gdyż Polgara właśnie wyszła z sypialni.

- Daj go - poleciła Rivie.

- Po co? - zapytał zaborczym tonem Riva.

- Czas, aby coś zjadł. Myślę, że Beldaran powinna się tym zająć, chyba że ty chcesz to zrobić.

Riva zaczerwienił się i szybko podał jej dziecko.

Aż do następnego ranka nie mogłem zrealizować swego zamierzenia. Tej nocy dziecko nie spało zbyt wiele. Każdy chciał je potrzymać, a ono znosiło to nad podziw dobrze. Mój wnuk miał niespotykane pogodnie usposobienie. Nie awanturował się ani nie płakał, po prostu poważnym wzrokiem uważnie przyglądał się każdej nowej twarzy. Raz i ja miałem okazję go potrzymać - przez krótką chwilę. Wziąłem go na ręce i mrugnąłem do niego. A on się uśmiechnął. Sprawilo mi to ogromną przyjemność.

Nie obyło się jednak bez pewnej wymiany zdań.

- On musi się trochę przespać - upierała się Polgara.

- Najpierw musi jednak zrobić coś innego - powiedziałem.

- Nie jest trochę za młody na zadania, ojcze?

- Do tego nie jest za młody. Chodź z nim.

- Dokąd idziemy?

- Do sali tronowej. Po prostu zanieś go, Pol. Nie sprzeczasz się ze mną. To jedna z tych rzeczy, które muszą się wydarzyć.

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Czemu tak od razu nie powiedziałeś, ojcze?

- Właśnie to zrobiłem.

- Co się tam wydarzy? - zapytał Riva.

- Nie chcę popsuć ci niespodzianki. Chodź z nami. Przeszliśmy z królewskich apartamentów na Dwór Rivańskiego Króla. Dwaj strażnicy, którzy zawsze tam byli, otworzyli przed nami wrota.

Byłem już oczywiście w sali tronowej Rivy, ale jej rozmiary zawsze mnie trochę zaskakiwały. Naturalnie była sklepiona. Nie można by pomieszczenia tych rozmiarów bezpiecznie przykryć płaskim dachem. Masywne belki krzyżowały się wysoko nad głowami, a podtrzymywały je rzeźbione drewniane filary. W podłodze, w równych odstępach znajdowały się trzy ogromne kamienne paleniska. Szeroka nawa wiodła do bazaltowego tronu. Miecz Rivy wisiał ostrzem w dół na ścianie za tronem. Klejnot na jego gałce słabo migotał. Powiedziano mi, że zawsze to czynił, gdy tylko Riva wchodził do sali tronowej.

Podeszliśmy prosto do tronu.

- Zdejmij swój miecz, Rivo - powiedziałem.

- Po co?

- To pewien rytuał, Rivo - odparłem. - Zdejmij miecz, schwyć go za ostrze i przedstaw Klejnotowi swego syna.

- To tylko kamień, Belgaracie. Nie dba o jego imię.

- Obyś nie był zaskoczony. Riva wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz. - Zdjął miecz i schwytał go za ogromne ostrze. Potem opuścił go i wyciągnął gałką ku dziecku w ramionach Polgary. - To jest mój syn, Daran - zwrócił się do Klejnotu. - On zaopiekuje się tobą, gdy ja odejdę.

Ja zapewne powiedziałbym to inaczej, ale Riva należał do tych, którzy mówią wprost i nie dbają zbytnio o formy. Zrozumiałem, skąd pochodzi imię mego wnuka, i byłem pewny, że ucieszy to Beldaran.

Byłem przekonany, że Daran spał w ramionach swej ciotki, ale coś go obudziło. Otworzył oczy i ujrzał Klejnot Aldura, który ojciec ku niemu wyciągał. Można by powiedzieć, że dzieci zawsze wyciągają ręce po błyskotki, które się im podsuwa, ale Daran wiedział dokładnie, co ma zrobić. Wiedział o tym, nim przyszedł na świat.

Wyciągnął swą małą, naznaczoną dłoń i pewnie położył ją na Klejnocie.

Ten natychmiast go rozpoznał. Rozbłysnął jasnym blaskiem, a błękitna poświata otoczyła Pol i dziecko, a potem niebiosy rozbrzmiały echem milionów radosnych, pełnych uniesienia głosów.

Jestem przekonany, że na ten dźwięk Torak zerwał się z wyciem na nogi - w Ashabie, pół świata stąd.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po narodzinach Darana zostaliśmy z Pol na Wyspie około miesiąca. Nic pilnego nie wzywało nas do Doliny, a to był dość szczególny czas w życiu wszystkich. Beldaran wróciła do sił już po kilku dniach i większość czasu spędzała razem z Pol. Nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak bolesna musiała być dla nich rozłąka. Momentami, gdy Pol sądziła, że nikt na nią nie patrzy, odsłaniała prawdziwe oblicze. Wówczas na jej twarzy dostrzegałem wyraz okropnego bólu. Nieodwracalnie została odsunięta od Beldaran - najpierw przez jej męża, a teraz przez dziecko. Ich losy rozeszły się i żadna z nich nie mogła nic na to poradzić.

Algar już po tygodniu wyruszył do Vo Wacune, aby porozmawiać z tamtejszym księciem. Najwyraźniej pomysł, który przyszedł mu do głowy na górskiej przełęczy, rozpalił jego wyobraźnię tak bardzo, że naprawdę zapragnął zbadać możliwości uruchomienia targu bydłęcego w Muros. Hodowla bydła to zajęcie przynoszące satysfakcję pod warunkiem, że zwierząt można się potem korzystnie pozbyć. Gdybym zastanowił się nad następstwami takiego rozwiązania, to pewnie zdałbym sobie sprawę z jego znaczącego wpływu na bieg historii. Dochody z tego targowiska pozwalały finansować udział Wacitów w arendzkiej wojnie domowej, a korzyści płynące z istnienia targowiska w Muros niemal gwarantowały obecność tam Tolnedran. Sądzę, że ostatecznie ten targ bydłocy przyczynił się do powstania królestwa Sendarii. Zawsze uważałem, że ekonomiczna teoria rozwoju historii jest pewnym uproszczeniem, ale w tym wypadku w znacznej mierze się sprawdzała.

Tymczasem czałem się za plecami swej małej rodzinki, wyczekując okazji, by położyć dłoń na swym wnuczku. Nie macie pojęcia, jakie to było trudne. Był pierwszym dzieckiem Beldaran, a ona traktowała go niemal jak nową ozdobę sukni. A kiedy ona go nie trzymała, robiła to Polgara. Potem przychodziła kolej na Rivę. Następnie przychodził czas karmienia i ponownie trafiał do rąk Beldaran. Przekazywali go sobie z rąk do rąk niczym grupka dzieci piłkę. W tej grze nie było miejsca dla jeszcze jednego uczestnika.

W końcu zostałem zmuszony do pojęcia pewnych kroków. Poczekałem do północy, zakradłem się do pokoju dziecięcego i wyjąłem Darana z kołyski. Potem wymknąłem się z nim cicho. Wszyscy dziadkowie darzą swe wnuczęta szczególnymi uczuciami, mną jednak kierowały trochę poważniejsze motywy. Przyjście na świat Darana było rezultatem wypełnienia pewnych instrukcji, których udzielił mi mój Mistrz. Musiałem więc zostać z chłopcem przez chwilę sam, aby upewnić się, czy wszystko dobrze zrobiłem.

Zaniosłem go do bawialni oświetlonej pojedynczą świeczką, położyłem sobie na

kolanach i spojrzałem mu prosto w zaspane oczka.

- Doprawdy to nic ważnego - mruknąłem do niego. Nie zamierzałem gaworzyć. Myślę, że to wręcz obraźliwy dla dzieci zwyczaj. Oczywiście byłem bardzo ostrożny w tym, co zamierzałem zrobić. Umysł dziecka jest szczególnie wrażliwy, a ja nie miałem zamiaru go uszkodzić. Sondowałem bardzo delikatnie, lekko muskając koniuszkami palców - mówiąc obrazowo - krańce jego świadomości. Połączenie mojej rodziny z rodziną Rivy miało spowodować przyście na świat kogoś bardzo ważnego i musiałem poznać możliwości Darana.

Nie rozczarowałem się. Jego umysł był jeszcze nie ukształtowany, ale bardzo bystry. Chyba w jakiś niejasny sposób zdawał sobie sprawę z tego, co robię, i uśmiechnął się. Z trudem opanowałem się, aby nie krzyknąć z radości. Będzie z niego pożytek.

- Później lepiej się poznamy - powiedziałem mu. - Chciałem się tylko z tobą przywitać. Zaniósłem go z powrotem do pokoju dzieciennego i ułożyłem w kołysce.

Po tym wydarzeniu mój wnuk często mi się przyglądał i zawsze śmiał się głośno, gdy puszczałem do niego oko. Riva i Beldaran uważali, że to czarujące. Jednakże Polgara tak nie sądziła.

- Co zrobiłeś temu dziecku? - zapytała z wyrzutem, gdy pewnego wieczoru przyłapała mnie samego na korytarzu.

- Po prostu przedstawiłem mu się, Pol - odparłem tonem jak najmniej napastliwym.

- Doprawdy?

- Jesteś podejrzliwa, Polgaro - powiedziałem. - W końcu jestem dziadkiem chłopca. To naturalne, że mnie lubi.

- A czemu śmieje się na twój widok?

- Pewnie dlatego, że bardzo zabawny ze mnie facet. Nigdy tego nie zauważyłaś?

Wbiła we mnie swe groźne spojrzenie, ale nie zostawiłem jej najmniejszej szparki. To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy udało mi się ją przechytrzyć. Prawdę mówiąc, jestem z tego dość dumny.

- Będę cię bardzo uważnie obserwować, staruszk - ostrzegła.

- Proszę bardzo, Pol. Być może, jeśli zrobię coś zabawnego, uda mi się i na twojej twarzy wywołać uśmiech. - Potem poklepałem ją czule po policzku i odszedłem, cicho pogwizdując.

Kilka tygodni później opuściliśmy z Pol Wyspę. Anrak przeprowadził nas na drugą stronę Morza Wiatrów. Wpłynęliśmy do głęboko wciętej zatoki, która znajdowała się tuż na zachód od jeziora Sendar. Przybiliśmy do brzegu w miejscu, w którym dziś wznosi się miasto

Sendar. Jednakże wówczas nie było tam żadnego miasta, tylko mroczny las, który porastał całą północną Sendarię aż do czwartego tysiąclecia.

- Ta okolica nie wygląda zbyt zachęcająco - powiedział Anrak, gdy przygotowaliśmy się z Pol do zejścia na ląd. - Na pewno nie chcesz, abym zawiózł was do Darine?

- Nie, tu jest dobrze, Anraku. Lepiej nie ryzykować bez potrzeby spotkania z Przesmykiem Chereka.

- Wcale nie jest taki groźny - tak przynajmniej mi mówiono.

- Mylisz się, Anraku - oświadczyłem mu z przekonaniem. - Właśnie, że jest groźny. Wielki Maelstrom w jego środku całą flotę łyka na śniadanie. Wolę pójść pieszo.

- Okręty wojenne Chereka przepływają tamtędy cały czas, Belgaracie.

- To nie jest okręt wojenny Chereka, a ty nie jesteś dostatecznie szalony, aby być Cherekiem. Pójdziemy pieszo.

Statek Anraka przybił do brzegu i zeszliśmy na ląd. Ciekawe, kiedy zaprzestano tak długo praktykowanego zwyczaju lądowania na plaży. Teraz okręty zarzucają kotwicę w pewnej odległości od brzegu, a pasażerów na ląd przewożą łodzie. Zapewne to pomysł Tolnedran. Ich kapitanowie są dość bojaźliwi.

Stojąc na piaszczystej plaży, obserwowaliśmy z Pol, jak marynarze Anraka z trudem spychali statek ponownie na wodę. Gdy w końcu im się udało, odpłynęli kawałek wiosłując, postawili żagle i wypłynęli z zatoki.

- Co teraz, ojczy? - zapytała Pol. Spojrzałem na słońce.

- Mamy wczesne popołudnie - rzekłem. - Rozbijemy obóz, a dalej wyruszmy wczesnym rankiem.

- Jesteś pewny, że znasz drogę do Darine?

- Oczywiście. - Prawdę powiedziawszy, nigdy tam jeszcze nie byłem, ale miałem ogólne pojęcie, gdzie to jest. Z biegiem

lat odkryłem, że najlepiej udawać, iż wiem, co robię i dokąd zmierzam. Oszczędza to wielu dyskusji.

Oddaliliśmy się nieco od plaży i na miłej leśnej polance rozbiliśmy obóz. Chciałem zabrać się za gotowanie, ale Pol nawet nie chciała o tym słyszeć. Próbowałem chociaż udzielić jej kilku rad na temat pichcenia na otwartym ogniu, ale ona szorstko kazała mi pilnować własnego nosa i zabrała się za to po swojemu. Muszę przyznać, że kolacja nie okazała się wcale taka zła.

Przez następnych kilka dni wędrowaliśmy przez ten prastary las na północny zachód. Okolice była nie zamieszkała, toteż nie dostrzegłem żadnych ścieżek. Kierowałem się na

wycucie, wybierając najłatwiejszą drogę. Wiele lat swego życia spędziłem w lasach i odkryłem, że to najlepszy sposób poruszania się w nich. Oczywiście wiązało się to z pewnym krążeniem, ale ostatecznie doprowadzało cię tam, dokąd zmierzałeś.

Jednak Polgarze to się nie podobało.

- Ile dziś przeszliśmy? - zapytała mnie pod wieczór drugiego dnia.

- Och, nie wiem - odparłem. - Pewnie z siedem, osiem lig.

- Mam na myśli w linii prostej.

- W lesie nie chodzi się po linii prostej, Pol. Drzewa przeszkadzają.

- Można to zrobić szybciej, ojczu.

- Spieszysz się?

- Nie sprawia mi to szczególnej przyjemności, staruszk. - Popatrzyła z niesmakiem na ogromne omszałe drzewa. - Tu jest wilgotno, brudno i są robaki. Nie kąpałam się od czterech dni.

- Nie musisz się kąpać, kiedy jesteś w lesie, Pol. Wiewiórkom nie przeszkadza twoja brudna buzia.

- Chcesz się klócić?

- Co ci chodzi po głowie?

- Po co iść, kiedy można frunąć? Spojrzałem na nią zdumiony.

- Skąd o tym wiesz?

- Wujek Beldin robi to cały czas. Zdaje się, że miałeś zamiar mnie uczyć, ojczu. To chyba doskonała okazja, aby nauczyć mnie, jak zmieniać postać na bardziej użyteczną. Ty oczywiście możesz zrobić, jak zechcesz, ale ja nie mam zamiaru przedzierać się przez ten mroczny las aż do Darine, abyś mógł podziwiać widoki. - Pol potrafi wyolbrzymić każdy drobiazg. To jedna z jej wielkich wad.

Jednakże jej słowa nie były pozbawione logiki. Przyjemnie włóczyć się po lesie, ale musiałem jeszcze załatwić inne sprawy, a zmiana postaci mogła być bardzo pomocna. Nie byłem jednak pewny, czy jej zdolności już się na tyle rozwinęły, zatem pomysł ten budził we mnie pewne wątpliwości.

- Spróbujemy - w końcu poddałem się. To było łatwiejsze od sprzeczenia się z nią.

- Kiedy?

- Jutro rano.

- Czemu nie teraz?

- Ponieważ już się ściemnia. Nie chciałbym, abyś wpadła na jakieś drzewo i złamała sobie dziób.

- Jak sobie życzysz, ojcze. - Naturalnie jej uległy ton był oszukaństwem. Wygrała, więc teraz mogła pozwolić sobie na okazanie miłosierdzia.

Następnego ranka Pol była na nogach, nim się rozwidniło i wepchnęła we mnie śniadanie jeszcze przed wschodem słońca.

- No to teraz zaczynamy - powiedziała. Naprawdę miała ; ochotę spróbować.

Przez pewien czas opisywałem jej całą procedurę, dokładnie omawiając wszystkie szczegóły. Jej twarz tymczasem przybierała wyraz coraz większego zniecierpliwienia.

- Och, zaczynamy już, ojcze - ponagliła.

- W porządku, Pol - poddałem się. - Mam nadzieję, że zdołasz wrócić do swojej postaci, jeśli zmienisz się w latającego królika.

Spojrzała nieco zaskoczona.

- Szczegóły, Polgaro - wyjaśniłem jej. - W tym wypadku naprawdę musisz zwracać uwagę na szczegóły. Pióra nie są wcale takie łatwe. Dobrze. Nie spiesz się. Rób to powoli.

A ona oczywiście zignorowała mnie. Zmarszczyła brwi w wyrazie intensywnego skupienia. Potem jej postać zamigotała i rozmyła się - i Pol przybrała postać śnieżnobiałej sowy.

W jednej chwili do oczu napłynęły mi łzy i zdusiłem szloch.

- Wróć do swej postaci!

Spojrzała na mnie trochę zaskoczona i wróciła do własnej postaci.

- Nigdy więcej tego nie rób! - rozkazałem.

- Co w tym złego, ojcze?

- Każda postać, tylko nie ta.

- A co złego jest w tej? Wujek Beldin mówił, że mama zawsze ją przybierała.

- No właśnie. Wybierz sobie inną postać.

- Czy ty płaczesz, ojcze? - zapytała z pewnym zdumieniem.

- Tak, płacę.

- Nie sądziłam, że wiesz, jak to się robi. - Dotknęła mojej twarzy niemal czule. - A może być jakiś inny rodzaj sowy?

- Zmień się nawet w pelikana, jeśli chcesz, tylko trzymaj się z dala od tamtej postaci.

- A co powiesz na tą? - Przybrała postać sowy czubatej. Była brunatnego koloru, a sterczące z głowy pióra tak zmieniały ten nasuwający bolesne wspomnienia kształt, że mogłem to znieść.

- W porządku - powiedziałem - machnij skrzydłami i zobacz, czy potrafisz oderwać się od ziemi.

Zahukała na mnie.

- Nie rozumiem cię, Pol. Po prostu pomachaj skrzydłami. Porozmawiamy o tym później.

Dacie wiarę, że uczyniła to idealnie już za pierwszym razem? Powinno to obudzić moje podejrzenia, ale nadal dusiłem

w sobie szloch, więc się nad tym nie zastanawiałem. Machnęła kilka razy miękkimi skrzydłami, bez wysiłku oderwała się od ziemi i kilkakrotnie okrążyła polankę. Potem wylądowała na gałęzi i dziobem zaczęła wygładzać sobie pióra.

Trochę trwało, nim wróciłem do równowagi. Potem podszedłem do drzewa, na którym siedziała, i zadarłem głowę do góry, aby na nią spojrzeć.

- Nie próbuj teraz wracać do własnej postaci - poinstruowałem ją. -W przeciwnym razie spadniesz z drzewa.

Gapiła się na mnie z góry swymi wielkimi, nie mrugającymi oczyma.

- Idziemy w tamtym kierunku. - Wskazałem na północny wschód. - Ja nie zamienię się w ptaka, ponieważ nie fruwać zbyt dobrze. Przybiorę postać wilka. Pewnie za tobą nadążę, ale nie giń mi z oczu. Chciałbym być w pobliżu, gdyby coś poszło źle. Obserwuj słońce. Około południa powrócimy do własnej postaci.

Ponownie na mnie zahukała, w ten osobliwy sposób sów czubaty.

- Nie sprzeczasz się ze mną, Polgario - powiedziałem. - Zrobimy to na mój sposób. Nie chcę, abyś zrobiła sobie krzywdę. - Potem, aby uniknąć dalszych dyskusji, przybrałem postać wilka.

Początkowo jej przeloty były krótkie. Przemieszczała się z drzewa na drzewo, posłusznie trzymając się tuż przede mną. Bez najmniejszego problemu za nią nadążałem. Jednakże później zaczęła latać coraz dalej i byłem zmuszony biec susami. Nim nadeszło południe, biegłem już co sił w łapach. W końcu zatrzymałem się, uniosłem pysk i zawyłem na nią.

Pol zawróciła, poszybowała w dół i usiadła na ziemi. Potem zamigotała i powróciła do własnej postaci.

- Och, ależ to było przyjemne! - wykrzyknęła z zachwytem.

Język świerbił mnie, by wygłosić dłuższą przemowę. Porządnie mi dała w kość tego przedpołudnia. Jednakże powstrzymał mnie jej uśmiech. Polgara rzadko się uśmiecha, ale tym razem jej twarz po prostu promieniała, a biały lok nad czołem jaśniał niczym śnieg w słońcu. Dobry Boże, ależ była z niej piękna dziewczyna.

- Musisz bardziej wykorzystywać pióra w ognie - powiedziałem tylko.

- Tak, ojciec - odparła, nadal się uśmiechając. - Co teraz?

- Trochę odpoczniemy - zdecydowałem. - Po zachodzie słońca ruszymy dalej.

- W ciemnościach?

- Jesteś sową, Pol. Noc to dla ciebie naturalny czas na fruwanie.

- A co z tobą?

- Noc czy dzień - dla wilka nie ma różnicy - odparłem, wzruszając ramionami.

- Musieliśmy zostawić swoje zapasy - zauważyła. - Co będziemy jeść?

- To już zależy od ciebie, Pol. Pewnie wszystko, co będzie miało nieszczęście znaleźć się na twojej drodze.

- Chcesz powiedzieć, że mam jeść surowe mięso?

- To ty chciałaś być sową, kochana. Wróble jedzą nasionka, ale sowy wolą myszy. Nie radzę ci porywać się na dziką. Mogłabyś go nie unieść, ale to już twoja sprawa.

Pol odeszła na bok, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Muszę przyznać, że miała dobry pomysł. Dotarcie do Darine na piechotę zajęłoby dwa tygodnie. A nam udało się tam dotrzeć w trzy noce.

Słońce właśnie wschodziło, gdy wylądowaliśmy na wzgórzu na południe od portowego miasta. Wróciliśmy do własnych postaci i pomaszzerowaliśmy do bram miasta. Darine, podobnie jak niemal wszystkie miasta w owych czasach, było zbudowane z drewna. Miasto musi najpierw kilka razy spłonąć do fundamentów, nim jego mieszkańcy uznają, że drewno nie jest najlepszym budulcem. Przeszliśmy przez nie strzeżoną bramę. Za-

spanego przechodnia zapytałem, gdzie mogę znaleźć Hatturka, który wedle słów Algara, sprawował władzę w Darine. Skierował mnie do dużego domu w pobliżu brzegu, a potem stał, gapiąc się z głupią miną na Polgarę. Zapewne posiadanie ładnych córek jest miłe, ale nie ulega wątpliwości, że ściągają na siebie uwagę.

- Musimy być nieco ostrożni z Hatturkiem, Pol - powiedziałem, gdy wędrowaliśmy błotnistą ulicą w kierunku portu.

- Czemu?

- Algar mówił, że klany, które przeprowadziły się tutaj z równin, nie są zbyt zadowolone z podziału Alorii i zdecydowanie nie przepadają za stepami. Przenieśli się tutaj, ponieważ tęsknili za drzewami. Dawni Alornowie żyli w lasach i źle się czuli na otwartych terenach. Algar nie powiedział tego wprost, ale podejrzewałem, że Darine może być siedzibą wyznawców Kultu Niedźwiedzia, więc lepiej zachować ostrożność.

- A zatem ty poprowadzisz rozmowy, ojciec.

- Tak będzie najlepiej. Tutejsi ludzie to Alornowie starej daty. Będzie mi potrzebna

współpraca Hatturka, więc muszę obchodzić się z nim bardzo ostrożnie.

- Zatem zastraszasz go, ojczu. Czyż nie to zwykle robisz?

- Tylko wtedy, gdy jestem w stanie upilnować, aby robili, co im powiem. Gdy już raz kogoś zastraszysz, długo nie możesz odwrócić się do niego plecami, a Darine nie jest na tyle urocze, abym chciał spędzić w nim następne dwadzieścia lat, upewniając się, czy Hatturk wypełnia moje polecenia.

- Wielu rzeczy uczę się w czasie tej podróży.

- Dobrze. Postaraj się zbyt wiele nie zapomnieć.

Dom Hatturka był wielką budowlą z bali. Wódz alornskiego klanu pod wieloma względami przypomina króla. Otacza go zawsze liczna świta dworskich urzędników i jeszcze liczniejsza grupa straży przybocznej. Przedstawiłem się dwóm uzbrojonym po zęby Alornom pilnującym drzwi i niezwłocznie zostaliśmy

wpuszczeni do środka. Zwykle sława przysparza kłopotów, ale czasami się przydaje.

Hatturk był krzepkim Alornem z posiwiałą brodą, wydatnym brzuchem i przekrwionymi oczyma. Nie był szczególnie uszczęśliwiony zerwaniem z łóżka przed południem. Tak jak się spodziewałem, odziany był w niedźwiedzie skóry. Nigdy nie rozumiałem, czemu wyznawcy Kultu Niedźwiedzia uznawali za właściwe przywdziewanie skór totemu swego Boga.

- A zatem to ty jesteś Belgarathem - odezwał się zachrypniętym głosem. - Myślałem, że jesteś większy.

- Mogę się o to postarać, jeśli dzięki temu poczułbyś się lepiej.

Spojrzał na mnie odrobinę zaskoczony

- A dama? - zapytał, aby ukryć zmieszanie.

- Moja córka, Polgara Czarodziejka. - Zdaje się, że po raz pierwszy tak ją nazwano, ale chciałem zaskarbić sobie niepodzielną uwagę Hatturka i lepiej, aby nie rozpraszała go uroda Pol. Zaszczepienie w jego mózgu myśli, że Pol może go zmienić w ropuchę, było chyba najlepszym sposobem na wybicie mu głupot z głowy. Trzeba przyznać, że Pol potrafiła się znaleźć. Nawet nie mrugnęła okiem na mą niecodzienną prezentację.

Przekrwione oczy Hatturka przybrały błędny wyraz.

- To zaszczyt dla mego domu - powiedział, sztywno się kłaniając. Odniosłem wrażenie, że nie zwykł kłaniać się komukolwiek. - Czym mogę wam służyć?

- Algar powiedział, że macie tu w Darine szaleńca - rzekłem. - Musimy go zobaczyć.

- Ależ on nie jest wcale taki szalony, Belgaracie. Co jakiś czas zaczyna bredzić. To starzec, a starcy zawsze są trochę dziwni.

- Rzeczywiście - przyznała Pol.

Hatturk otworzył szeroko oczy, gdy uświadomił sobie, co właśnie powiedział.

- Nie miałem na myśli ciebie, Belgaracie - usprawiedliwił się pospiesznie.

- W porządku, Hatturku - wybaczyłem mu. - Nie tak łatwo mnie obrazić. Opowiedz mi nieco więcej o tym dziwnym starcu.

- Za młodu był odważnym wojownikiem - prawdziwym postrachem w bitwie. Może to jest wyjaśnienie. Ma dość zamożną rodzinę, więc gdy zaczął się dziwnie zachowywać, zbudowali mu dom na obrzeżach miasta. Jego młodsza córka jest starą panną - pewnie dlatego, że jest zezowata - i opiekuje się nim.

- Biedna dziewczyna - mruknęła Pol. Potem westchnęła teatralnie. - Zdaje się, że mnie to też czeka. Mój ojciec jest bardziej niż dziwny i wcześniej czy później będzie potrzebował opiekunki.

- Wystarczy, Pol - uciąłem zdecydowanym tonem. - Jeśli masz chwilę czasu, Hatturku, to z chęcią zobaczylibyśmy tego starca.

- Oczywiście - odparł i wyprowadził nas na ulicę. Rozmawialiśmy trochę po drodze do wschodniego krańca miasta. Na pomysł brukowania ulic Alornowie wpadli później, dlatego grzęźliśmy w błocie. Wypytałem Hatturka dość ostrożnie, a jego odpowiedzi potwierdziły moje podejrzenia. Ten człowiek duszą i ciałem zaprzedał się Kultowi Niedźwiedzia i nie trzeba było wiele, by sprowokować go do pełnej frazesów przemowy. Fanatykom religijnym tak bardzo brakuje wyobraźni. Nie ma racjonalnego uzasadnienia dla ich wierzeń, więc ich wypowiedzi wyprane są z logiki, nie skrępowane takimi drobiazgami jak prawda czy choćby prawdopodobieństwo.

- Czy skrybowie zapisują wszystko, co mówi ten szaleniec? - przerwałem mu.

- To tylko strata czasu i pieniędzy, Belgaracie - odparł obojętnym tonem. - Jeden z kapłanów Belara przejrzał zapiski skrybów i powiedział, abym nie marnował na to czasu.

- Król Algar chyba zostawił ci wyraźne rozkazy?

- Algar sam czasami wydaje się pomyłony. Kapłan powiedział, że dopóki mamy "Księgę Alornów", niepotrzebny nam żaden bełkot.

Oczywiście kapłan, który był wyznawcą Kultu Niedźwiedzia, nie tęsknił za nowymi prorocत्वami. Mogły kolidować z ich planem działania. Zakląłem w duchu.

Prorok z Darine i opiekująca się nim córka mieszkali na wschodnim skraju miasta w zadbanej chacie. Był bardzo starym, zylastym mężczyzną o rzadkiej siwej brodzie i dużych, gruzłowatych rękach. Nazywał się Bormik, a jego córka - Lu-ana. Hatturk nie przesadzał z jej opisem. Wyglądała tak, jakby przez większość czasu z uwagą wpatrywała się w koniuszek

swego nosa. Alornowie to zabobonni ludzie i wszelkie ułomności ich drażnią, toteż staropanieństwo Luany było całkiem zrozumiałe.

- Jak się dziś czujesz, Bormiku? - zakrzyknął Hatturk. Czemu ludzie uważają, że powinni krzyczyć, gdy rozmawiają z kimś, kto ma nie po kolei w głowie?

- Chyba nieźle - odparł Bormik dychawicznym, starczym głosem. - Mam trochę kłopotu z rękoma. - Wyciągnął swe nabrzmiałe wielkie dłonie.

- Za młodu zbyt często łamałeś palce na głowach innych! - ryknął Hatturk. - To jest Belgarath. Chce z tobą rozmawiać.

Oczy Bormika momentalnie stały się szkliste.

- Patrzcie! - powiedział grzmiącym głosem. - Oto Prastary i Ukochana przybyli po wskazówki.

- Znowu zaczyna - mruknął Hatturk. - Cała ta bezsensowna paplanina działa mi na nerwy. Poczekam na Dworze - dodał, po czym odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

- Wysłuchaj mnie, uczniu Aldura - ciągnął Bormik. Jego spojrzenie jakby było utkwione w mej twarzy, ale sądzę, że mnie nie widział. - Wysłuchaj mych słów, albowiem one są prawdą. Rozdwojenia nastanie kres, albowiem Dziecko Światła nadchodzi.

To właśnie chciałem usłyszeć. To było potwierdzenie, że Bormik był głosem proroctwa i wszystko, co w ciągu tych lat mówił, zawierało ważne informacje - a my to straciliśmy! Kląłem w duchu, a na myśl zaczęły mi przychodzić wszystkie paskudne rzeczy, które mogłem zrobić tępogłowemu Hatturkowi. Spojrzałem na Polgarę, ale ona siedziała w kącie pokoju i z zacięciem rozmawiała z zezowatą córką Bormika.

- A Wybór zostanie dokonany w świętym miejscu dzieci Boga-Smoka - ciągnął Bormik. - Albowiem Bóg-Smok jest pomyłką i nie był zamierzony. Jedynie Wybór może naprawić błąd i z powrotem wszystko scalić. W dniu, w którym Klejnot Aldura rozjarzy się purpurowym ogniem, imię Dziecka Mroku zostanie objawione. Strzeżcie dobrze syna Dziecka Światła, albowiem ono brata mieć nie będzie. I zdarzy się, że to, co kiedyś było jednością, a teraz jest rozdwojone, zjednoczy się i po zjednoczeniu jednego z nich już nie będzie.

Potem zmęczony opuścił głowę, jak gdyby wysiłek wygłoszenia proroctwa zupełnie starca wyczerpał. Mogłem spróbować go obudzić, ale wiedziałem, że na nic by się to nie zdało. Był zbyt stary i słaby, aby mówić dalej. Wstałem, wziąłem koc ze stojącej w pobliżu ławki i delikatnie okryłem drzemiącego starca. Nie chciałem, aby przeziębził się i umarł, nim przekaże nam wszystko, co miał do powiedzenia.

- Pol - zwróciłem się do córki.

- Za chwilę, ojciec - odparła, odpędzając mnie machnięciem ręki i dalej rozmawiała przyciszonym głosem z zezowatą Luaną. - A zatem zgoda? - zapytała starą pannę.

- Będzie, jak powiedziałeś, lady Polgaro - odparła podstarzała córka Bormika. - A teraz mała poprawka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Wstała, przeszła przez pokój i utkwiała spojrzenie w lustrzanym odbiciu swej twarzy. - Gotowe! - powiedziała tylko. Odwróciła i rozejrzała się po pokoju. Jej oczy patrzyły równie prosto jak każdego z nas - i były to piękne oczy.

O co tu chodziło?

- W porządku, ojciec - odezwała się niedbałym tonem Pol. - Teraz możemy iść - dodała i wyszła z pokoju.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytałem, otwierając przed nią drzwi.

- Coś za coś, ojciec - odparła. - Możesz to nazwać uczciwą wymianą.

- Oto i nasz problem - powiedziałem, wskazując na czekającego niecierpliwie Hatturka. - Jest wyznawcą Kultu Niedźwiedzia i nawet jeśli udałoby mi się zmusić go do zapisywania bełkotu Bormika, dałby to najpierw kapłanom do przeczytania. Rewizjonizm jest esencją religii, więc trudno powiedzieć, jakie śmieci do mnie dotrą.

- Już się tym zajęłam, ojciec - oświadczyła swym obraźliwie wyniosłym tonem. - Nie nadwerężaj rozumu Hatturka próbami tłumaczenia mu potrzeby dokładności. Luana zajmie się tym.

- Córka Bormika?

- Oczywiście. W końcu jest mu najbliższa. Od lat przysłuchiwała się jego bełkotowi i doskonale wie, w jaki sposób spowodować, aby powtórzył to, co niegdyś mówił. Do sprowokowania go wystarczy pojedyncze słowo. - Umilkła na chwilę. - Och - powiedziała, jakby sobie coś przypomniała - masz swoją sakiewkę. - Podała mi znacznie lżejszą sakiewkę, którą jakimś sposobem udało się jej wykraść. - Dałam jej pieniądze na wynajęcie skrybów.

- I? - zapytałem, biorąc sakiewkę. - Co i?

- Co dostała w zamian?

- Ależ, ojciec - powiedziała. - Przecież ją widziałeś.

- Masz na myśli jej oczy?

- Oczywiście. Tak jak powiedziałam, coś za coś.

- Jest już za stara, aby miało to jakieś znaczenie, Pol - zaprotestowałem. - Teraz już nie złapie męża.

- Może nie, ale przynajmniej będzie mogła spojrzeć sobie prosto w oczy w lustrze. - Spojrzała na mnie pobłażliwie. - Nigdy tego nie zrozumiesz, stary wilku. Wierz mi, wiem, co

robię. Co teraz?

- Moglibyśmy też wpaść do Drasni. Zdaje się, że tutaj skończyliśmy. - Wzruszyłem ramionami. - Jak wyprostowałaś jej oczy?

- Mięśnie, stary wilku. Napiąć jedno. Rozluźnij inne. To łatwe, jeśli jesteś uważny. Szczegóły, ojcze, trzeba zwracać uwagę na szczegóły. Czyż sam mi tego nie mówiłeś?

- Gdzie nauczyłaś się tyle o oczach? Polgara wzruszyła ramionami.

- Nie uczyłam się. Po prostu przyszło mi to do głowy po drodze. Mamy zatem iść do Drasni?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Noc spędziliśmy w domu Hatturka. Następnego ranka udaliśmy się do portu, aby pożeglować do Kotu, leżącego u ujścia rzeki Mrin.

- Pragnę ci podziękować, Hatturku - powiedziałem do wodza, gdy staliśmy na nabrzeżu.
- Cała przyjemność po mojej stronie, Belgaracie - odparł.
- Chciałbym ci udzielić rady, jeśli zechciałbyś jej wysłuchać.
- Oczywiście.

- Lepiej, abyś nie obnosił się ze swymi przekonaniem religijnymi. W przeszłości Kult Niedźwiedzia narobił wiele zamieszania w Alorii i królowie Alorii nie przepadają za nim. Król Algar to cierpliwy człowiek, ale nawet jego cierpliwość ma swoje granice. Wielokrotnie już zakazywano działalności tego kultu i mam wrażenie, że niedługo znów do tego dojdzie. Chyba nie chciałbyś znaleźć się po niewłaściwej stronie, gdy się to wydarzy. Algar potrafi działać bardzo zdecydowanie, jak coś postanowi.

Hatturk spojrział na mnie pośpiesznie. Próbowałem go ostrzec, ale zdaje się, że on wolał nie słuchać.

- Czy Dras wie, że przybywamy, ojcze? - zapytała Polgara, gdy wchodziliśmy na pokład.

Skinąłem głową.

- Rozmawiałem wczoraj z kapitanem Chereka. Właśnie jest w drodze do Boktoru. Płynie na jednym z tych okrętów wojennych, więc dotrze na długo przedtem, nim my przybędziemy do Kotu.

- Miło będzie znowu spotkać Drasa. Nie jest tak bystry jak jego bracia, ale ma dobre serce.

- Tak - przyznałem. - Zdaje się, że powinienem porozmawiać z nim po przybyciu do Kotu. Myślę, że już czas, aby się ożenił.

- Nie patrz na mnie, ojcze - powiedziała ściągając usta. -Lubię Drasa, ale nie aż tak.

Obecnie Kotu jest jednym z głównych portów morskich, w znacznej mierze dlatego, że tu kończy się Północny Szlak Karawan. Jednakże wówczas, gdy odwiedziliśmy je z Pol, handel z Nadrakami był bardzo ograniczony, a samo Kotu było zaledwie wioską z kilkoma wysuniętymi nad zatokę nabrzeżami. Dwa dni zajęła nam podróż z Darine przez Zatokę Chereka do ujścia rzeki Mrin. Dras czekał na nas. Stawił się w otoczeniu licznej świty, ale jej członkowie nie przybyli po to, aby mnie zobaczyć. Interesowała ich Polgara. Najwyraźniej

wieść o urodzie córki Prastarego Belgaratha rozeszła się po alornskich królestwach i młodzi Drasnianie przybyli z Boktoru, aby naocznie się o tym przekonać.

Jestem pewny, że się nie rozczarowali.

Kiedy płynęliśmy na Wyspę Wiatrów na ślub Beldaran, dziewczynki miały zaledwie po szesnaście lat, a na dodatek nigdy nie były poza Doliną. W czasie tamtej podróży bardzo niepokoiłem się o Polgarę. Teraz jednak była starsza i potrafiła sama się o siebie zatroszczyć, co już pokazała, więc mogłem przyglądać się zabiegom tych młodzieńców spokojnie, a nawet z pewnym rozbawieniem. Pol bawiło ich zainteresowanie, ale nie było mowy o żadnym nieodpowiednim zachowaniu z jej strony.

Nasz statek przybił do nabrzeża późnym popołudniem. Wynajęliśmy pokoje w nieco podniszczonym zajeździe. Następnego ranka mieliśmy wyruszyć w górę rzeki do wioski Braca, gdzie trzymano przykutego do pala Proroka z Mrin.

Rozmawiałem z Drasem do późnego wieczora, co dało Polgarze okazję do złamania kilku serc.

Dras rozparł się wygodnie w swym fotelu i spojrzał na mnie z przebiegłym błyskiem w oku.

- Wiesz, że Algar się żeni?

- Zabawne, nic o tym nie wspomniał - odparłem. - Podróżował z nami na Wyspę Rivy.

- Wiesz, jaki on jest - powiedział, wznosząc ramionami Dras. - Zdaje się, że też powinienem o tym pomyśleć.

- Miałem właśnie zamiar poruszyć ten temat - powiedziałem. - Zwykli ludzie mogą wedle własnego uznania żenić się lub nie, ale na królach spoczywa pewna odpowiedzialność.

- Nie sądzę, aby... - Zawiesił wyczekująco głos.

- Nie, Drasie - odparłem stanowczo. - Polgara nie wchodzi w grę. Zresztą nie sądzę, abyś miał ochotę się z nią żenić. Można powiedzieć, że ma trudny charakter. Znajdź sobie lepiej jakąś miłą alornską dziewczynę. Będziesz szczęśliwszy.

Dras westchnął.

- Jednak ona jest taka piękna.

- O tak, przyjacielu, ale na Pol czekają inne sprawy. Może nadejdzie czas, że i ona wyjdzie za mąż, ale to będzie jej decyzja i łatwo jej nie podejmie. Jak daleko jest do Braca?

- Dzień drogi w górę rzeki. Aby tam dotrzeć, musimy przepłynąć się przez moczary. - Pociągnął się w zamyśleniu za brodę. - Myślimy o ich osuszeniu. Zyskalibyśmy dobre ziemie pod uprawę, gdyby udało nam się pozbyć tej całej wody.

Wzruszyłem ramionami.

- To twoje królestwo, ale osuszanie bagien może okazać się niezłą harową. Miałeś ostatnio jakieś wieści od ojca?

- Jakiś miesiąc temu. Jego nowa żona znowu spodziewa się dziecka. Mają nadzieję, że tym razem to będzie syn. Według mnie moja przyrodnia siostra mogłaby przejąć tron po śmierci

ojca, ale Alornom nie bardzo podoba się pomysł posiadania królowej. Wydaje im się to nienaturalne.

Nie macie pojęcia, ile czasu zajęła mi zmiana tego podejścia. Porenn jest pewnie jedną z najbardziej uzdolnionych władczyń w historii, ale w kraju Drasnianie nie traktują jej poważnie.

Następnego ranka spałem do późna i było już prawie południe, gdy wyruszyliśmy w drogę.

Rzeka Mrin u swego ujścia płynie dość leniwie, co pewnie jest przyczyną powstania zalewiska, zwanego tu Żuławami Al-dura. Jest to rozległy bagnisty teren leżący pomiędzy rzekami Mrin i Aldur. W sumie jeden z najmniej atrakcyjnych obszarów na północy, jeśli chcecie znać moją opinię. Jednakże ja nie lubię bagnisk i stąd pewnie tak do tego podchodzę. Moczary cuchną, a powietrze jest zawsze tak wilgotne, że trudno mi złapać oddech. No i oczywiście pełno na nich robactwa, dla których człowiek jest źródłem pożywienia. W czasie drogi w górę rzeki pozostawałem w kabinie. Jednakże Polgara spacerowała po pokładzie w otoczeniu chmary zalotników. Wiem, że dobrze się bawiła, ale ja nie miałem zamiaru zapraszać wszystkich komarów w promieniu dziesięciu mil do skosztowania mojej krwi, bez względu na to, jak dobrze bym się bawił.

O zachodzie słońca kapitan kazał rzucić kotwicę. Kanał był dobrze oznakowany bojami, ale mimo wszystko nie byłoby rozsądnie błąkać się po moczarach w ciemnościach. Zbyt łatwo mogłam zabłądzić.

Po kolacji siedzieliśmy z Drasem w kabinie. Wkrótce dołączyła do nas Pol.

- Dras - zapytała wchodząc - dlaczego twoi ludzie podczas Rozmowy cały czas gestykują?

- To taki tajemny język - odparł.

- Tajemny język?

- Kupcy wpadli na ten pomysł. Czasami w czasie dobijania targów trzeba porozumieć się ze swoim współnikiem. Dlatego wynaleźli język migowy. Początkowo był bardzo prosty, ale teraz znacznie się skomplikował.

- Znasz go?

Dras wyciągnął jedną ze swych ogromnych dłoni.

- Z takimi palcami? Nie bądź śmieszna.

- Warto by go znać. Nie sądzisz, ojcze?

- Mamy inne sposoby porozumiewania się, Pol.

- Być może, jednak chciałabym się nauczyć tego języka. Nie lubię, gdy ludzie szepczą za moimi plecami - nawet jeśli robią to palcami. Masz może na statku kogoś, kto jest w tym biegły, Drasie?

Dras wzruszył ramionami.

- Sam nie przywiązuję do tego większej wagi. Mogę się jednak rozpyłać.

- Będę ci wdzięczna.

Następnego ranka popłynęliśmy dalej i koło południa dotarliśmy do wioski Braca.

- Niezbyt urocze miejsce - zauważyłem, spoglądając na wałce się chaty przycupnięte na błotnistym brzegu.

- Tol Honeth to nie jest - przyznał. - Gdy dowiedzieliśmy się o tym szaleńcu, chciałem go zabrać do Boktoru, ale on tu się urodził i wpada w szal, jeśli próbuje się go stąd ruszyć. Uzналиśmy, że lepiej zostawić go w spokoju. Skrybom nie bardzo się to podobało, ale dlatego tyle im płacę. Są tu po to, aby spisywać, co on mówi, a nie rozkoszować się widokami.

- Jesteś pewny, że dokładnie wszystko zapisują?

- Skąd mam wiedzieć, Belgaracie? Nie potrafię czytać. Wiesz o tym.

- Chcesz powiedzieć, że nadal się nie nauczyłeś?

- A po co miałbym sobie zawracać tym głowę? Od tego są skrybowie. Jeśli jest coś ważnego, to mi to czytają. Ci tutaj opracowali niezłą metodę. Przy szaleńcu jest ich zawsze trzech.

Dwóch zapisuje, a trzeci słucha. Kiedy szalenięc skończy, porównują obie zapisane wersje i ten, co słuchał, decyduje, która jest poprawna.

- Wydaje się to nieco skomplikowane.

- Wyraźnie dałeś do zrozumienia, jak bardzo zależy ci na dokładności. Jeśli znasz łatwiejszy sposób, to mi powiedz. Rad będę go usłyszeć.

Nasz statek przybił do chwiejnego pomostu i marynarze go przycumowali. Zeszliśmy na brzeg, aby obejrzeć Proroka z Mrin.

Nie wiem, czy widziałem kogoś tak brudnego. Miał na sobie strzępy odzienia z lnianego płótna, a włosy i brodę długie i zmierzwione. Na szyję założono mu metalową obręcz, przykutą solidnym łańcuchem do grubego słupa stojącego przed budą szaleńca - przykro mi, ale to jedyne słowo, jakiego mogę użyć na opisanie niskiego szafasu, w którym

najwyraźniej sypiał. Siedział skulony na ziemi przy słupie, wydawał zwierzęce odgłosy i rytmicznie szarpał łańcuch, którym był przykuty. Oczy miał ukryte pod krzaczastymi brwiami i nie było w nich śladu inteligencji czy choćby człowieczeństwa.

- Czy naprawdę trzeba go tak przykuwać? - zapytała Drasa Polgara.

Dras potwierdził skinieniem głowy.

- Miewa napady złego nastroju - odparł. - Często zdarzało mu się uciekać na moczary. Nie było go przez tydzień, dwa, potem przyczołgiwał się z powrotem. Kiedy dowiedzieliśmy się, kim jest, postanowiliśmy przykuć go dla jego własnego bezpieczeństwa. Na moczarach pełno jest topieli i ruchomych piasków. Ten biedny szaleniec nie ma tyle rozumu, aby ich unikać. A nie mógłby recytować prorocत्व z głębi bagna. Pol spojrzała na niską budę.

- Czy musicie jednak traktować go jak zwierzę?

- Polgaro, on jest zwierzęciem. Przebywa w tej budzie, bo i tego chce. Wpada w histerię, jeśli zabierze się go do domu.

- Mówiłeś, że tu się urodził - zauważyłem. Dras skinął głową.

- Około trzydziestu, czterdziestu lat temu. Przed wyprawą do Mallorei ziemie te należały do królestwa ojca. Wioska stoi tu od jakichś siedemdziesięciu lat. Większość mieszkańców jest rybakami.

Podszedłem do trzech skrybów pełniących wartę pod karłowatą wierzbą i przedstawiłem się.

- Czy ostatnio coś mówił? - zapytałem.

- Od tygodnia nic - odparł jeden z nich. - Podejrzewam, że ma na to wpływ księżyc. W czasie pełni zawsze mówi, choć robi to i kiedy indziej.

- Sądzę, że można by znaleźć na to jakieś wytłumaczenie. Czy nie ma sposobu, aby go trochę oczyścić?

Skryba pokręcił głową.

- Próbowaliśmy oblewać go wodą, ale on zaraz ponownie tarzał się w błocie. Myślę, że lubi być brudny.

- Daj mi natychmiast znać, gdy zacznie znowu mówić. Muszę go usłyszeć.

- Nie sądzę, abys wiele zrozumiał z tego, co on mówi, Belgaracie - odezwał się inny ze skrybów.

- Na to przyjdzie czas później. Mam wrażenie, że wiele godzin spędzę na studiowaniu jego słów. Czy kiedykolwiek mówił o zwykłych rzeczach? Pogodzie lub głodzie?

- Nie - odparł pierwszy skryba. - Naszym zdaniem, on nie potrafi zwyczajnie mówić - tak też twierdzą mieszkańcy wioski. Jakies dziesięć lat temu zaczął. To ułatwia nam pracę.

Nie musimy przekopywać się przez zwykłe rozmowy. Wszystko, co powie, jest ważne.

Tej nocy zostaliśmy na pokładzie statku Drasa. Potrzebna nam była współpraca wieśniaków i nie chciałem ich zrażać rekwirowaniem domów na czas naszego pobytu w Braca.

Następnego dnia, około południa, na nabrzeże przyszedł jeden ze skrybów.

- Belgaracie - zawołał do mnie. - Lepiej będzie, jeśli przyjdiesz. Zaczął mówić.

Jeden z młodzieńców uczył właśnie Pol owego sekretnego języka i nie wyglądał na zbyt ucieszonego, gdy przerwała lekcję, aby towarzyszyć mi i Drasowi.

Szaleniec znowu kulił się na ziemi przy słupie i nadal szarpał łańcuch. Nie myślę, aby chciał się uwolnić. Brzęk łańcucha zdawał się go uspokajać. W końcu, nie licząc drewnianej misy, w której dawali mu jedło, ten łańcuch był jego jedyną własnością. Należał do niego, więc pewnie miał prawo się nim bawić. Gdy się zbliżyliśmy, starzec wydawał zwierzęce odgłosy.

- Przerwał? - zapytałem skrybę, który po nas przyszedł.

- Zacznie znowu - zapewnił mnie. - Często przerywa, jęczy i chrząka. Potem znowu zaczyna mówić. Gdy już zacznie, robi to zwykle przez cały dzień. Przerywa po zachodzie słońca.

Wtem szaleniec puścił łańcuch i spojrzał mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było czujne i bardzo przenikliwe.

- Słuchaj! - powiedział do mnie grmiącym, dudniącym głosem, który brzmiał niemal tak samo jak głos Bormika. - Dziecku Światła powinien towarzyszyć w tej wyprawie Niedźwiedź, Przewodnik i Człowiek o Dwóch Życiach. Wy, takowoż, Prastary i Ukochana, winniście być u jego boku. Władca Koni także winien z tobą iść i Ślepiec i Królowa Świata. Inni również się przyłączą - Rycerz Obrońca i Łucznik, i Łowczyni, i Matka i Wymarłej Rasy, i Kobieta, która Czuwa, a którą znałeś wcześniej.

Przerwał i znowu zaczął jęczeć, ślinić się i szarpać łańcuch.

- Wystarczy - powiedziałem do Drasa. - Tyle chciałem wiedzieć. Jest prawdziwy.

- Jak potrafisz to stwierdzić tak szybko?

- Ponieważ mówił o Dziecku Światła, Drasie. Tak jak Bormik. Przekaż me słowa ojcu i braciom. Oto klucz do rozpoznania proroków. Jeśli ktoś wspomni o Dziecku Światła, wyślij do niego skrybów, ponieważ jego słowa będą ważne.

- Jak to odkryłeś?

- Spędziłem trochę czasu z Koniecznością w czasie drogi do Mallorei, pamiętasz? Ciągłe mówiła o Dziecku Światła. - Potem przypomniałem sobie coś jeszcze. - Być może

jestem trochę przewrażliwiony i nic takiego nie wydarzy się w naszej części świata, ale możemy także natknąć się na kogoś, kto mówi o Dziecku Mroku. Niech ludzie zapiszą również te słowa.

- A czym się różnią?

- Ten, który mówi o Dziecku Światła, przekazuje instrukcje nam. Ten, który wspomina o Dziecku Mroku, mówi Torakowi, co ma robić. Przydałoby się podsłuchać kilka z tych wiadomości.

- Zostaniesz tu i będziesz słuchał?

- Nie ma takiej potrzeby. Zaspokoilem już swoją ciekawość. Niech twoi skrybowie sporządzą kopie wszystkiego, co do tej pory zapisali, i przyslij mi je do Doliny.

- Dopilnuję tego. Chcesz teraz wrócić do Kotu?

- Nie, chyba nie. Zobacz, czy nie da się tu znaleźć kogoś z łodzią, kto zna drogę przez moczary. Ruszamy z Pol do Algarii, a stamtąd do domu. Nie ma sensu wracać tą samą drogą.

- Czy mam zrobić coś jeszcze?

- Wracaj do Boktoru i ozeń się. Potrzebujesz syna, aby przekazać mu koronę.

- Nie mam korony, Belgaracie.

- To sobie zrób. Korona sama w sobie w zasadzie nic nie znaczy, ale ludzie lubią widoczne symbole.

Polgara spoglądała na mnie chmurnie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Moczary, ojcze? Masz zamiar przeprowić się ze mną przez moczary?

- Potraktuj to jako pouczające doświadczenie, Pol. Chodźmy po nasze rzeczy. Chcę wrócić do Doliny.

- Skąd ten pośpiech?

- Powiedzmy, że tęsknię za domem.

Spojrzała na mnie pobłaźliwie.

Właściciel łodzi nazywał się Gannik, był gadatliwy i dobroduszny. Łódź była długa i wąska - bardziej podobna do czółna. Od czasu do czasu korzystał z wiosł, ale głównie odpychał się drągiem. Nie bardzo mi się podobało, że ktoś stał w wąskiej łodzi, ale Gannik chyba wiedział, co robi, dlatego się nie wtrącałem.

Chciałem wrócić do Doliny, ale głównym powodem, dla którego tak nagle opuściłem Braca, była chęć zabrania Pol od tego młodziana, który uczył ją sekretnego języka. Mogłem zachowywać spokój, dopóki zalotnicy kręcili się wokół niej gromadnie, ale widok Pol siedzącej na uboczu z jednym z młodzieńców denerwował mnie. Pol była wyjątkowo

rozsądna, ale...

Z pewnością rozumiecie, do czego zmierzam. Dumalem nad tym, gdy Gannik przepychał naszą łódź przez moczary na południe. Polgara miała już osiemnaście lat i zdecydowanie nadszedł czas, abym przeprowadził z nią tę rozmowę. Obie z Beldaran wychowywały się bez matki, więc nie miały wokół siebie nikogo, kto wyjaśniłby im pewne sprawy. Beldaran z pewnością wiedziała o nich, ale nie byłem pewny, czy Pol również. Wnuki są bardzo miłe, ale ich nieoczekiwane i pojawienie się może być nieco kłopotliwe.

Na moczarach granica pomiędzy Drasnią i Algarią nie była zbyt ściśle określona. Drasnianie nazywali te rozległe mokradła Bagnami Mrińskimi, a dla Algarów były to Żuławy Aldura. Jednakże w obu przypadkach chodziło o to samo bagnisko. Byliśmy około trzech dni drogi na południe od Braca, gdy Pol zauważyła wodne stworzenia, które żyją w takich miejscach.

- To wydra czy bóbr? - zapytała Gannika, gdy mały krągły łeb wynurzył się z wody przed nami.

- To błotniaki - odparł. - Są podobne do wydr, ale nieco większe. Wesole urwisy. Niektórzy łapią je dla futra, ale ja uważam, że nie powinno się tego robić. Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się to właściwe. Lubię przyglądać się ich zabawom.

Błotniak miał bardzo duże oczy i przyglądał nam się z zaciekawieniem, gdy Gannik przepychał naszą łódź przez duży staw. Stworzenie, które zdawało się tam mieszkać, wydało bełkotliwy dźwięk. Zabrzmiało to prawie tak, jakby błotniak nas beształ.

Gannik się roześmiał.

- Płoszymy mu ryby - powiedział - i oznajmia nam to. Czasami wydaje się, że potrafią mówić.

Vordai, wiedźma z mokradeł, doszła do tego samego wniosku jakiś czas później i zmusiła mnie, bym coś zrobił w tej sprawie.

W końcu dotarliśmy do tej części mokradeł, która zasilana była kanałami z ujścia Rzeki Aldura, i Gannik przewiózł nas na wyżej położone tereny, znajdujące się na wschodzie mokradeł. Podziękowaliśmy mu i zeszliśmy na brzeg.

Dobrze było ponownie mieć stały grunt pod nogami.

- Zmienimy znowu postać? - zapytała Pol.

- Za chwilę. Musimy najpierw o czymś porozmawiać.

- O czym?

- Dorastasz, Pol.

- Zdaje się, że masz rację.

- Pozwolisz mi mówić? Są pewne sprawy, o których powinnaś wiedzieć.

- Jakie?

W tym miejscu zacząłem się płatać. Pol stała z wyrazem znudzenia na twarzy, pozwalając mi pograżać się coraz głębiej. Potrafi być bardzo okrutna. W końcu przerwałem. Miała trochę za bardzo nieobecny wyraz twarzy.

- Ty już o tym wszystkim wiesz, prawda? - oskarżyłem ją.

- O czym, ojczy?

- Przestań. Wiesz, skąd biorą się dzieci. Czemu pozwoliłaś, byśmy oboje znaleźli się w niezręcznej sytuacji?

- Chcesz powiedzieć, że nie lęgną się w kapuście? - Wyciągnęła dłoń i poklepała mnie po policzku. -Wiem o tym wszystko, ojczy. Pomagałam Beldaran przy porodzie, pamiętasz? Akuszerki wyjaśniły mi, co trzeba. Muszę przyznać, że obudziły moją ciekawość.

- Tylko nie bądź za ciekawa, Pol. Trzeba dopełnić pewnych zwyczajowych formalności, nim się zacznie zbierać doświadczenia.

- Czyżby? Czy dopełniałeś tych wszystkich formalności w Mar Amon - za każdym razem?

Zakląłem pod nosem i przybrałem postać wilka. Wilk przynajmniej nie potrafi się rumienić, a mnie, w miarę jak grzęłem coraz bardziej, twarz robiła się coraz czerwiejsza.

Polgara wybuchnęła śmiechem, który tak rzadko u niej słyszałem, i skryła się pod postacią czubatej sowy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Beldin wrócił z Mallorei, gdy my dotarliśmy do Doliny. Byłem nieco zaskoczony, że wrócił tak szybko. Zwykle przepadał na kilka stuleci, gdy się tam wybierał. Następnego ranka, jak zwykle miło usposobiony do świata, wdrapał się po schodach do mej wieży.

- Gdzieście się podziewali? - warknął na nas.

- Bądź miły, wujku - odparła spokojnie Pol. - Musieliśmy zająć się pewnymi sprawami.

- Wcześniej wróciłeś - powiedziałem. - Czyżby zaszła jakaś nagła potrzeba?

- Nie sil się na błyskotliwość, Belgaracie. Nie masz do tego daru. Angarakowie w Mallorei drepczą w kółko. Nic się nie wydarzy, dopóki Torak nie powróci z odosobnienia w Ashabie. - Nagle uśmiechnął się. - Zedar jest tam z nim i to doprowadza do szaleństwa tego zawszonego Urvona.

- Tak?

- Urvon jest urodzonym podlizuchem i nie może znieść tego, że Zedar jest bliżej Toraka niż on. A co gorsza, nie może ruszyć do Ashaby, by bronić swych interesów, ponieważ boi się opuścić Mai Yaska.

- Czego się boi?

- Mnie. Zdaje się, że po nocach śni o haku, który mu pokazałem.

- Nadal? To było ponad pięćset lat temu, Beldinie.

- Widać zostawiło trwały ślad. Dzięki temu przynajmniej jeden uczeń Toraka jest unieruchomiony. Co na śniadanie, Pol?

Spojrzała na niego przeciągle.

- Zdaje się, że trochę utylaś - zauważył, mierząc ją bezczelnie oczyma. - Powinnaś się pilnować. Zaczynasz się robić tłusta.

Oczy Pol zwęziły się niebezpiecznie.

- Nie kuś losu, wujku - ostrzegła go.

- Lepiej na nią uważaj, Beldinie - poradziłem mu. - Rozpoczęła naukę i jest bardzo pojętna.

- Spodziewałem się tego. Gdzieście się podziewali? Bliźniacy powiedzieli, że byliście na Wyspie.

- Rivański tron ma teraz dziedzica - oznajmiłem. - Nazywa się Daran i zapowiada się obiecująco. Klejnot Mistrza bardzo się ucieszył ze spotkania z nim.

- Może wpadnę tam i rzucę na niego okiem - powiedział w zadumie Beldin. - Co

prawda, nie jestem z nim spokrewniony tak jak ty, ale Beldaran jest mi bardzo bliska. Czemu powrót zajął wam tak dużo czasu?

- Zahaczyliśmy z Pol o Darine, a potem wpadliśmy do Dra-sni. Chciałem rzucić okiem na tych dwóch proroków. Ich autentyczność nie budzi wątpliwości.

- Dobrze. Torak ma trochę kłopotów ze swoim prorocstwem.

- Jakiego rodzaju?

- Nie podoba mu się, co mówi. Kiedy wyszedł z transu, i przeczytał, co zapisali skrybowie Urvona, to pewnie ze złości starł kilka gór z powierzchni ziemi. Zdaje się, że Proroctwo Ashabińskie obraża go.

- To pocieszające. Czy moglibyśmy jakimś sposobem dostać kopię?

- Nie bardzo. Torak zdecydowanie nie życzy sobie, aby rozpowszechniano ów dokument. Urvon miał kopię, ale Torak, mimo że był w Ashabie, i tak ją spalił. - Podrapał się po brodzie. - Zedar jest w Ashabie. Obaj znamy go na tyle dobrze, by wiedzieć, że na pewno ma swoją kopię. Jeśli Torak kiedykolwiek pozwoli mu odejść, to pewnie ją zabierze. Podejrzewam, że to jedyna kopia, która nie znajduje się pod bezpośrednią kontrolą Jednookiego. Któregoś dnia dopadnę Zedara i wydrę ją jego ścierwu. - Spojrzał na mnie spod oka. - Czemu go nie zabiłeś, gdy miałeś okazję?

- Powiedziano mi, abym tego nie robił. Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty również powstrzymasz swe mordercze zapędy. Będziemy go jeszcze później potrzebować.

- Nic konkretniejszego nie powiesz? Pokręciłem głową.

- To wszystko, co wiem. Beldin chrząknął.

- Być może mógłbym zdobyć kopię Ewangelii Malloreańskiej, jeśli uda mi się dostać i wrócić z Kell w jednym kawałku.

- Co to za Ewangelia Malloreańska? - zapytała Pol.

- Kolejny zbiór prorocत्व - odparł. - Choć bardzo niejasnych. Spisali je Dalowie, a oni są całkowicie neutralni. A tak przy okazji, Belgaracie, Ctuchik się przeniósł.

- Tak, słyszałem o tym. Jest teraz w miejscu zwanym Rak Cthol.

Beldin potwierdził skinieniem głowy.

- Przelatywałem tamtędy w drodze powrotnej. To niezbyt przyjemne miejsce. Zbudował miasto na szczycie skalnej iglicy sterczącej pośrodku pustyni. Zebrałem trochę plotek. Najwyraźniej ta epidemia proroków jest bardzo rozpowszechniona. Zapadli na nią również niektórzy Grolimowie Ctuchika. Trzyma ich w Rak Cthol pod nadzorem skrybów. Wątpię, aby ich prorocтва były tak dokładne jak Toraka, ale może warto poświęcić trochę czasu i dostać je w ręce. Zostawiam to jednak do twojego uznania. Myślę, że lepiej, abym sam

trzymał się z dala od Ctuchika. Kilka razy musnąłem jego umysł i pewnie wyczułby moje nadejście z odległości stu lig. A nam trzeba informacji, nie rękoczynów.

- Murgowie się przemieszczają - oznajmiła Pol. - Przesuwają się na południe kontynentu, a po drodze gnębią zachodnich Dalów.

- Mam wielki szacunek dla umysłowych przymiotów Dalów - odparł - ale odwagą to oni nie grzeszą.

- Sądzę, że to wszystko to podstęp - powiedziałem. - W końcu bez większych trudności trzymają Grolimów Urrona z dala od Kell. - Usiadłem, opierając się wygodniej. - Chyba odwiedzę Rak Cthol i złożę wizytę Ctuchikowi - rzekłem z zadumą. - Jest nowy w tej części świata, więc ktoś powinien go tu powitać - a przynajmniej zobaczyć, jak wygląda, gdy nie jest gończym.

- Iście po dobrosąsiedzku - powiedział Beldin z diabolicznym uśmiechem.

- Wracasz do Mallorei?

- Na razie nie. Najpierw chcę obejrzeć twego wnuka.

- A popilnowałbyś Polgary podczas mojej nieobecności?

- Niepotrzebny mi opiekun, ojczu.

- Właśnie, że potrzebny - nie zgodziłem się. - Znajdujesz się na niebezpiecznym etapie edukacji. Zdaje ci się, że wiesz więcej niż jest faktycznie. Nie chcę, abyś zaczęła eksperymentować bez nadzoru.

- Będę jej pilnował - obiecał Beldin i spojrzał na nią. - Czyżbyś zupełnie zapomniała o śniadaniu, Pol? To, że ty postanowiłaś uważać na swoją wagę, nie znaczy, że my też mamy pościć.

Jeszcze tego samego ranka ruszyłem z Doliny na północny wschód i gdy tylko dotarłem na równiny Algara, zmieniłem postać. Nie lubiłem chodzić po Dolinie jako wilk. Jelenie i króli-i mogłyby się spłoszyć. Są prawie oswojone, a niegrzecznie straszyć sąsiadów.

Przepląnąłem Rzekę Aldura i następnego ranka dotarłem do Wschodniego Szańca. Jakiś czas szedłem wzdłuż niego w pewnym oddaleniu, póki nie dotarłem do jednego z tych wąwozów, o których mówił nam Algar na Wyspie Rivy. Wschodni Szaniec powstał, gdy Mistrz i Belar byli zmuszeni zamknąć ocean, który stworzył Torak po rozłupaniu świata. Z pęknięcia w ziemi wyrósł górski łańcuch, czego rezultatem było imponujące, wysokie na milę urwisko, które tworzyło naturalną granicę pomiędzy Algarią i Mishrak ac Thull.

Po zastanowieniu postanowiłem ze wspinaczką poczekać do zmroku. Algar mówił, że Murgowie czasami schodzą wąwozami po konie, a nie chciałem, aby Ctuchik dowiedział się, że nadchodzę. Zedar wiedział, że moją ulubioną postacią jest wilk. Nie byłem pewny, czy nie

podzielił się tą wiedzą z innymi uczniami. Odszedłem jakąś milę wzdłuż urwiska i przywarowałem w wysokiej trawie.

Okazało się, że podjąłem mądrą decyzję. Około południa usłyszałem jeźdźców, uważnie wybierających drogę pośród skalnego rumowiska u podnóża szczytu. Nadstawiłem uszu i pozostałem w ukryciu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Rashagu - usłyszałem, jak powiedział jeden z nich.
- Słyszałem, co Lud Koni robi z tymi, którzy próbują ukraść ich zwierzęta.

- Musieliby nas najpierw złapać, Aggo.

Bardzo powoli uniosłem głowę. Wiatr był nieco porywisty, ale byłem pewny, że ich konie nie zwietrzą mego zapachu. Zacząłem z uwagą wpatrywać się tam, skąd dobiegały głosy. Wtem ich spostrzegłem. Było tylko dwóch. Mieli na sobie kolczugi i stożkowate hełmy, a u pasa miecze. Murgowie nie należą do zbyt urodziwych ludzi, a fakt, że znaczą swe twarze w czasie ceremonii wkraczania w wiek męski, nie przydawał im urody. Ci dwaj byli dość typowymi przedstawicielami swej rasy. Mieli szerokie bary; trudno nie wyrobić sobie mięśni, całe życie ćwicząc szermierkę. Jednakże, nie licząc owych potężnych ramion, byli dość szczupli. Mieli śniadą skórę, wystające kości policzkowe i wąskie, skośne oczy.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Murgowie ryzykowali zejście tymi stromymi wąwozami z urwiska. Konie, których dosiadali, nie były zbyt dobre.

- Widziałem duże stado ze szczytu urwiska - powiedział Rashag do swego towarzysza.

- Koni czy krów? - zapytał Agga.

- Trudno powiedzieć. Urwisko jest bardzo wysokie, a zwierzęta kryła wysoka trawa.

- Nie zszedłem tym wąwozem po to, żeby kraść krowy, Rashagu. Jeśli zechcę krowę, to wezmę ją sobie od Thullów. Ci nie denerwują się tak jak Lud Koni. Czego chciał ten Grolim, z którym rozmawiałeś?

- A czegoż by innego? Szukał kogoś do zarznięcia. Ołtarz wysycha i trzeba mu świeżej krwi.

- On nie bardzo przypominał Grolima Thullów.

- Bo nim nie był. Jest Grolimem z południa, z Rak Cthol. Ctuchik rozmieścił ich wzdłuż całego szczytu urwiska. Nie chce żadnych niespodzianek, a Lud Koni wie o tych wąwozach.

- Alornowie. - Agga splunął. - Nie cierpię ich.

- Oni też za tobą nie przepadają. Grolim kazał mi rozgłosić, byśmy wszyscy trzymali się z dala od Pustkowiec Murgów.

- A kto bym tam chciał iść? Nic tam nie ma poza czarnym piachem i tym cuchnącym jeziorem.

- Jestem pewny, że Ctuchik ma swoje powody. Nie zdradził mi ich jednak. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie widziałem człowieka.

- A ja tak - powiedział, wzdygając się, Agga. - Musiałem zanieść wiadomość do Rak Cthol od mojego generała i Ctuchik mnie przepytował. Przypominał człowieka, który od tygodni już nie żył.

- Jakie jest Rak Cthol?

- To nie miejsce, które chciałbyś odwiedzić.

Odeszli już niemal poza zasięg mego słuchu i postanowiłem nie iść za nimi. Byli najwyraźniej dość niskiej rangi, więc ich rozmowa prawdopodobnie nie dostarczy żadnych pożytecznych informacji. Położyłem łeb na łapach i ponownie zasnąłem.

Zobaczyłem ich jednak jeszcze raz. Zaczynało się już ściemniać. Wstałem, wygiąłem grzbiet, przeciągnąłem się i ziewnąłem.

Wtem usłyszałem galopujące w moim kierunku konie. Ponownie przyczałem się w trawie. Rashag i Agga wracali i nie mieli z sobą algarskich koni. Jedyne konie Algarów, które zobaczyłem, miały właścicieli na swych grzbietach i pędziły za dwoma uciekającymi Murgami. Konie Algarów były - i nadal są - o wiele lepsze niż konie Murgów, toteż wynik pościgu łatwo było przewidzieć. Rashag i Agga nie wrócili do Cthol Murgos.

Poczekalem, aż Algarowie wrócili do swego stada, po czym pobiegłem do wąwozu i ruszyłem w górę. Droga mogła być trudna dla konia, ale wilki mają pazury, więc przed świtem udało mi się dotrzeć na szczyt. Powęszyłem, upewniając się, że nikogo nie było w pobliżu, a potem ruszyłem na południowy wschód, w kierunku twierdzy Ctuchika wznoszącej się na środku Pustkowiec Murgów.

Góry południowego Mishrak ac Thull i północnego Cthol Murgos są wyjątkowo jałowe, trudno tam o jakąkolwiek roślinność mogącą zapewnić osłonę, zatem wędrowałem głównie nocą. Wilki dobrze widzą w ciemności, ale głównie nos i uszy ostrzegały mnie, gdy w pobliżu znajdowali się ludzie. Te suche pustkowiec nie bardzo nadawały się na tereny łowieckie, toteż wilk mógł zwrócić uwagę. Thullów zbytnio się nie obawiałem. Są bardzo mało spostrzegawczy, to po pierwsze, a poza tym palą w nocy ogromne ogniska - nie z powodu szczególnego chłodu o tej porze roku. Ogniska palą głównie dlatego, że boją się ciemności. Skoro już o tym mówimy, to niewiele jest rzeczy na świecie, których Thullowie by się nie bali.

Po przekroczeniu granicy z Cthol Murgos zrobiłem się jednak ostrożniejszy. Murgowie są przeciwieństwem Thullów. Oni wręcz obnoszą się z tym, że niczego się nie boją - nawet tego, czego powinni się bać.

W tych górach było jednak bardzo niewiele ludzi - zarówno Thullów, jak i Murgów. Co jakiś czas widywałem placówki Murgów, ale bez najmniejszych problemów je omijałem.

Dotarcie do Pustkowi Murgów trwało dłużej, niż gdybym wędrował przez przyjazne terytorium, gdyż musiałem często kryć się i skradać. Byłem przekonany, że zwykły Murgo nie zwróciłby na mnie większej uwagi, ponieważ Murgów interesują ludzie, nie zwierzęta. Wilki nie są jednak zbyt częste na tych obszarach, więc Murgo, który by mnie zobaczył, mógłby o tym wspomnieć napotkanemu Grolimowi. Czasami najzwyczajniejsza wzmianka może obudzić czujność Grolima. A ja nie chciałem, aby mi ktoś popsuł niespodziankę, którą szykowałem Ctuchikowi.

Zszedłem z gór na tereny barwnie nazywane Pustkowiami Murgów. Pewne dowody świadczyły o tym, że kiedyś było tu duże jezioro czy nawet morze wewnętrzne. Przypominałem sobie, że nim Torak rozłupał świat, na zachód od Karnath, angarac-kiego miasta, znajdował się duży zbiornik wody. Ta pokryta czarnym piaskiem pustynia kiedyś najwyraźniej musiała znajdować się pod wodą. Piasek znaczyły szkielety ogromnych stworzeń wodnych, ale jedyną pozostałością po prastarym morzu był cuchnący staw Cthock, leżący w pewnym oddaleniu na północ od Rak Cthol. Trochę zaniepokoił mnie fakt, że zostawiałem ślady na czarnym piachu, ale przez większość czasu wiał wiatr, więc przestałem się przejmować.

W końcu w zasięgu wzroku pojawił się stromy szczyt, na którym Ctuchik zbudował swoje miasto. Przypadłem do ziemi, aby przemyśleć sprawę. Wilk nie był niczym szczególnym w górach Cthol Murgos i na pustkowiach, ale wilk drepczący po ulicach Rak Cthol z pewnością zwróciłby uwagę. Potrzebne mi było inne przebranie, a ponieważ wąska ścieżka wijąca się na szczyt zapewne była strzeżona, pozostawały mi jedynie pióra.

Było późne popołudnie, rozgrzane powietrze unoszące się nad czarnym piachem pomoże mi. Poszedłem za stertę kamieni i wróciłem do własnej postaci. Potem, gdy przyjrzałem się

uważnie otaczającemu terenowi, utworzyłem w wyobraźni wizerunek sępa i przybrałem jego postać. Zaręczam wam, że na świecie są milsze ptaki od sępów, ale powietrze nad górą Ctuchika aż roiło się od wstrętnych ptaszysk, więc przynajmniej nie będę wzbudzał podejrzeń.

Znalazłem prąd wznoszący i wbiłem się spiralą po zachodniej stronie iglicy Ctuchika. Słońce właśnie zachodziło i jego rdzawe światło sprawiało, że bazaltowy szczyt wydawał się skąpany we krwi. Co, biorąc pod uwagę to, co działo się na jego wierzchołku, wydawało się całkiem na miejscu.

Podkreślałem nieraz, że nie potrafię latać zbyt dobrze, ale nie jestem zupełnie nieudolny, a jazda na wznoszącym prądzie jest całkiem prostą rzeczą. Wystarczy rozłożyć skrzydła i pozwolić się unosić. Jastrzębie, orły i sępy robią to cały czas.

Kołowałem w górę, dopóki nie znalazłem się ponad miastem. Wówczas spikowałem w dół i przysiadłem na murze, aby się rozejrzeć. W tamtym czasie Rak Cthol nadal budowano i nie panował w nim taki tłok jak później, ale już wtedy było paskudne. Myślę, że stanowiło odbicie umysłu Ctuchika. Chyba próbował stworzyć kopię Cthol Mishrak. Prace budowlane oczywiście prowadzono przy pomocy niewolników, jako że Murgowie i Grolimowie nie parali się takim zajęciem. Obserwowałem ze szczytu murów, jak zapędzano niewolników do ich cel w tunelach pod miastem i zamykano na noc. Potem cierpliwie czekałem na zapadnięcie ciemności.

Z całą pewnością potrzebowałem przebrania, ale miałem nadzieję, że znajdę coś po drodze. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem. Szczyt murów patrolowali Murgowie. Nie było takiej potrzeby, jako że od pustyni w dole miasto dzieliło strome zbocze o długości ponad mili, ale Murgowie są tradycjonalistami. Patrolowali mury w Cthol Mishrak, więc patrolowali i tutaj. Bardzo powoli wróciłem do własnej postaci, aby nie powiadomić Ctuchika, że mam zamiar złożyć mu wizytę, a potem ukryłem się w wąskiej wnęce, by czekać na Murga.

Pewnie mogłem to zrobić na wiele innych sposobów, ale wybrałem najprostszy. Oczekałem, aż strażnik mnie minął, po czym zdzieliłem go w głowę kamieniem. To był cichy sposób i zupełnie wystarczający. Zaciągnąłem Murga do wnęki i rozebrałem z czarnej szaty. Nie zwracałem sobie głowy kolczugą. Kolczugi są niewygodne i chrzęszczą przy byle ruchu. Zastanawiałem się, czy nie zrzucić swego Murga z murów, ale uznałem to za nie najlepszy pomysł. Osobiście nic do niego nie miałem, a poza tym bałem się, że narobi hałasu, spadając z wysokości mili na ziemię.

Tak, znam swoją reputację, ale naprawdę nie lubię zabijać ludzi, gdy nie jest to absolutnie konieczne. Zawsze uważałem, że ślepe zabijanie czyni z człowieka prostaka. Pomyślcie o tym, gdy uznacie morderstwo za rozwiązanie problemu.

Naciągnąłem na czoło kaptur szaty Murga i ruszyłem na poszukiwanie Ctuchika. Najprościej byłoby zapytać, ale mogłem mieć trudności z naśladowaniem ich chrapliwego języka, więc przysłuchiwałem się tylko przypadkowym rozmowom i bardzo ostrożnie badałem myśli strażników i przechodniów. Polgara jest w tym o wiele lepsza ode mnie, ale ja też wiem, jak to robić. Byłem bardzo ostrożny, gdyż wszyscy w Rak Cthol, Grolimowie i Murgowie, nosili czarne szaty i trudno było od-

I różnić ich po wyglądzie. Być może Murgowie uważają się za niższych rangą duchownych - lub też, że Grolimowie wywodzą się z plemienia pierwotnych Murgów. Nie chciałem badać umysłów Grolimów, ponieważ niektórzy z nich są wystarczająco uzdolnieni, aby zorientować się, że ich umysły są penetrowane.

Ostatecznie moje podsłuchiwanie - zarówno przy użyciu

| uszu, jak i umysłu - dostarczyły mi wystarczająco dużo informacji, bym mógł zawęzić pole poszukiwań. Ctuchik przebywał gdzieś w Świątyni Toraka. Spodziewałem się tego, ale nie zaszkodziło sprawdzić.

Świątynia była wyludniona. Nawet Grolimowie muszą czasami spać, a zbliżała się właśnie północ. Ctuchik jednakże nie spał. Wyczułem jego pracujący umysł zaraz po wejściu do Świątyni. To czyniło odnalezienie go łatwiejszym. Poszedłem wzdłuż tylnej ściany balkonu, typowego elementu każdej ważniejszej świątyni Grolimów, i znalazłem właściwe drzwi. Oczywiście były zamknięte. Mogłem otworzyć je jedną myślą, ale tym samym ostrzegłbym Ctuchika o swej obecności. Na szczęście zamki Murgów nie są zbyt wymyślne, więc jakoś sobie poradziłem. Z pewnością nie jestem tak dobrym włamywaczem jak Silk, ale mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Za drzwiami znajdowały się schody prowadzące w dół. Poszedłem nimi ostrożnie, starając się nie robić hałasu. Na dole dostrzegłem pomalowane na czarno drzwi i, o dziwo, nie było przy nich strażników. Pomyślałem, że moja wizyta przekona Ctuchika, iż pozostawianie drzwi bez straży nie jest dobrym pomysłem. Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Wyczuwałem, że Ctuchik jest na górze, więc nie zwracałem sobie głowy zwiedzaniem dolnych poziomów wieży. Nasze umysły pracowały w osobliwie podobny sposób. Wszyscy lubiliśmy mieszkać w wieżach. Tyle tylko, że wieża Ctuchika przyklejona była do zbocza góry.

Ruszyłem schodami. Nie zatrzymałem się na piętrze, tylko od razu poszedłem na sam szczyt. Drzwi, które się tam znajdowały, nie były zamknięte i wyczuwałem przez nie obecność właściciela wieży. Wyglądało na to, że coś czytał i nie zwracał uwagi, co się wokół niego dzieje.

Doprowadziłem się do porządku i otworzyłem drzwi.

Zmizerowany, białobrody Grolim siedział za stołem przy jednym z okrągłych okien. W blasku oliwnej lampki pochylał się nad jakimś zwojem. Ten Murgo, którego widziałem na Szańcu - chyba nazywał się Agga - opisał, że Ctuchik wyglądał tak, jakby nie żył od tygodnia. Myślę, że wcale nie przesadził. Nie znałem nikogo, kto bardziej przypominałby trupa niż Ctuchik.

- Czego? - zawołał, odkładając zwój i wstając. - Kto pozwolił ci tu przyjść?

- Późno już, Ctuchiku - powiedziałem. - Nie chciałem nikogo kłopotać, więc sam wszedłem.

- Ty! - wykrzyknął, a jego zapadnięte oczy zapłonęły.

- Nie rób głupstw - ostrzegłem go. - To tylko towarzyska wizyta. Gdyby chodziło mi o coś innego, już byś nie żył. - Rozejrzałem się. W jego wieży panował niemal tak wielki nieład jak w mojej, tyle że on nie mieszkał w niej jeszcze zbyt długo. Trzeba całych stuleci, aby zgromadzić naprawdę dobrą rupieciarnię. - Co cię napadło, żeby otworzyć interes w tak paskudnym miejscu? - zapytałem.

- Mnie odpowiada - odparł krótko, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Usiadł i wziął do ręki zwój. - A ty zawsze pokazujesz się tam, gdzie się ciebie najmniej spodziewają, prawda, Belgaracie?

- To dar. Jesteś zajęty? Mogę wrócić innym razem, jeśli robisz coś ważnego.

- Myślę, że mogę poświęcić ci kilka chwil.

- Dobrze. - Zamknąłem drzwi, podszedłem do stołu i usiadłem naprzeciwko niego. - Powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę, Ctuchiku - skoro już mieszkamy tak blisko.

- Przybyłeś z sąsiedzką wizytą? - zapytał z lekkim rozbawieniem.

- Niezupełnie. Pomyślałem, że powinniśmy ustalić kilka podstawowych zasad. Nie chciałem, abyś przez pomyłkę w coś się wpakował.

- Ja nie popełniam pomyłek, Belgaracie.

- Doprawdy? Mógłbym przytoczyć kilkanaście, które masz na swoim koncie. Jeśli sobie dobrze przypominam, nie okryłeś się szczególną sławą w Cthol Mishrak.

- Ty wiesz, że to, co wydarzyło się w Cthol Mishrak, zostało postanowione, nim tam jeszcze przybyłeś - odparował. - Gdyby Zedar zrobił, co do niego należało, to nie doszedłbyś tak daleko.

- Czasami Zedar jest trochę niesłowny, ale nie o to chodzi. Nie jestem tu dlatego, żeby gawędzić o dobrych starych czasach, tylko po to, aby udzielić ci kilku rad. Trzymaj swych Murgów na wodzy. Obaj wiemy, że nie czas jeszcze na poważniejsze rozstrzygnięcia. Wiele musi się jeszcze wydarzyć, nim do tego dojdzie. Trzymaj j Murgów z dala od królestw Zachodu. Zaczynają drażnić Alornów.

- A to ci skandal - zadrwił.

- Nie próbuj być zabawny. Nie jesteś gotowy do wojny, Ctuchiku - w szczególności do wojny z Alornami. Riva ma Klejnot Aldura, a po naszym małym spotkanku przy Cthol Mishrak wiesz, jaka jest jego moc. Jeśli nie weźmiesz w rzyzy swych Murgów i za bardzo

Rivę zdenerwujesz, może wpaść na pomysł złożenia ci wizyty lub twoją górę obróci w kupę gruzu.

- On nie jest tym, który ma użyć Klejnotu - zaprotestował.

- Ja też tak uważam. Lepiej więc nie kuśmy losu. Nie otrzymaliśmy jeszcze wszystkich instrukcji, więc nawet nie wiemy, co powinniśmy robić. Jeśli zbyt przyciśniesz Alornów, Riva może stracić panowanie i zrobić coś pochopnie. A wówczas wszystko mogłoby zależeć od przypadku. Mogłoby skończyć się na trzeciej możliwości, a nie sądzę, aby to spodobało się dwóm pozostałym. Lepiej nie komplikujmy spraw bardziej.

Ctuchik w zamyśleniu pociągał się za brodę.

- Możesz mieć rację - przyznał niechętnie. - Mamy dużo czasu, więc nie ma wielkiego pośpiechu.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. - Spojrzałem na niego z ukosa. - Udało ci się już wprowadzić swych ludzi na dwór w Ashabie?

Ctuchik spojrzał zaskoczony.

- To byłoby logiczne posunięcie z twojej strony. Zedar tam tkwi i zapisuje każde słowo Toraka. Jeśli nie uda wam się z tym dropiatym Urvonem umieścić tam swoich ludzi, to Zedar będzie górą.

- Pracuję nad tym - odparł krótko.

- Mam nadzieję. Lepiej, żeby któryś z was dostał w swe ręce kopię Proroctwa Ashabińskiego, nim Torak uczyni je zupełnie niezrozumiałym.

- Urvon ma kopię. Zawsze mogę mu ją zabrać.

- Torak spalił kopię Urvona. Czy wy ze sobą w ogóle nie rozmawiacie?

- Nie mam nic do powiedzenia Urronowi.

- Ani Zedarowi, jak myślę. Te właśnie pomiędzy wami trzema czynią moje zadanie o wiele łatwiejszym.

- Ty nie jesteś nikim ważnym Belgaracie. Miałeś już swoją szansę jako Dziecko Światła i zmarnowałeś ją. Powinieneś być zabić Zedara, gdy miałeś po temu okazję.

- Zdecydowanie potrzebujesz instrukcji, Ctuchiku. Udział Zedara w tym wszystkim jeszcze się nie skończył. Nadal ma trochę do zrobienia i jeśli tego nie wykona, to staniemy w obliczu owej trzeciej możliwości. Niektórych z twych Grolimów natchnął duch waszej Konieczności. Spisz, co mówią, i nic nie zmieniaj. Torak usuwa całe strony z Proroctw Ashabińskich, więc może okazać się, że proroctwa twoich Grolimów staną się jedynymi, nad którymi będziesz mógł pracować. To nie miejsce na eksperymenty. Pewne rzeczy muszą się wydarzyć i musimy o nich wiedzieć. Nie mam czasu wpadać tu co kilka stuleci, by cię

pouczać.

- Znam swoje obowiązki, Belgaracie. Ty rób swoje, a i ja zrobię, co do mnie należy.

- Ja sobie poradzę - powiedziałem. Potem wstałem i uśmiechnąłem się dobrotliwie do niego. - Cudownie się z tobą rozmawiało, stary, musimy to kiedyś powtórzyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie, mój drogi - odparł z nikłym uśmiechem. - Wpadaj, kiedy chcesz.

- Jasne. A tak przy okazji, nie próbuj mnie śledzić i nikogo za mną nie wysyłaj - a przynajmniej nikogo, na kim ci zależy.

- Mnie na nikim nie zależy, stary.

- Powinieneś kiedyś spróbować, Ctuchiku. Osłodziłbyś sobie życie.

Potem wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z Rak Cthol poleciałem na zachód, potem przybrałem postać wilka i podążyłem wzdłuż wschodniej granicy Maragoru, następnie przeprawilem się przez Góry Tolnedańskie na południowy kraniec Doliny. Ogólnie byłem z siebie zadowolony. Dobrze mi poszło w Rak Cthol.

Pod wieczór dotarłem do swej wieży.

- Jak poszło? - zainteresował się Beldin, gdy dołączyłem do niego i Pol.

- Nieźle - powiedziałem niedbale. W końcu nie wypadało się chwalić.

- Co się wydarzyło, ojcze? - zapytała Pol tym swoim podejrzliwym tonem, który przybiera zawsze, gdy znikam jej z oczu na dłużej niż pięć minut. Chciałbym, aby Polgara choć raz mi zufała. Oczywiście łatwiej zatrzymać słońce.

Wzruszyłem ramionami.

- Udałem się do Rak Cthol.

- Tak, wiem. I...

- Rozmawiałem z Ctuchikiem. - I...

- Nie zabiłem go.

- Do rzeczy, ojcze!

- Nabrałem go. Powiedziałem mu o wielu rzeczach, o których już wiedział. Dzięki temu jednak udało mi się do niego na

tyle zbliżyć, by sprawdzić jego możliwości. Nie jest wcale taki dobry. - Usiadłem na swym ulubionym krześle. - Czy kolacja już jest? - zapytałem Pol.

- Jeszcze się gotuje. Mów, ojcze. Co naprawdę się wydarzyło?

- Wśliznąłem się do miasta i złożyłem mu wizytę o północy. Bardzo starałem się przekonać go o trzymaniu Murgów z dala od zachodnich królestw, a potem wspomniałem o możliwości użycia przez Rivę Klejnotu, jeśli Murgowie zbyt rozdrażnią Alornów. Oczywiście to nie może się zdarzyć, ale Ctuchik się zaniepokoił. Pod wieloma względami jest bardzo naiwny. Zdaje się, że uważał mnie za zręczliwego starucha, który kręci się po okolicy i powtarza rzeczy oczywiste. Potem wspomniałem o tym, że jeśli ktoś uczyni coś, czego nie powinien, to może otworzyć drogę czystemu przypadkowi.

- I on ci uwierzył? - zapytał z niedowierzaniem Beldin.

- Zdaje się. Przynajmniej na tyle, aby go to zaniepokoiło. Potem diskutowaliśmy nad Proctwem Ashabińskim. Obaj z Urvonem próbowali wprowadzić swych ludzi na dwór

Toraka w Ashabie, aby zdobyć kopie, ale odniosłem wrażenie, że Torak strzeże ich dość zazdrośnie. Zedar zaś robi, co może, aby trzymać szpiegów swych braci z daleka od Ashaby. Wszyscy trzej okrutnie się nienawidzą.

- Jak wygląda Ctuchik? - zapytał Beldin. - Kilka razy widziałem tego przyszczatego Urvona, ale nigdy nie widziałem Ctuchika.

- Jest wysoki, szczupły i ma długą, białą brodę. Przypominał chodzącego trupa.

- Osobliwe, co?

- Torak zdaje się gustować w szpetocie. Ctuchik wygląda mi na paskudnego, a ten przyszczaty Urvon jest nie lepszy. Zedar zdaje się nie jest na j paskudniejszy - chyba że wziąć pod uwagę szpetotę jego duszy.

- Naprawdę nie tobie o tym sądzić, wujku - przypomniała Pol.

- Nie musiałaś tego mówić, Pol. Co teraz, Belgaracie? Podrapałem się po brodzie.

- Wezwijmy lepiej bliźniaków i spróbujmy skontaktować się z Mistrzem. Potrzebujemy rady. Angarakowie zdecydowanie muszą mieć poprawną kopię Proroctwa, a Torak robi wszystko, aby do tego nie dopuścić.

- Możemy to zrobić? - zainteresowała się Pol.

- Nie jestem pewny - przyznałem. - Myślę jednak, że powinniśmy spróbować. Być może Zedar ma kopie, ale nie chcę uzależniać losów świata od tego być może.

Jak się okazało, zdumiewająco łatwo nawiązaliśmy kontakt z Aldurem. Chyba było tak dlatego, że znajdowaliśmy się w punkcie pomiędzy okresem, w którym byliśmy prowadzeni przez Bogów, a czasem, gdy ich miejsce zajęły Proroctwa. W każdym razie wystarczyło zwykle: "Mistrzu, potrzebujemy cię", aby Aldur pojawił się w mojej wieży. Jego postać była nieco zamglona i niewyraźna, ale był.

Natychmiast po pojawieniu się podszedł do Polgary, co nie powinno być dla mnie zaskoczeniem.

- Moja ukochana córko - powiedział, dotykając lekko jej policzka.

Dacie wiarę, że w tym momencie poczułem ukłucie zazdrości? Polgara była moją córką, nie jego. Zdaje się, że na starość wszyscy dziwaczejemy. Zdusiłem w sobie odruchowy protest. Myślę, że zazdrość jest przejawem miłości - prymitywnej jej formy, ale pomimo wszystko miłości. Kochałem swą ciemnowłosą, stalowooką córkę, a ponieważ miłość - i nienawiść - to esencja tego, czym jestem, Polgara zawojowała mnie całkowicie. Kłóciliśmy się przez następne trzy tysiące lat, ale ja jedynie próbowałem obronić swe tyły. I tak byłem już przegrany.

- Wiesz, co Torak robi w Ashabie, prawda, Mistrzu? - zapytał Beldin.

- Tak, synu - odparł ze smutkiem Aldur. - Mój brat oszalał i zamyśla zmienić to, co musi się wydarzyć, przeinaczając słowa, które mu o tym mówią.

- Jeśli posunie się zbyt daleko i za bardzo zmieni Proroctwo, jego Angarakowie nie będą wiedzieli, co powinni zrobić -powiedziałem zatroskanym tonem. - Czy mamy podjąć odpowiednie kroki?

- Nie, synu - odrzekł Mistrz. - Prawdziwe kopie istnieją, choć mój brat życzyłby sobie inaczej. Konieczność, która nim kieruje, nie dozwoli na niepowodzenie. Belzedar jest z mym bratem i choć tego nie wie, nadal jest w pewnym stopniu kierowany przez naszą Konieczność. Zadbał o to, aby słowa drugiej Konieczności były bezpieczne i kompletne.

- To ulga - powiedział Beldin. - Opiekowanie się obydwoma zestawami instrukcji mogłoby być uciążliwe. Myślę, że już chronienie naszego będzie absorbujące.

- Uspokój swe myśli, synu - powiedział Aldur. - Niezachwiany jest bieg kroków wiodących ku ostatecznemu spotkaniu.

- Rozpoznaliśmy dwóch z proroków, którzy przekazują nam twe instrukcje, Mistrzu - zapewniłem go. - Ich słowa są skrzętnie zapisywane.

- Doskonale, synu.

Pol wyglądała na lekko zaniepokojoną.

- Czy są jeszcze inni, Mistrzu? - zapytała. - Alornowie wiedzą, jak ważne są te proroctwa, ale nie sądzę, aby rozumieli to Tolnedranie czy Arendowie. Być może przegapimy coś istotnego. Czy są jeszcze inni mówcy?

Aldur kiwnął potakująco głową.

- Jednakże są mniej ważni, córko, i bardziej służą sprawdzaniu. Uspokój swe myśli. Gdyby wszystko zawiodło, zawsze możemy poprosić o pomoc Dalów. Wyrocznie w Kell odkrywają obydwa proroctwa - zarówno instrukcje naszej Konieczności, jak i Konieczności Toraka.

- Zdumiewające- powiedział Beldin. - Dalowie robią dla odmiany coś użytecznego.

- Muszą, miły Beldinie, albowiem oni także mają przed sobą zadanie do wypełnienia - zadanie o doniosłym znaczeniu. Nie możemy im przeszkadzać. Ścieżka, którą podążają, jest mroczna, ale we właściwym czasie doprowadzi ich w to samo miejsce, do którego biegną nasze ścieżki. Wszystko toczy się tak jak powinno, moje dzieci. Nie niepokójcie się. Dłużej o tym pomówimy niebawem - dodał i zniknął.

- Najwyraźniej dobrze się spisujemy - zauważył Beldin -przynajmniej na razie.

- Za bardzo się martwisz, Beldinie - powiedział Belkira. -Nie myślę, byśmy mogli się źle spisać.

Beltira wpatrywał się w Pol z zachwytem na twarzy.

- Kochana sestro - powiedział.

To runęło na mnie niczym grom z jasnego nieba.

- Proszę, nie rób tego, Beltiro - rzekłem do niego.

- Ale ona jest, Belgaracie. Ona należy do naszego bractwa.

- Tak, wiem, ale to stawia mnie w osobliwej sytuacji. Wiem, że jestem spokrewniony z Pol, ale obrót wydarzeń bardzo to komplikuje.

- Nie przerażaj się, kochany bracie - odezwała się słodko Pol. - Wyjaśnię ci to wszystko później - oczywiście w przystępnych słowach. A teraz panowie, jeśli zechcecie wynieść się z mojej kuchni, to skończę kolację.

Przez następnych kilka lat wszystko w Dolinie toczyło się spokojnie. Polgara kontynuowała swą edukację i zaskakiwała nas szybkością postępów. Dołączyła do nas późno, ale bez trudu nadrabiała stracony czas. W pewnych sprawach osiągała poziom wyjątkowego wyrafinowania. Oczywiście, nie mówiłem jej tego, ale byłem z niej bardzo dumny.

Była chyba wiosna, gdy do Doliny przybył Algar, przynosząc kopie kompletnego Kodeksu Darińskiego.

- Bormik umarł zeszłej jesieni - powiedział. - Jego córka

przez całą zimę zbierała wszystko razem, a potem zawiadomiła mnie, że Kodeks jest gotowy. Udałem się tam i przekonałem ją, aby wróciła ze mną do Algarii.

- Nie była szczęśliwa w Darine? - zapytała Pol. Algar wzruszył ramionami.

- Może i była, ale wyświadczyła nam ogromną przysługę, a tego lata Darine nie będzie najbezpieczniejszym miejscem.

- Czemu? - zapytałem.

- Kult Niedźwiedzia zaczyna się wymykać spod kontroli, więc czas, bym wyjaśnił im kilka spraw. Hatturk zaczyna mnie drażnić. Och, Dras przysłała wam to - dodał, otworzył drugą torbę i wyjął kilka zwoi. - Jeszcze nie jest skończone, ponieważ Prorok Mriński nadal mówi, ale to są kopie tego, co powiedział do tej pory.

- Na to czekałem - oświadczyłem zadowolony.

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei - rzekł. - Zajrzałem do nich kilka razy po drodze. Jesteś pewny, że ten gość przykuty do słupa w Drasni jest naprawdę prorokiem? To, co trzymasz w rękach, to czysty bełkot. Skóra mi cierpnie na myśl, że moglibyście kierować się wskazówkami, które potem okazałyby się bełkotem prawdziwego szaleńca.

- Prorok Mriński nie może bełkotać, Algarze - zapewniłem go. - Nie potrafi mówić.

- Na razie nagadał tyle, że wystarczyło do zapelnienia czterech zwojów.

- O to właśnie chodzi. Wszystko, co znajduje się na tych zwojach, jest czystym proroctwem, ponieważ ten biedak nie jest zdolny do mówienia poza momentami, gdy przekazuje słowa Konieczności.

- Skoro tak mówisz, Belgaracie. Wybieracie się tego lata na Radę Alornów?

- To mogłoby być miłe, ojczy - powiedziała Pol. - Dawno już nie widziałem Beldaran, a ty zapewne powinieneś rzucić okiem na wnuka.

- Naprawdę powinienem nad tym popracować, Pol - zaprotestowałem, wskazując na zwoje.

- Zabierz je z sobą, ojczy - zaproponowała. - Nie są w końcu zbyt ciężkie. - Potem odwróciła się do Algara. - Powiadom Rivę, że przybędziemy - poprosiła. - A jak ma się twoja żona?

Udaliśmy się na Wyspę Wiatrów, na Radę Alornów, która w tamtych czasach bardziej miała charakter zjazdu rodzinnego niż oficjalnego spotkania głów państw. Dla formalności odbyliśmy krótkie zebranie, a potem mogliśmy już cieszyć się sobą do woli.

Z lekkim zaskoczeniem stwierdziłem, że mój wnuk miał już siedem lat. Traciłem poczucie czasu, kiedy nad czymś pracowałem, a lata mijały mi niezauważenie.

Daran był silnym, jasnowłosym chłopcem o poważnym usposobieniu. Dobrze nam było razem. Lubił słuchać opowieści, a ja, choć to nieskromnie tak mówić, jestem pewnie najlepszym bajarzem na świecie.

- Co naprawdę wydarzyło się w Cthol Mishrak, dziadku? -zapytał mnie pewnego deszczowego popołudnia, gdy siedzieliśmy w komnacie wysoko w jednej z wież i ucztowaliśmy nad wiśniowym plackiem, który wykradłem ze spiżarni. - Ojciec kilka razy zaczynał mi opowiadać tę historię, ale zawsze coś nam przeszkadzało, gdy dochodził do najciekawszego miejsca.

Usiadłem wygodnie w swym fotelu.

- No cóż - zacząłem - niech pomyślę... -A potem opowiedziałem mu całą historię, tylko nieznacznie ją koloryzując - dla celów artystycznych, sami rozumiecie.

- No tak - powiedział posepnie, gdy zmrok zapadł nad Cytadelą Rivy - teraz wiem, co powinienem robić przez resztę swego życia.

- Czemu tak wdychasz, książę Daranie? - zapytałem.

- Ach, jak chciałbym być zwykłym człowiekiem - rzekł z dojrzałością w głosie, niespotykaną u kogoś tak młodego. -Miałbym ochotę wstać rano i pójść zobaczyć, co jest za następnym wzgórzem.

- To samo co i po tej stronie - powiedziałem.

- Być może, dziadku, ale chciałbym to sam zobaczyć - choć raz. - Spojrzał na mnie swymi poważnymi błękitnymi oczyma. - Ale nie mogę. Ten kamień na rękojeści miecza ojca mi na to nie pozwoli, prawda?

- Obawiam, się że tak, Daranie - odparłem.

- Dlaczego ja?

Dobry Boże! Ile razy to słyszałem? Skąd mogłem wiedzieć, dlaczego on? Nie ja to ustalałem. W tym momencie zaryzykowałem.

- To wiąże się z tym, kim jesteśmy, Daranie. Jesteśmy w pewnym sensie szczególni, a to oznacza, że spoczywa na nas szczególna odpowiedzialność. Jeśli ci to poprawi nastrój, to wiedz, że nie musimy tego wcale lubić. - Mówienie takich rzeczy siedmiolatki było może brutalne, ale mój wnuk nie był zwykłym dzieckiem. - Posłuchaj jednak, co zrobimy - kontynuowałem. - Porządnie się wyśpimy, wstaniemy skoro świt i wyruszymy sprawdzić, co jest po drugiej stronie tego wzgórza.

- Pada. Zmokniemy

- Nieraz już mokliśmy, Daranie. Nie roztopimy się. Swym planem naraziłem się obu córkom.

Jednakże my bawiliśmy się świetnie i nie przejęliśmy się zbytnio wyrzutami, których przyszło nam wysłuchiwać kilka dni później. Wędrowaliśmy po stromych zboczach Wyspy Wiatrów, obozowaliśmy i łowiliśmy pstrągi w głębokich rozlewiskach górskich strumieni, i rozmawialiśmy. Dyskutowaliśmy o wielu sprawach i chyba udało mi się przekonać Darana, że to, co miał zrobić, było konieczne i ważne. Przynajmniej przestał mnie przy każdej okazji zamęczać tym "Dlaczego ja?" Od tego czasu minęło trzy tysiące lat, a ja rozmawiałem z całym szeregiem jasnowłosych chłopców. Byłem zmuszony do zrobienia wielu rzeczy w ciągu tych nie kończących się stuleci, ale wyjaśnianie naszej dość wyjątkowej sytuacji tym chłopcom było pewnie najważniejszą z nich.

Rada Alornów trwała kilka tygodni, a potem wszyscy wróciliśmy do domów. Pol, Beldin i ja pożeglowaliśmy przez Morze Wiatrów i wpłynęliśmy do portu Camaar pewnego wietrznego popołudnia. Wynajęliśmy pokoje w tym samym przyzwoitym zajeździe, w którym Beldaran po raz pierwszy spotkała Rivę.

- Ile Beldaran ma teraz lat? - zapytał przy kolacji Beldin.

- Dwadzieścia pięć, wujku - odparła Pol - tyle samo co ja.

- Wygląda starzej.

- Chorowała. Zdaje się, że nie służy jej klimat panujący na Wyspie. Każdej zimy przeziębiam się i coraz trudniej wraca do zdrowia. - Spojrzała na mnie. - Nie pomogłeś

wymykając się z jej synem.

- Nie wymknęliśmy się - zaprotestowałem. - Zostawiłem jej wiadomość

- Belgarath jest bardzo dobry w zostawianiu wiadomości, gdy się wymyka - powiedział Beldin.

Wzruszyłem ramionami.

- Unikam tym samym kłótni. Musiałem porozmawiać z Da-ranem. Osiągnął już ten wiek, gdy ma się masę pytań, a ja najlepiej potrafię na nie odpowiadać. Myślę, że załatwiłem sprawę, przynajmniej na razie. Dobry z niego chłopiec, a teraz gdy wie, czego się od niego oczekuje, pewnie dobrze się spisze.

Lato było już w pełni, gdy wróciliśmy do Doliny. Natychmiast zabrałem się do pracy nad Kodeksem Darińskim, jako że był już ukończony. Postanowiłem się na razie wstrzymać ze studiowaniem Kodeksu Mrińskiego, który był wyraźnie trudniejszy. Jednakże stopień trudności jest sprawą względną w przypadku tych dwóch dokumentów. Potrzeba ukrycia sensu proroctwa obydwu czyniła bardzo niejasnymi.

Po kilku latach intensywnych studiów zacząłem mgliście zdawać sobie sprawę z tego, co w sobie krył. Nie bardzo mi się to podobało, ale przynajmniej miałem jakieś rozeznanie na temat przyszłych wydarzeń. Kodeks Dariński jest bardziej ogólny niż Mriński, ale zawierał kilka sygnałów ostrzegawczych. Każde

starcie miało być poprzedzone bardzo szczególnym wydarzeniem. To przynajmniej będzie dla nas jakimś ostrzeżeniem.

Minęło pewnie z dziesięć lat, gdy Dras przysłał posłańca do Doliny z kopiami całego Kodeksu Mrińskiego i wiadomością, że Prorok Mriński zmarł. Odłożyłem na bok proroctwo Bormika i zagłębiłem się w bełkocie szaleńca, który spędził życie przykuty do słupa. Jak już wspomniałem, Kodeks z Darine dał mi ogólne pojęcie o tym, co miało się wydarzyć, a to przynajmniej częściowo czyniło Kodeks Mriński bardziej zrozumiałym. Pomimo to nie było to jednak proste zadanie.

Polgara kontynuowała własne studia, a Beldin wrócił do Mallorei, więc mogłem się skoncentrować. Jak zwykle, gdy byłem czymś bardzo zaabsorbowany, straciłem poczucie czasu, zatem nie potrafię dokładnie określić, kiedy Mistrz przybył do nas znowu. Tym razem miał bardzo wyraźne instrukcje. Z żalem przerwałem swe studia i wyruszyłem do południowej Tolnedry zaraz następnego ranka.

Zatrzymałem się w Prolgu, aby porozmawiać z Gorimem, a potem udałem się do Tol Brune, aby zamienić kilka słów z wielkim księciem. Nie bardzo uszczęśliwiła go wiadomość o planach, jakie miałem względem jego syna, ale gdy zapewniłem go, że to, co

proponowałem, przygotuje drogę jego rodzinie na imperialny tron w Tol Honeth, zgodził się zastanowić. Nie uznałem za konieczne powiedzieć mu, że do wyniesienia rodu Borunów dojdzie dopiero za jakieś pięćset lat. Nie ma co zawracać ludziom głowy takimi szczegółami, prawda?

Potem powędrowałem do Lasu Driad.

To był ten czas i po chwili na leśnej ścieżce pojawiła się Driada imieniem Xalla. Jak zwykle, celowała do mnie z łuku.

- Odłóż to - powiedziałem poirytowany.

- Ale nie będziesz próbował uciekać? - zapytała.

- Oczywiście. Muszę porozmawiać z księżniczką Xorią.

- Ja cię pierwsza zauważyłam. Xoria może cię dostać, gdy ja z tobą skończę.

Jak już wspominałem, w drodze do Tolnedry zahaczyłem o Prołgu. Odbyłem długą rozmowę z Gorimem na temat Driad, więc byłem przygotowany. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem czekoladkę.

- Co to?

- Coś do jedzenia. Spróbuj. Spodoba ci się.

Driada wzięła cukierek i obwąchała go podejrzliwie. Potem wsunęła do ust.

Nie uwierzycie, jak zareagowała. Czekolada ma dziwny wpływ na Driady. Widziałem wiele kobiet w namiętym uniesieniu, ale u Xalli przybrało ono tak skrajne rozmiary, że czułem się zakłopotany. W końcu odwróciłem się i odszedłem na bok, aby zapewnić jej nieco intymności.

Nie sądzę, abym musiał wdawać się w szczegóły. Z pewnością wiecie, o co chodzi.

W każdym razie, gdy czekolada zaczęła już działać, Xalla zrobiła się bardzo uległa - a nawet zalotna. Pamiętajcie o tym, gdy następny raz przyjdzie wam przechodzić przez Las Driad. Wiem, że większość młodych ludzi poczytuje sobie za powód do dumy szczególną aktywność w tej akurat dziedzinie ludzkiej działalności, ale to ci, którzy nigdy nie spotkali Driady o tej porze roku.

Zabierzcie z sobą czekoladę. Zaufajcie mi.

Moja czuła towarzyska poprowadziła mnie przez Las do drzewa księżniczki Xorii. Xoria była jeszcze drobniejsza od Xalli i miała płomiennorude włosy. Jej praprapra... prawnuczka bardzo ją przypominała. Xalla zaprowadziła mnie na polankę. Księżniczka leżała wygodnie na posłaniu z mchu w rozgałęzieniu konarów swego drzewa, jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. Zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem.

- Doceniam twój dar, Xallo - powiedziała krytycznie - ale czy on nie jest trochę za

stary?

- On ma w kieszeni jedzenie, Xorio - odparła Xalla. - po tym jedzeniu robi się bardzo miło.

- Nie jestem głodna - stwierdziła księżniczka.

- Naprawdę musisz trochę tego spróbować, Xorio - nalegała Xalla.

- Właśnie jadłam. Czemu nie zabierzesz go do Lasu i nie zabijesz? Jest pewnie za stary, aby był z niego jakiś pożytek.

- Spróbuj tylko kawałka tej czekoladki - upierała się Xalla. - Naprawdę ci zasmakuje.

- No dobrze. - Księżniczka zeszła z drzewa. Daj mi trochę - rozkazała.

- Jak sobie wasza wysokość życzy - odparłem, sięgając do kieszeni.

Księżniczka zareagowała na czekoladę jeszcze gwałtowniej niż Xalla i gdy w końcu odzyskała panowanie nad sobą, miała mniej mordercze zapędy.

- Po co przyszedłeś do naszego Lasu, starcze? - zapytała.

- Mam zaproponować ci małżeństwo - odparłem.

- Co to jest małżeństwo?

- To rodzaj formalnej umowy, z którą wiąże się parzenie - wyjaśniłem.

- Z tobą? Nic z tego. Jesteś miły, ale bardzo stary.

- Nie - powiedziałem - nie ze mną, z kimś innym.

- Co wiąże się z tym małżeństwem?

- Mała ceremonia, a potem będziecie żyć razem. Będziesz musiała zgodzić się na rezygnację z innych partnerów.

- Jakże to nudne. Dlaczegoż miałabym się zgodzić na coś takiego?

- Aby ochronić swój Las, wasza wysokość. Jeśli poślubisz tego młodzieńca, jego rodzina nie wpuści drwali między twoje dęby.

- Same możemy się o to zatroszczyć. Wielu ludzi przychodziło do naszego Lasu z siekierami. Ich kości nadal tu są, ale siekiery dawno zżarła rdza.

- To byli pojedynczy drwale, Xorio. Jeśli zaczną przybywać tu gromadnie, szybko zabraknie wam strzał. A oni również zaczną palić ogniska.

- Ogień!

- Ludzie lubią ogień. To dla nich charakterystyczne.

- Czemu to robisz, starcze? Czemu próbujesz mnie zmusić, bym połączyła się z kimś, kogo nawet nie widziałam?

- Konieczność, Xorio. Ten młodzieniec należy do rodu Borune, a ty poślubisz go, ponieważ po bardzo długim czasie twoje małżeństwo spowoduje przyjście na świat kogoś

szczególnie wyjątkowego. Ona będzie partnerką Dziecka Światła i będą ją zwać Królową Świata. - Potem westchnąłem i powiedziałem wprost - Zrobisz to, Xorio. Będziesz się ze mną sprzeczać, ale w końcu zrobisz tak, jak ci powiedziano - tak samo jak ja. Żadne z nas nie ma w tym wypadku wyboru.

- Jak to stworzenie Borune wygląda?

Podczas rozmowy z jego ojcem bardzo uważnie przyjrzałem się młodzieńcowi, więc wywołałem jego podobiznę na powierzchni leśnego stawu, u podnóża drzewa księżniczki, aby mogła zobaczyć twarz przyszłego męża.

Utkwiła w wizerunku spojrzenie swych zielonych oczu, bezwiednie skubiąc koniec jednego ze swych płomiennych loków.

- Nie wygląda źle - przyznała. - Czy ma temperament?

- Wszyscy Boruni mają temperament, Xorio.

- Daj mi jeszcze kawałek czekolady, to zastanowię się nad tym.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Syn wielkiego księcia rodu Borune nazywał się Dellon. Był miłym młodzieńcem, któremu pomysł poślubienia Driady wydał się interesujący. Wróciłem do Tol Borune po kolejną porcję czekoladek i aby porozmawiać z nim na osobności. Jego zainteresowanie tym pomysłem wzrosło, gdy ujrzał wizerunek księżniczki Xorii na powierzchni wody w misce. Potem wróciłem do Lasu i wydzieliłem Xorii rozsądną porcję słodkości.

Driady trzeba bardzo ostrożnie karmić czekoladą. Jeśli dać im zbyt dużo, mogą się od niej uzależnić i nic oprócz niej nie będzie ich interesować. Chciałem, aby Xoria była przymilna, nie otumaniona.

Główną przeszkodą w całej tej sprawie okazała się matka Dellona, wielka księżna. Dama owa pochodziła z rodu Honethów i zasadniczym powodem, dla którego zaaranżowano jej małżeństwo z wielkim księciem z rodu Borunów, było uzyskanie dostępu do bezcennych zasobów Lasu Driad. W górach na południe od Tol Honeth i wokół Tol Ranę też oczywiście były lasy, ale rosły w nich głównie jodły, sosny i świerki, czyli drzewa o miękkim drewnie. Jedynym znaczącym źródłem twardego drewna w Tolnedrze były lasy na północy, należące do rodu Yordue, ale jego przedstawiciele liczyli sobie straszliwe ceny za swój towar. Od stuleci Honethowie spoglądali pożądliwie na dęby w Lesie Driad.

Obietnica, że to małżeństwo ostatecznie zaowocuje wstąpieniem na imperialny tron dynastii Borune, przeciągnęła wielkiego księcia na moją stronę. Jednakże gdy od niechcenia wspomniałem, iż jednym z punktów małżeńskiego kontraktu będzie nietykalność Lasu, wielka księżna zapłonęła gniewem.

Była jednak Honethem do szpiku kości, więc po początkowym wybuchu uciekła się do swej wrodzonej przebiegłości. Doskonale wiedziałem, że jej sprzeciw ma podłoże ekonomiczne, ale ona udawała, że jej protesty były natury religijnej. Dla wszystkich łotrów religia była ostatnią ucieczką, a większej łotrzycy od wielkiej księżnej nie spotkałem. Można powiedzieć, że w jej rodzinie było to wrodzone. Przed rozłupaniem świata Bogowie niechętnym okiem patrzyli na międzyrasowe małżeństwa. Alornowie nie poślubiali Nyissan, a Tolnedranie nie brali ślubów z Arendami. Torak w swych zakazach posunął się jeszcze dalej. Moja propozycja wiązała się z zawarciem związku międzyrasowego i matka Dellona skierowała swój protest do kapłanów Nedry. Kapłani są z natury bigotami, więc bez trudności uzyskała ich poparcie.

Tym samym wszystko utknęło w martwym punkcie. Ja nadal krążyłem tam i z

powrotem pomiędzy Lasem a Tol Borune, więc księżnej nie brakowało okazji do knucia za moimi plecami i zdobywania popleczników.

- Mam związane ręce, Belgaracie - powiedział mi wielki książę, gdy wróciłem do Tol Borune z wyprawy do Lasu. - Kapłani absolutnie nie zgadzają się na to małżeństwo.

- Twoja żona zabawia się polityką, wasza miłość - powiedziałem mu bez ogródek.

- Wiem, ale dopóki kapłani Nedry są po jej stronie, nic nie mogę zrobić.

Podumałem nad tym przez chwilę i znalazłem wyjście. Wielka księżna miała ochotę na polityczne rozgrywki, więc pokażę jej, że i ja potrafię w to grać.

- Wyjadę na jakiś czas, wasza miłość - powiedziałem.

- Dokąd się wybierasz? Wracasz do Lasu?

- Nie. Muszę zobaczyć się z kimś w Tol Honeth. Wszystko to działo się w początkowym okresie panowania

dynastii vorduviańskiej i znałem człowieka, z którym należało się spotkać. Po przybyciu do Tol Honeth, udałem się do Imperialnego Pałacu i przekupiłem odpowiednią liczbę urzędników, aby uzyskać prywatną audiencję u imperatora, Rana Yordue H.

- Jestem zaszczycony, Prastary - przywitał mnie.

- Darujmy sobie grzeczności, Ranie Yordue - powiedziałem. - Nie mam zbyt wiele czasu. Otóż ostatnio doszło do zbieżności naszych interesów. Co ty na to, gdybym ci powiedział, że Honethowie są o krok od uzyskania dostępu do nieograniczonych zasobów twardego drewna?

- Co takiego? - wybuchnął.

- Przypuszczałem, że tak właśnie zareagujesz. Fortuna twojego rodu niemal całkowicie jest uzależniona od zasobów Lasu Yordue. Jeśli Honethowie zdobędą dostęp do Lasu Driad, to ceny drewna spadną na łeb na szyję. Usiłuję właśnie doprowadzić do małżeństwa, które na zawsze będzie trzymać Honethów z dala od Lasu. Wielka księżna Borune pochodzi z rodu Honethów i przeciwstawia się moim zamiarom, podpierając się zakazami natury religijnej. Czy najwyższy kapłan Nedry nie jest przypadkowo z tobą spokrewniony?

- Jest moim wujem - odparł.

- Miałem nadzieję, że stanowicie rodzinę. Potrzebna mi jego dyspensa na ślub syna wielkiego księcia Borune z księżniczką Driad.

- Belgaracie, to niedorzeczność!

- Tak, wiem, pomimo to jest mi potrzebna. To małżeństwo musi dojść do skutku.

- Dlaczego?

- Manipuluję historią, Ranie Yordue. W rzeczywistości to małżeństwo niewiele ma

wspólnego z tym, co wydarzy się

w Tolnedrze. Jest wymierzone przeciwko Torakowi i poskutkuje dopiero za trzy tysiące lat.

- Naprawdę potrafisz tak daleko zajrzeć w przyszłość?

- Niezupełnie, ale mój Mistrz potrafi. Twój interes w tej sprawie ma raczej drugorzędne znaczenie. Ale obaj, choć z różnych powodów, pragniemy trzymać Honethów z dala od Lasu Driad.

Imperator spojrział w zamyśleniu w sufit.

- Czy pomogłoby, gdyby mój wuj udał się do Tol Borune i osobiście odprawił ceremonię? - zapytał.

- Jak najbardziej, Ranie Yordue - odparłem z szerokim uśmiechem. - Sądzę, że bardzo by pomogło.

- Załatwię to - powiedział, również się uśmiechając. - Honethom na pochybel - dodał.

- Z chęcią bym za to wypił.

Tak oto Dellon i Xoria pobrali się i ród Borunów nierozzerwalnie został powiązany z Driadami.

Nawiasem mówiąc, matka pana młodego nie pojawiła się na ślubie. Nie najlepiej się czuła.

Cała ta sprawa zajęła mi niemal trzy lata, ale biorąc pod uwagę, jak była ważna, uważałem, że czas ten nie poszedł na marne. Wracalem do Doliny w nastroju radosnego samozadowolenia. Jeszcze teraz, gdy o tym myślę, mam ochotę zdzielić się po karku. Wilki są o wiele lepiej przystosowane do pokonywania gór pokrytych śniegiem, więc przybrałem tę postać niemal odruchowo.

Po zejściu z gór, na południowym krańcu Doliny, wróciłem do własnej postaci. Ogon nie zdążył mi jeszcze zniknąć, gdy w mej głowie rozległy się połączone nawoływania bliźniaków.

- Przestańcie wrzeszczeć] - odkrzyknąłem.

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytał z wyrzutem głos Beltiry.

- W Tolnedrze. Wiedziałeś o tym.

- Od tygodnia usiłujemy się z tobą porozumieć.

- Musiałem przejść przez góry, więc zmieniłem się w wilka.

To zawsze była jedna z niedogodności przy zmianie postaci. Zakłócała nasz szczególny sposób komunikowania się. Jeśli któryś z braci usiłuje się z tobą porozumieć, a nie wie, że zmieniłeś postać, to najprawdopodobniej zupełnie chybi.

- O co chodzi? - przesłałem pytanie.

- Beldaran jest bardzo chora. Polgara pojechała na Wyspę, by pomóc w miarę swych możliwości. - Umilkł na chwilę. - Lepiej się pośpiesz, Belgaracie.

Poczułem jak lęk ściska mi serce.

- Skróć sobie drogę do Camaar przez Ulgoand. Dajcie znać Polgarze, że przybywam.

- Być może będziemy chcieli się z tobą skontaktować. Ponownie zamienisz się w wilka?

- Nie. Polecę jako sokół.

- Nie fruwasz najlepiej, Belgaracie.

- Może czas się nauczyć. Już się zmieniam.

Niepokój o Beldaran był tak przytłaczający, że nawet nie pomyślałem o rzeczach, które zwykle przeszkadzały mi w lataniu i po półgodzinie prulem powietrze niczym strzała. Kilka razy spróbowałem nawet translukacji, ale nie działała zbyt dobrze - głównie dlatego, że podczas niej wracałem do własnej postaci, usiłując przy tym lecieć bez pomocy skrzydeł i trafiałem do miejsca odległego o dziesięć mil. Porzuciłem więc ten sposób na rzecz staromodnej metody poruszania się.

Do Camaar dotarłem zupełnie wyczerpany po dwóch dniach, ale zmusiłem się do przefrunięcia nad Morzem Wiatrów.

Przybyłem szybko, ale pomimo to i tak za późno. Beldaran już nie żyła.

Polgara była niepokieszona, Riva przypominał mnie po śmierci Poledry. Nie było co rozmawiać z żadnym z nich, poszedłem więc szukać wnuka.

Znalazłem go na szczycie najwyższej wieży Cytadeli. Zdawało się, że wypłakał już wszystkie łzy. Stał na blankach smutny, z zapuchniętymi od płaczu oczyma. Był już dorosły i bardzo wysoki.

- Dobrze już, Baranie - odezwałem się do niego oschle - złaż stamtąd.

- Dziadku!

- Powiedziałem, żebyś stamtąd zlazł. - Wołałem nie ryzykować. W przyływie rozpacz mógłby zrobić coś głupiego. Na własny smutek miałem czas później. Teraz musiałem zająć się nim.

- I co my teraz zrobimy, dziadku? - zapytał ze szlochaniem.

- Poradzimy sobie, Daranie. Jak zawsze. Powiedz mi teraz, co się stało.

Daran wziął się w garść.

- Mama od lat przeziębiała się każdej zimy. Ciocia Pol powiedziała, że to osłabiało jej płuca. Ostatniej zimy było o wiele gorzej. Zaczęła kaszleć krwią. Wtedy tata posłał po ciocię Pol. Jednak nic nie mogła poradzić. Próbowła wszystkiego, ale mama była zbyt słaba.

Czemu ciebie tu nie było, dziadku? Ty mógłbyś coś poradzić.

- Nie jestem lekarzem, Daranie. Twoja ciocia zna się na tym o wiele lepiej ode mnie. Jeśli ona nie mogła uratować twojej mamy, to nikt już nie mógł. Czy twój ojciec ma marszałka dworu? Kogoś, kto dogląda wszystkiego, gdy on jest zajęty?

- Masz na myśli Branda? On jest strażnikiem Rivy. Ojciec zlecił mu całą administrację.

- Lepiej z nim porozmawiajmy. Będziesz musiał przejąć władzę, dopóki twój ojciec nie otrząśnie się z tego.

- Ja? Dlaczego ja?

- Ty jesteś następcą tronu, Daranie, oto powód. To twój obowiązek. Ojciec nie jest teraz w stanie sprawować władzy, wszystko więc spada na twoje barki.

- To niesprawiedliwe. Ja czuję się równie okropnie jak on.

- Niezupełnie. Przynajmniej możesz nadal mówić, tak jak mi się zdaje. On nie. Pomogę ci. Brand też wie, co jest do zrobienia.

- Ojciec wydobrzeje, prawda?

- Miejmy nadzieję. Jednak to może trochę potrwać. Po śmierci twojej babki dochodziłem do siebie dwanaście lat.

- Nikt nie będzie słuchał moich rozkazów, dziadku. Broda mi nawet jeszcze nie urosła jak należy.

- Masz dwadzieścia lat, Daranie. Czas, byś dorósł. Chodźmy porozmawiać z Brandem.

Przyznaję, że to było brutalne, ale ktoś na Wyspie musiał funkcjonować normalnie. Riva najwyraźniej nie mógł. Klejnot zdecydowanie potrzebował ochrony. Nie chcę nawet myśleć

o tym, co by było, gdyby do Ctuchika dotarły wieści o stanie Rivy.

Brand był jednym z tych solidnych, godnych zaufania ludzi, których świat potrzebował najbardziej. Natychmiast zrozumiał powagę sytuacji. Był niezwykle spostrzegawczy, jak na Alorna, więc doskonale zrozumiał również to, czego nie mogłem mu powiedzieć wprost w obecności Darana. Było całkiem możliwe, że Riva nigdy na dobre nie uleczy się ze swej rozpacz

Daran będzie musiał sprawować władzę jako regent. My z kolei będziemy musieli obarczyć go obowiązkami w takim stopniu, aby rozpacz i jego nie pochłonęła. Zostawiłem ich pogrążonych w rozmowie i udałem się do komnat Polgary.

Zapukałem do drzwi.

- To ja, Pol. Otwórz.

- Odejdź.

- Otwórz drzwi, Polgaro. Muszę z tobą porozmawiać.
- Odejdź, ojczu. Wzruszyłem ramionami.
- To twoje drzwi, Pol. Jeśli zaraz nie otworzysz, będziesz je musiała wymienić.

W końcu otworzyła mi drzwi. Miała bardzo zmizerowaną twarz.

- O co chodzi, ojczu?
- Nie masz na to czasu, Polgaro. Później będziesz mogła sobie popłakać. Teraz jesteś mi potrzebna. Riva nie jest w stanie nawet myśleć, więc ustanowiłem Darana regentem. Ktoś będzie musiał nad nim czuwać, a ja mam do zrobienia coś absolutnie nie cierpiącego zwłoki.

- Dlaczego ja?

- Pol, jeszcze ty? Dlaczego każdy mnie o to pyta? Zostałaś wybrana, ponieważ jesteś jedyną osobą, która sobie z tym poradzi. Zostaniesz tutaj i pomożesz Daranowi. Nie pozwól, by pogrążył się w melancholii jak ojciec. Angarakowie wszędzie mają szpiegów i przy najmniejszych oznakach słabości możesz się spodziewać wizyty Ctuchika. A teraz weź się w garść. Wytrzymaj nos i doprowadź się do porządku. Daran rozmawia z rivańskim strażnikiem. Zaprowadzę cię do nich, a potem muszę odejść.

- Nie zostaniesz nawet na pogrzebie?

- Już ją pogrzebałem w swym sercu, Pol, podobnie jak ty. Nie zmieni tego żadna ceremonia. Zrób coś z sobą. Okropnie wyglądasz.

Przykro mi, Pol, ale tak właśnie musiałem postąpić. Musiałem was wydobyć z otchłani rozpacz. Obarczenie cię odpowiedzialnością było jedynym sposobem, jaki przychodził mi do głowy.

Zostawiłem swą córkę i wnuka pogrążonych w dyskusji z Brandem i udałem, że opuszczam Wyspę. Jednakże nie uczyniłem tego. Poszedłem w góry wznoszące się za miastem Rivy i znalazłem sobie cichy zakątek.

Potem skuliłem się i płakałem jak dziecko.

Riva nigdy w pełni nie otrzęsął się po stracie swej żony. Miał już oczywiście sześćdziesiątkę na karku, gdy Beldaran nas opuściła, więc i tak był już czas, by Daran przejął władzę. To pozwoliło mi przekonać Pol do pozostania na Wyspie - sprawić,

by była zajęta. To jest bardzo ważne w czasie żałoby. Gdybym miał jakieś absorbujące zajęcie po śmierci Poledry, to być może sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej.

Zdaje się, że uświadamiałem to sobie niejasno po powrocie do Doliny, więc z pasją oddałem się studiowaniu Kodeksu Mrińskiego. Przekopałem się przez niego od początku do końca, szukając jakiegoś znaku, który mógł przestrzec mnie przed tym, co stało się z Beldaran. Na szczęście nic nie znalazłem. Z całą pewnością poczucie winy przygniotłoby

mnie zupełnie.

Po siedmiu latach przybył posłaniec od Darana z wieścią o śmierci Rivy. Cherek o Niedźwiedzich Barach zmarł poprzedniej zimy, Dras o Byczym Karku i Algar o Chyżych Stopach byli już bardzo starzy. Jedną z przykrych stron długiego życia jest fakt, że traci się wielu przyjaciół po drodze. Czasami miałem wrażenie, że moje życie było jednym długim pogrzebem.

Polgara wróciła do Doliny rok później i przywiozła z sobą kilka kufrów pełnych ksiąg medycznych. Pewnie nie było w tych książkach niczego, co mogło pomóc Beldaran, ale myślę, że Pol chciała się upewnić. Nie wiem, co by się stało, gdyby znalazła jakieś lekarstwo, którego nie znała, ale i ona miała szczęście.

Przez pięćdziesiąt lat w Dolinie sprawy biegły spokojnie. Daran ożenił się, miał syna i zestarzał się, podczas gdy my z Polgara kontynuowaliśmy swoje studia. Poczucie wspólnej straty zbliżyło nas do siebie. Przyszłość, w miarę zagłębiania się w Kodeksie Mrińskim, zaczynała mnie coraz bardziej niepokoić. Jednak wedle mego osądu wszystko, czego potrzebowaliśmy, było na swoim miejscu, więc byliśmy gotowi.

Beldin wrócił z Mallorei prawie pod koniec dwudziestego pierwszego wieku. Według jego relacji, bardzo niewiele się tam działo.

- Zdaje mi się, że nic się nie wydarzy, dopóki Torak nie wróci ze swej samotni w Ashabie.

- U nas też nic ciekawego - odparłem. - Tolnedranie dowiedzieli się o zlocie w Maragorze i zbudowali miasto na granicy, w miejscu zwanym Tol Ranę. Usiłowali wciągnąć Maragów do handlu, ale nie mieli wiele szczęścia. Czy Zedar nadal jest w Ashabie?

Beldin przytaknął kiwnięciem głowy.

- Zdaje się, że Torak tęskni za jego towarzystwem.

- Mogę sobie wyobrazić dlaczego.

Nie rozmawialiśmy o Beldaran ani o innych zmarłych przyjaciółach. Wszystkich nas łączyły bliskie związki z rodziną Che-reka, toteż ich śmierć wywoływała w nas poczucie szczególnie dotkliwej straty.

Słaby handel pomiędzy Drasią a Gar og Nadrak zupełnie ustał po tym, jak Nadrakowie zaczęli napadać na miasta i wioski wschodniej Drasni. Syn Drasa, Khadar, podjął odpowiednie kroki i Nadrakowie wycofali się z powrotem do swych lasów.

Potem, w 2115 roku, Tolnedranie, zdenerwowani obojętnością Maragów wobec handlu, przystąpili do akcji. Gdybym baczniej śledził rozwój wydarzeń, to może mógłbym interweniować, ale zajęty byłem innymi sprawami. Magnaci handlowi z Tol Honeth

rozpuścili wszędzie plotki na temat rytualnego kanibalizmu Maragów. Z każdą opowieścią te historie robiły się coraz bardziej niestworzone. Nikt chyba nie jest zwolennikiem kanibalizmu, ale podejrzewam, że w Tolnedrze fala oburzenia była w większości udawana. Gdyby strumienie w Maragorze nie płynęły złotem, to nie sadzę, aby Tolnedranie tak obruszali się z powodu zwyczajów żywieniowych Maragów.

Niestety, Ran Yordue IV był na tronie dopiero od niespełna roku, gdy to wszystko się zaczęło, i jego brak doświadczenia miał istotne znaczenie dla późniejszych wydarzeń. Starannie podsycana histeria ostatecznie nie pozostawiła mu wyboru i Ran Yordue popełnił fatalny błąd, wypowiadając wojnę Maragom.

Tolnedrańska inwazja na Maragor była jedną z najciemniejszych kart historii ludzkości. Legiony, po przekroczeniu granic, nie miały na celu podboju, ale jedynie wyniszczenie narodu Maragów i niemal im się to udało. Doszło do straszliwej rzezi i w końcu jedynie chciwość, tak charakterystyczna dla wszystkich Tolnedran, zapobiegła całkowitej eksterminacji Maragów. Pod koniec kampanii dowódcy legionów zaczęli brać jeńców - głównie kobiety - które potem sprzedawali Nyissa-nom jako niewolników, na podobieństwo sępów krążących na skraju niemal każdego pola bitwy.

To była odrażająca procedura, ale zdaje się, że właśnie tym barbarzyńskim generałom winni jesteśmy podziękowania. Gdyby nie sprzedawali pojmanych, to Taiba pewnie nie przyszłaby na świat, a to byłaby katastrofa. Matka Wymarłej Rasy, jak nazywa ją Kodeks Mriński, absolutnie musiała być we właściwym miejscu o właściwym czasie lub całe nasze staranne przygotowania mogły wziąć w łeb.

Gdy tylko legiony oczyściły kraj z Maragów, ruszała tam fala poszukiwaczy złota. Mara miał jednak w tej kwestii własne zdanie. Nigdy dobrze nie rozumiałem Mary, ale doskonale rozumiałem jego reakcję na to, co Tolnedranie uczynili z jego ludem. W pełni pochwalałem postępowanie Mary, choć doprowadziło nas na skraj kolejnej wojny pomiędzy Bogami. Mówiąc wprost, Maragor stał się miejscem nawiedzonym. Duch Mary zawodził w nieutulonym żalu, a przed oczyma hord poszukiwaczy złota, którzy wdarli się do doliny Maragoru, pojawiały się trudne do wyobrażenia straszdyła. Większość z poszukiwaczy oszalała. Znaczna ich część pozabijała się, a tych kilku, którym udało się wrócić do Tolnedry, do końca życia musiało pozostać w domu wariatów.

Duch Nedry nie był zadowolony z okrutnego zachowania swych dzieci i przeprowadził bardzo zasadniczą rozmowę z Ranem Yordue. Zaowocowała ona założeniem klasztoru w Mar Terrin. Spodobał mi się ten pomysł, jako że chciwi kupcy, którzy wszczęli całe to zamieszanie, znaleźli się, co do jednego, pomiędzy pierwszymi mnichami, których wysłano

tam w celu ukojenia dusz wymordowanych Maragów. Zmuszenie do złożenia ślubów ubóstwa to pewnie najgorsze, co można zrobić Tolnedranowi.

Niestety nie skończyło się na tym. Belar i Mara zawsze byli sobie szczególnie bliscy i postępowanie dzieci Nedry bardzo uraziło Belara. Oto, co kryło się za wypadami Chereka na wybrzeże Tolnedry. Okręty wojenne, niczym stada psów gończych, dokonywały wypadów z Wielkiego Morza Zachodniego i nadbrzeżne miasta imperium były plądrowane i palone z okrutną regularnością. Cherekowie, najwyraźniej działając zgodnie ze wskazówkami Belara, szczególną uwagą obdarzali Tol Yordue, prastarą siedzibę rodu Yordue. Ran Vordue IV mógł tylko w złości zaciskać pięści, gdy jego rodzinne miasto niszczyły powtarzające się ataki Chereków.

W końcu mój Mistrz musiał wkroczyć i negocjować układ pokojowy pomiędzy Belarem i Nedrą. Naszym głównym zmartwieniem nadal był Torak. Przysparzał nam wystarczająco dużo kłopotów i bez innych rodzinnych nieporozumień.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po zniszczeniu Maragoru i coraz rzadszych atakach walecznych wojowników Chereka na wybrzeże Tolnedry, w królestwach Zachodu zapanował pokój - oczywiście nie licząc Aren-dii. Tam wojna ciągnęła się do znudzenia, po trosze pewnie dlatego, że Arendowie nie potrafili wymyślić sposobu na jej zakończenie. Nie kończące się okrucieństwa z obu stron zamieniły nienawiść w religię, a Arendowie byli bardzo pobożni.

Następne kilka stuleci spędziliśmy z Pol w Dolinie, spokojnie kontynuując swoje studia. Moja córka bez komentarza przyjęła fakt, że się nie starzeje. U niej osobliwe było to, że rzeczywiście nie posuwała się w latach. Beldin, bliźniaki i ja nabraliśmy dojrzałego wyglądu. Porobiły nam się zmarszczki, posiwiały włosy i zaczęliśmy wyglądać dostojnie. Inaczej niż Pol, która skończyła trzysta lat i nadal wyglądała tak samo jak w wieku dwudziestu pięciu. Spojrzenie miała mądrzejsze, ale na tym koniec. Zapewne czarodziej powinien mieć wygląd dostojnego mędrca, a to pociągało za sobą zmarszczki i siwe włosy. Kobieta z siwymi włosami i zmarszczkami zwana jest starowiną. Nie sądzę, aby Pol się to spodobało. Może wszyscy wyglądamy tak, jak myślimy, że powinniśmy wyglądać. Moi bracia i ja uważaliśmy, że powinniśmy przypominać czcigodnych mędrców. Pol o to nie dbała, ale "czcigodny" znajdował się w jej słowniku.

Chyba zbadam to pewnego dnia. Myśl, że w pewnym sensie możemy tworzyć siebie, jest bardzo intrygująca.

Z początkiem dwudziestego piątego wieku Polgara rozpoczęła samodzielną działalność. Za pierwszym razem próbowałem protestować, ale bez ogródek kazała mi pilnować własnego nosa.

- Mistrz kazał mi się tym zająć, ojczu. O ile sobie przypominam, twoje imię nawet nie padło w trakcie tej rozmowy.

Uznałem tę uwagę za całkowicie niestosowną.

Pol opuściła Dolinę na swym algarskim koniu. Oczekałem pół dnia, a potem ruszyłem za nią. Nie zabroniono mi tego, a byłem w końcu jej ojcem. Wiedziałem, że ma ogromne zdolności, ale...

Oczywiście musiałem być bardzo ostrożny. Oprócz swej matki, Polgara znała mnie najlepiej na świecie i podejrzewałem, że potrafiłaby wyczuć moją obecność z odległości dziesięciu lig. Podążając za nią na północ wzdłuż granicy z Ulgołandem ogromnie powiększyłem swój repertuar wcieleń. Myślę, że niemal co godzinę zmieniałem postać.

Posunąłem się nawet do tego, że pewnego wieczoru, by obserwować, jak rozbija obóz, przybrałem postać myszy polnej. Mało brakowało, abym dokończył żywota w szponach sowy.

Moja córka nie dawała po sobie poznać, czy wie o tym, iż ją śledzę, ale z Polgara nigdy nic nie wiadomo. Przeszła przez góry do Muros, po czym skręciła na południe, w kierunku Arendii. To obudziło mój niepokój.

Jak mogłem się spodziewać, została zaczepiona przez wacuńskich Arendów na drodze wiodącej do Vo Wacune. Arendo-wie są zwykle bardzo uprzejmi względem dam, ale ta grupka chyba zostawiła swe dobre maniere w domu. Dość nieuprzejmie ją przepytali i oświadczyli, że skoro nie ma eskorty, to będą musieli się nią zaopiekować.

Nie uwierzycie, jak gładko sobie z tym poradziła. Protestowała właśnie gwałtownie, gdy pomiędzy jednym a drugim oburzonym słowem, uśpiła ich wszystkich. Nie zauważyłbym nawet tego, gdyby nie wykonała drobnego gestu ostrzegawczego. Rozmawiałem już z nią o tym kilkakrotnie, ale ona nadal uważała, że samo Słowo uwalniające Wolę nie wystarcza. Zawsze czuła potrzebę dodania gestu.

Wacuńscy Arendowie zasnęli natychmiast, nie trudząc się zamykaniem oczu. Uśpiła nawet ich konie. Potem odjechała, mrużąc pod nosem. Po kilku milach zebrała Wolę i powiedziała: "Zbudźcie się", ponownie machając ręką.

Arendowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że właśnie ucięli sobie drzemkę, więc wydawało im się, że Pol po prostu zniknęła. Czar lub magia, wszystko jedno jak to nazwiecie, denerwował Arendów, więc postanowili nie jechać za nią - co nie znaczy, że wiedzieli, w którą stronę pojechała.

Polgara nie wyjawiała mi żadnych szczegółów na temat swego zadania w Arendii, toteż nadal musiałem za nią podążać. Jednak po tym spotkaniu w lesie kierowała mną bardziej ciekawość niż obawa o jej bezpieczeństwo. Wiedziałem, że potrafi zatroszczyć się o siebie.

Pojechała do Vo Wacune. Po dotarciu do bram miasta, z władczą miną zażądała, aby zaprowadzono ją do pałacu księcia.

Ze wszystkich miast starożytnej Arendii, Vo Wacune było najprzyjemniejsze. Targi bydła w Muros przynosiły Arendom wacuńskim niezły dochód, dlatego pod dostatkiem mieli pieniędzy na architektoniczne przedsięwzięcia. U podnóża wzgórz, na wschód od miasta znajdowały się kamieniołomy marmuru, a pokryte marmurem domy zawsze ładniej wyglądały od budowli z innego kamienia. Vo Astur było zbudowane z granitu, Vo Mimbre z żółtego kamienia, tak obficie występującego w południowej Arendii. W tym wypadku chodziło jednak o coś więcej. Vo Astur i Vo Mimbre były twierdzami i wyglądały jak

twierdze, zwaliste i nieładne. Marmurowe Vo Wacune wyglądało jak miasto ze snów. Miało wysokie, delikatne wieżyczki, szerokie, cieniste ulice i wiele ogrodów i parków. Za każdym razem, gdy czytacie opis jakiegoś tajemniczego miasta niewysłowionej urody, możecie być pewni, że powstał w oparciu o opis Vo Wacune.

Z zagajnika w pobliżu bramy obserwowałem, jak Pol wjeżdża do miasta. Potem, po chwili zastanowienia, ponownie zmieniłem postać. Arendowie bardzo lubią psy myśliwskie, więc przybrałem postać psa i poszedłem za nią. Księżę uzna, że jestem jej psem, a ona dojdzie do wniosku, że należę do niego.

- Wasza miłość - pozdrowiła księcia z głębokim ukłonem. - Koniecznie musimy porozmawiać na osobności. Swe myśli muszę ci wyjawić z dala od uszu innych.

- To nie leży w zwyczaju, lady... ? - Księżę zawiesił głos. Bardzo chciał wiedzieć, kim był po królewsku wyglądający gość.

- Przedstawię się, gdy zostaniemy sami, wasza miłość. W biednej Arendii wszędzie pełno nieprzyjaznych uszu, a wieść o mej wizycie nie może dotrzeć ani do Vo Mimbre, ani do Vo Astur. Twe królestwo zagrożone jest, wasza miłość, a ja przybyłam, aby temu zaradzić.

Gdzie nauczyła się mówić tym archaicznym językiem?

- Maniery twe i zachowanie takie są, iż skłonny jestem udzielić ci posłuchania, lady - odparł księżę. - Oddalmy się zatem, abyś mogła przekazać mi te najwyższej wagi wieści. - Wstał z tronu, podał ramię Pol i wyprowadził ją z sali.

Powlokłem się za nimi, stukając pazurami po posadzce. Szlachta arendzka zawsze pozwalała swym psom biegać po domach, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jednakże księżę odgonił mnie, a sam z Pol wszedł do komnaty na końcu korytarza. To nie był jednak żaden problem. Skuliłem się na podłodze z głową przy drzwiach.

- A teraz, lady - powiedział księżę - proszę, wyjaw mi swe imię.

- Nazywam się Polgara - odparła, porzucając kwiecistą mowę. - Być może o mnie słyszałeś.

- Córka Prastarego Belgaratha? - Księżę wydawał się oszołomiony.

- Zgadza się. Ostatnio otrzymywałeś złe rady, wasza miłość. Tolnedrański kupiec utrzymywał, iż mówił w imieniu Rana Yor-due XVII. A tak nie było. Ród Yordue nie proponuje ci przymierza. Jeśli posłuchasz jego rady i zaatakujesz terytorium Mimbrate, legiony nie przybędą ci z pomocą. Jeśli złamiesz przymierze z Mimbrate, oni natychmiast sprzymierzą się z Asturami i to będzie twój koniec.

- Kupiec tolnedrański miał dokumenty, lady Polgaro - zaprotestował księżę. - Miały pieczęć samego Rana Yordue.

- Nie tak trudno podrobić imperialną pieczęć, wasza miłość. Mogę ci taką zrobić choćby zaraz.

- Skoro Tolnedranin nie mówił w imieniu Rana Yordue, to w czym?

- On występował w interesie Ctuchika, wasza miłość. Mur-gowie pragną, by na Zachodzie panował niepokój. Arendia, targana tą nie kończącą się wojną domową, jest najlepszym miejscem na nowe ognisko zapalne. Zrób z kłamliwym Tolnedrani-nem, co chcesz. Ja muszę udać się do Vo Astur, a potem do Vo Mimbre. Plan Ctuchika jest bardzo złożony i jeśli się powiedzie, jego ostatecznym wynikiem będzie wojna pomiędzy Arendia i Tolnedrą.

- To być nie może! - wykrzyknął książę. - Przy takim rozbiću legiony nas zetrą w proch!

- Otóż to. A wówczas zostaną wciągnięci Alornowie i wybuchnie ogólna wojna. Nic bardziej nie zadowoliłoby Ctuchika.

- Wydobędę potwierdzenie tego głupiego spisku z Tolnedranina, lady Polgaro - powiedział. - Ręczę za to swym słowem.

Drzwi otworzyły się i książę przeszedł nade mną. Jeśli psy dostatecznie długo kręcą ci się pod nogami, to przestajesz je zauważać.

Polgara jednak nie dała się nabrać.

- W porządku, ojczy - odezwała się znużonym tonem - możesz już wracać do domu. Bardzo dobrze potrafię sobie radzić bez ciebie.

I prawdę powiedziawszy, radziła sobie. Jednakże nadal ją śledziłem. Udała się do Vo Astur i przeprowadziła z księciem Asturii podobną rozmowę jak z księciem Vo Wacune. Potem pojechała do Vo Mimbre i ich również ostrzegła. W trakcie tej jednej podróży zniszczyła coś, czego zbudowanie zajęło strupieszalemu Ctuchikowi pewnie z dziesięć lat. Nigdy jej nie spotkał, a już miał powody, by jej nienawidzić.

Wyjaśniła mi to wszystko, gdy wróciliśmy do Doliny - po tym jak zrugła mnie za łażenie za sobą.

- Ctuchik ma w królestwach Zachodu swych ludzi, którzy nie wyglądają na Angaraków - powiedziała. - Niektórzy z nich to zmienieni Grolimowie, ale są też inni. Słyszałeś kiedy o Dagashi?

- Nie powiem, że nie - odparłem.

- To grupa płatnych morderców z kryjówką gdzieś na południe od Nyissy. Są równie dobrymi szpiegami co bardzo wprawnymi mordercami. W każdym razie Murgowie odkryli złoto w tym paśmie górskim, które biegnie na północ od Urga do Goska, więc Ctuchik może

sobie pozwolić na przekupienie Tolnedran.

- Każdy może przekupić Tolnedranina, Pol.

- Być może. W każdym razie jego szpiedzy nakłonili rozmaitych Tolnedran, aby złożyli trzem księstwom Arendii oferty przymierza, rzekomo pochodzące od Rana Yordue. Oczywiście sam Ran Yordue nie miał o tym zielonego pojęcia. Pomysł polegał na tym, że gdy legiony nie przyjdą z pomocą ludziom, którzy się tego spodziewali, Arendowie zaatakują północną Tolnedrę. Północna Tolnedra to ziemie rodu Yordue, więc imperator zareaguje rozbiciem po kolei wszystkich księstw Arendii. Gdy dowiedzą się o tym Alornowie, pomyślą, że imperium próbuje poszerzyć swe granice i podejmą w związku z tym odpowiednie kroki. To był bardzo sprytny plan, trzeba przyznać.

- Ale ty przeszkodziłaś w jego realizacji.

- Tak, ojczu, wiem. Może lepiej mieć oko na Ctuchika. Myślę, że on coś kombinuje. Nie próbował przecież zasiać tej całej niezgody jedynie dla zabawy.

- Będę go miał na oku - obiecałem.

Niedługo potem Beldin wrócił ze swej kolejnej podróży do Mallorei i powiedział, że nie specjalnego się tam nie dzieje.

- Poza tym, że Zedar opuścił Ashabę - dodał niemal od niechcienia.

- Nie wiesz, gdzie się udał? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia. Zedar wije się jak piskorz. Z tego, co wiem, ukrywa się w Kell. Co się dzieje z Nadrakami?

- Nie rozumiem.

- Wróciłem tamtędy z Mallorei. Gromadzą się około dziesięciu lig na wschód od granicy z Drasnią. Zdaje mi się, że planują coś poważnego.

Zakląłem.

- O to więc chodziło w tym wszystkim!

- Gadaj do rzeczy, Belgaracie. Co się dzieje?

- Wzdłuż granicy prowadzono ograniczony handel. Potem Nadrakowie zaczęli się robić agresywni. Zrobili kilka wypadów do Drasni i syn Drasa przegnał ich z powrotem do lasów. Od jakiegoś czasu panował tam spokój.

- Myślę, że wkrótce znowu zrobi się niespokojnie. Miasta Nadraków są niemal wyludnione. Wszyscy, którzy potrafią powstać z miejsca, zobaczyć błyskawice i usłyszeć grzmot, zebrali się w leśnym obozie o dzień marszu od granicy.

- Lepiej ostrzeżmy Rhonara.

- Kto to?

- Obecny król Drasni. Pognam tam i powiem mu, co się święci. A ty może wybrałbyś się do Algarii i poszukał Cho-Da-na, Wodza Wodzów Klanów. Niech jazda Algara zgromadzi się na północ od jeziora Atun.

- To Algarzy nie mają już króla?

- Ten tytuł wyszedł z użycia. Algarzy są nomadami i dla nich klany są ważniejsze od narodu. Udam się do Boktoru, a potem do Val Alorn, aby ostrzec Chereków.

Beldin zatarł ręce.

- Dawno już nie mieliśmy wojny.

- Wcale za nią nie tęskniłem. - Podrapałem się po brodzie. - Chyba wpadnę do Rak Cthol i utnę sobie jeszcze jedną pogawędkę z Ctuchikiem, gdy tylko Alornowie zajmą swoje miejsca. Może uda mi się ukręcić temu łeb, nim wszystko wymknie nam się z rąk.

- Popsujesz zabawę. Gdzie Pol?

- W Arendii - chyba w Vo Wacune. Również tam Ctuchik snuje intrygi. Pol pilnuje spraw. Ruszajmy ostrzec Alornów.

Król Drasni, Rhonar, przyjął moje wieści dość entuzjastycznie. Był jeszcze gorszy od Beldina. Potem udałem się przez Zatokę Chereka do Val Alorn i porozmawiałem z królem Bledarem. On był jeszcze gorszy od Rhonara. Jego flota wypłynęła do Kotu już następnego dnia. Miałem nadzieję, że Beldin potrafi utrzymać w ryzach Alornów, gdy już zgromadzą się na granicy z Nadrakami. Przez kilka stuleci usiłowaliśmy z Pol tłumić otwartą wrogość między tymi narodami i ten rodzący się konflikt groził zaprzepaszczeniem naszych starań.

Potem udałem się do Rak Cthol.

Zatrzymałem się na pustyni, kilka lig na zachód od tej wstrętnej góry. Zastanowiłem się nad różnymi możliwościami. Moja ostatnia wizyta bez wątpienia przekonała Ctuchika do wystawienia straży, więc trudno będzie pewnie przedostać się niezauważenie przez miasto. W końcu z pewną niechęcią przyznałem, że wcale nie musiałem przechodzić przez miasto. Wiedziałem przecież, gdzie była wieżyczka Ctuchika, a ona miała okna.

Była późna noc, dlatego nad czarnym piaskiem nie było ciepłych prądów wznoszących. A to oznaczało, że okrążając szczyt, musiałem dosłownie wspinać się na skrzydłach do góry.

Dobre w tym było chyba jedynie to, że gdy wzbiłem się na pięćdziesiąt stóp, to przestałem widzieć ziemię.

Szczęśliwym trafem Ctuchik zasnął przy pracy i spał z głową na złożonych rękach, gdy wleciałem przez okno. Pozbyłem się sępich piór i obudziłem go. Dziesięć lat nie poprawiło jego wyglądu. Nadal przypominał chodzącego trupa.

Poderwał się z okrzykiem zaskoczenia, po czym się opanował.

- Miło cię znowu widzieć, stary - skłamał.

- Miło mi, że cię to cieszy. Lepiej wyślij wiadomość do swych Nadraków. Powiedz, aby odwołali inwazję. Alornowie wiedzą o ich nadejściu.

Jego oczy przybrały zimny wyraz.

- Któregoś dnia wyprowadzisz mnie z równowagi, Belgaracie.

- Mam nadzieję. Bóg wie, że ty ostatnio wystarczająco już mu działałeś na nerwy.

- Jak dowiedziałeś się o Nadrakach?

- Ja widzę wszystko, Ctuchiku. Nie potrafisz przede mną ukryć swych działań. Czy nie przekonało cię o tym to, co stało się w Arendii z twym planem?

- Zastanawiałem się właśnie, czemu się nie powiódł.

- Teraz wiesz. - Nie miałem zamiaru przywłaszczać sobie zasług Pol, pomyślałem jedynie, że lepiej będzie przez jakiś czas utrzymać jej udział w tym mistrzowskim posunięciu w tajemnicy przed Ctuchikiem. Pol była dobra, ale nie byłem pewny, czy była już gotowa do starcia z Ctuchikiem. Poza tym nie chciałem, aby o niej wiedział. Można powiedzieć, że trzymałem ją w rezerwie.

- Bardzo mi przykro, stary - powiedział z lekką drwiną. - Obawiam się jednak, że nie będę ci mógł pomóc w sprawie Nadraków. To naprawdę nie mój pomysł. Ja jedynie wypełniam rozkazy z Ashaby.

- Nie sil się na spryt, Ctuchiku. Wiem, że możesz rozmawiać z Torakiem, kiedy tylko masz ochotę. Lepiej zrób to zaraz.

Nie było cię, gdy najechaliśmy ziemie wokół Korimu. Wierz mi, Torak okropnie się złości, gdy zabijają jego Angaraków, a lada chwila może do tego dojść na granicy z Drasnią i najprawdopodobniej Nadrakowie zostaną całkowicie wyniszczeni. Widziałem już, jak Alornowie prowadzą wojnę. Oczywiście wszystko zależy od ciebie; w końcu to nie ja będę musiał się tłumaczyć przed Torakiem. - Potem, aby jeszcze bardziej go dobić i zaniepokoić, rzuciłem mu z głupim uśmiechem. - Tobie naprawdę jest potrzebna kopia Proroctwa Ashabińskiego, stary. Kodeks Mriński dostarcza mi bardzo dobrych wskazówek. Już kilkaset lat temu wiedziałem o twojej zagrywce, więc miałem mnóstwo czasu, aby się przygotować. - Uśmiechnąłem się uszczęśliwiony. - Zawsze miło się z tobą rozmawia, Ctuchiku - dodałem, po czym podszedłem do okna i wyskoczyłem przez nie.

Ten teatralny gest niemal mnie zabił. Byłem ledwie sto stóp nad pustynią, gdy w końcu wszystkie moje pióra znalazły się na miejscu. Bardzo trudno zmieniać postać podczas spadania. Z jakiejś przyczyny trudno się skoncentrować, gdy ziemia pędzi ci na spotkanie.

Jednakże moja wizyta w Rak Cthol, poza sposobnością do powiększenia niepokoju

Ctuchika, była w zasadzie stratą czasu. Powinienem wiedzieć, że Torak nie cofnie się przed czymś, co raz już zostało zaczęte, bez względu na to, ile stanie mu na przeszkodzie. Nie pozwoliłoby mu na to jego ego. Nadrakowie przedarli się z wyciem przez granice Drasni, nim zdążyłem wrócić z Rak Cthol i, co było do przewidzenia, Alornowie stawili im czoło, spuszczając tęgie baty. Nielicznym udało się co prawda uciec, ale miną stulecia, nim ponownie będzie ich tyłu, aby się tym martwić.

Torak najwyraźniej tak poprzekręcał wszystko w myślach, by nie czuć się winnym za zignorowanie mojego ostrzeżenia. Dla uczczenia tego wydarzenia polecił swym Grolimom czterokrotnie zwiększyć liczbę ofiar. Przez stulecia Grolimowie zabili więcej Angaraków niż Alornowie.

Gdy ci, którzy przeżyli ten pogrom, dokuśtykali do Gar og Nadrak i skryli się w lesie, udałem się do Arendii, aby sprawdzić, co porabia Pol. W końcu udało mi się ustalić miejsce jej pobytu. Mieszkała w Vo Wacune, w pobliżu książęcego pałacu. Podobnie jak wszystkie domy w Vo Wacune, jej również zbudowano z błyszczącego marmuru. Był to całkiem spory dom, którego dwa skrzydła częściowo otaczały dobrze utrzymany kwiatowy ogród o żwirowych ścieżkach, ładnie przyciętych żywopłotach i wypielęgnowanych trawnikach.

- Co to wszystko znaczy? - zapytałem, gdy w końcu służba wpuściła mnie przed jej oblicze.

Polgara siedziała w bogato zdobionym fotelu przed kominkiem z różowego kwarcu. Miała na sobie prawdziwie oszałamiającą błękitną suknię.

- Prowadzę światowe życie, ojczu.

- Znalazłaś żyłę złota?

- Prawdę powiedziawszy coś lepszego. Moje włości są całkiem spore, a ziemie bardzo urodzajne.

- Twoje włości?

- Znajdują się na północ od Jeziora Medalia - po drugiej stronie rzeki Camaar. Mam tam nawet rezydencję. Masz niewątpliwy zaszczyt zwracać się do Jej Miłości, księżnej Erat.

- Nie żartuj, Pol.

- Nie żartuję, ojczu. Stary książę był bardzo wdzięczny za informacje o spisku Ctuchika, które mu przekazałam, więc zawsze byłam mile widziana w książęcym pałacu.

Spojrzałem na nią groźnie

- Nadał ci tytuł za wypełnianie instrukcji Mistrza? I ty go przyjąłeś? Nieładnie, bardzo nieładnie, Pol. Nie wolno nam przyjmować nagród za wypełnienie poleceń Mistrza.

- To zabrnęło trochę dalej, stary wilku. Znasz sytuację w Arendii?

- Z tego, co ostatnio słyszałem, Wacitowie i Mimbraci

sprzymierzyli się przeciwko Asturii. To przymierze zdaje się trwać dłużej od innych.

- I nadal trwa, ojczcie. Po śmierci starego księcia na tron wstąpił jego syn, Alleran. Znał się dość blisko, ponieważ pomagałam matce go wychować. Ożenił się go - nawet udało mi się przekonać jego matkę, aby nie poślubiła kuzynki - w stosownym czasie żona obdarzyła go synem. Wówczas książę Vo Astur dostrzegł szansę na zagmatwanie sytuacji w Arendii i wysłał swych ludzi, by porwali chłopca. Obecny książę Vo Astur nie grzeszy oglądą i wiadomością, którą zostawili jego najmicy, nie budziła wątpliwości. Powiedział Alleranowi, że zabije jego syna, jeśli Arendowie wacunscy nie zerwą układu z Mimbrem i nie pozostaną neutralni. Wybrałam się więc do Vo Astur i uratowałam chłopca. Udzieliłam również księciu Asturian lekcji dobrych manier.

- Co mu zrobiłaś? - zapytałem z lekką obawą. Przy posługiwaniu się naszym darem obowiązują pewne zasady. - Chyba go nie zabiłaś?

- Oczywiście, że nie, ojczcie. Nie jestem taka głupia. Książę Vo Astur ma teraz otwarty wrzód żołądka. Dostarcza mu to rozlicznych uciech i powstrzymuje przed popełnianiem błędów. Moja wizyta w Vo Astur miała miejsce pięć lat temu i od tego czasu nie było w Arendii żadnej poważniejszej bitwy.

- Zaprowadziłaś w Arendii pokój? - zapytałem zdumiony.

- Tymczasowy, ojczcie - poprawiła. - Prawdopodobnie za wcześnie jeszcze mówić, czy na stałe. Zawróżdziłabym jednak żołądki wszystkim, jak Arendia długa i szeroka, gdybym mogła tym samym położyć kres tej głupocie. Książę Alleran był mi bardzo wdzięczny i dlatego teraz jestem księżną Erat.

- Czemu ja na to nie wpadłem? - zawołałem. - To takie proste. Dzięki bólowi żołądka zakończyłaś wojnę domową w Arendii. - Skłoniłem się przed nią. - Jestem z ciebie dumny, wasza miłość.

- Dziękuję, ojczcie. - Odkłoniła mi się. Potem zacisnęła w zamyśleniu usta. - Gratulacje mogą być jednak nieco przedwczesne. Gdy w Vo Mimbrem lub Vo Astur nastanie nowy książę, wrogość znowu może wziąć górę. Chyba będzie lepiej, jeśli zostanę w Vo Wacune. Wacitowie są najmniej agresywni ze wszystkich Arendów i cieszą się tutaj pewnym autorytetem dzięki przyjaźni z rodziną książęcą. Być może potrafię poprowadzić ich we właściwym kierunku. Ktoś musi w Arendii objąć rolę rozjemcy. Daj mi trochę czasu, a może uda mi się ustanowić zwyczaj. Może uda mi się nakłonić Mimbratów i Asturian, aby po rozstrzygnięciu w spornych kwestiach przybywali do Vo Wacune, zamiast załatwiać je na polu bitwy.

- Nie łudziłbym się na twoim miejscu, Pol.

- Warto spróbować - odparła, wzruszając ramionami. - Idź doprowadzić się do porządku, ojcze. Dziś wieczorem jest wielki bal w pałacu księcia i zostaliśmy zaproszeni - to znaczy ja zostałam zaproszona, ale możesz pójść jako mój prywatny gość.

- Co takiego?

- Wielki bal, ojcze - muzyka, tańce, uprzejme rozmowy i tego rodzaju rzeczy.

- Ja nie tańczę, Pol. Uśmiechnęła się słodko do mnie.

- Jestem pewna, że w mig się nauczysz, stary wilku. Bystry z ciebie gość. A teraz idź, wykup się i przystrzyż sobie brodę, żebyś nie przyniósł mi wstydu w miejscu publicznym.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W ciągu następnych sześciuset lat kręciłem się tu i tam, ale Polgara pozostawała w Vo Wacune. Ocena Arendów wacuńskich okazała się zasadniczo słuszna, a dzięki jej obecności i przewodnictwu udawało im się utrzymać kruchy pokój w Arendii.

Niemal doszczętne wyniszczenie Nadraków zmusiło strupieszalego Ctuchika do spuszczenia z tonu, więc nawet wzdłuż wschodniej granicy zapanował względny pokój.

Tak jak obiecałem ojcu Dellona, ród Borunów wstąpił na tron Tolnedry - w 2537, jak mi się zdaje. Przez stulecia Yorduvianie i Honethowie przekazywali sobie koronę, więc gdy Ran Yordue XX umarł bez dziedzica, Honethowie uznali, że teraz ich kolej. Kilku spośród szlachty Honethów uznawało się za godnych tego zaszczytu, co doprowadziło do tak ostrych podziałów w obrębie tego rodu, że Ława Doradców znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Słyszałem, że łapówki osiągały astronomiczną wysokość. Ostatecznie członek Ławy z południa z pewnym wahaniem umieścił imię wielkiego księcia Borunów na nominacji. Ani Yorduvianom, ani Horbitom nie w smak była myśl o kilku stuleciach nieudolnych rządów Honethów, toteż zrezygnowali z własnych kandydatów i przenieśli swe poparcie na Borunów. Ponieważ Honethowie nadal byli podzieleni, nie mieli wspólnego kandydata i korona przeszła na Borunów niemal walkowerem.

Ran Borune był bardzo zdolnym imperatorem. W owych czasach głównym problemem w Tolnedrze były nieustanne najazdy korsarzy Chereku na wybrzeża. Ran Borune wszczął odpowiednie kroki niemal zaraz po koronacji. Wyprowadził legiony z garnizonów i skierował je do prac przy budowie traktu, który teraz łączy Tol Yordue i Tol Horb. Legioniści nie byli tym zbytnio uszczęśliwieni, ale on był nieugięty. Dostał swój trakt, ale chodziło mu o coś więcej. Prawdziwym powodem tych przedsięwzięć była chęć rozstawienia legionów wzdłuż wybrzeża, aby odpierali ataki piratów, bez względu na to, gdzie wylądują. Plan działał całkiem dobrze. Sporo czasu spędziłem w Yal Alorn, usiłując przemówić do rozumu różnym królom Chereku, bez większego powodzenia. Pobożnie utrzymywali, że postępują zgodnie z poleceniami Belara, których udzielił im po tolnedrańskiej inwazji na Maragor. Usiłowałem ich przekonać, że Tolnedra została już wystarczająco ukarana, ale nie chcieli mnie słuchać. Podejrzewam, że na ich religijny entuzjazm miały istotny wpływ łupy, które zdobywali plądrując miasta. Jednakże gdy ich drużyny zaczęły natykać się na legionistów, pobożny zapal zaczął stygnąć i skierowali swe zainteresowanie na inne części świata.

Gdzieś około 2940 roku zahaczyłem o Vo Wacune, aby zobaczyć, co porabia Pol. Zdaje

się, że wpadłem tam akurat w odpowiednim momencie. Jej Miłość, księżna Erat, była zakochana. Wiedziałem, że spędzała za dużo czasu w Arendii.

Polgarę zastałem w ogrodzie, przy pielęgnacji róż.

- Witaj, stary wilku - powitała mnie - co porabiałeś?

- To i owo - odparłem ze wzruszeniem ramion.

- Czy świat nadal jest w jednym kawałku?

- Mniej więcej. W kilku miejscach musiałem go jednak załatać.

- Zechciej spojrzeć na to - powiedziała, po czym ścięła różę i podała mi. To była biała róża o bladolawendowych koniuszkach płatków.

- Bardzo ładna - powiedziałem.

- To wszystko? Bardzo ładna? Ona jest piękna, ojczec. Ontrose wyhodował ją specjalnie dla mnie

- Kim jest Ontrose?

- To mężczyzna, którego zamierzam poślubić, ojczec - gdy tylko zdobędzie się, aby mnie poprosić o rękę.

Co to miało znaczyć? W tym momencie stałem się bardzo ostrożny.

- Ciekawy pomysł, Pol. Poślij po niego, to porozmawiamy o tym.

- Nie pochwalasz mej decyzji.

- Tego nie powiedziałem. Czy jednak dokładnie wszystko przemyślałeś?

- Tak, ojczec.

- I ujemne strony tej decyzji nie przekonały cię, aby zastanowić się nad tym trochę głębiej?

- Jakie ujemne strony?

- No cóż, po pierwsze, jest między wami spora różnica wieku. On pewnie ma niewiele ponad trzydzieści, a ty, jeśli dobrze pamiętam, około dziewięćset pięćdziesięciu.

- Dziewięćset czterdzieści, dokładnie. A co to ma za znaczenie?

- Przeżyjesz go, Pol. Nie obejrzyś się, a on już się zestarzeje.

- Myślę, że należy mi się odrobina szczęścia, ojczec - nawet jeśli nie będzie ono trwało zbyt długo.

- I planujecie mieć dzieci?

- Oczywiście.

- Są duże szanse na to, że i one będą żyły jak zwykli ludzie. Ty się nie zestarzejesz. One tak.

- Nie próbuj mnie od tego odwieść, ojczec.

- Nie próbuję. Zwracam ci jedynie uwagę na następstwa. Pamiętasz, co czułaś po śmierci Beldaran? Naprawdę chcesz przez to ponownie przejść - i to wielokrotnie?

- Zniosę to, ojcze. Może, gdy wyjdę za mąż, zacznę żyć normalnym życiem. Może ja również się zestarzeję.

- Nie dałbym za to głowy, Pól. Masz jeszcze wiele rzeczy do zrobienia i jeśli poprawnie odczytałem Kodeks Mriński, będziesz jeszcze długo chodzić po świecie. Bardzo mi przykro, Pol, ale my nie jesteśmy zwykłymi ludźmi. Żyjesz już prawie tysiąc lat, a ja blisko pięć tysięcy.

- Ty się ożeniłeś - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Tak było mi pisane i twoja matka była zupełnie inna. Po pierwsze, dłużej żyła.

- Może poślubienie mnie przedłuży również życie Ontrose?.

- Nie liczyłbym na to. Jednakże może mu się wydawać dłuższe.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie należysz do najłatwiejszych we współżyciu, Pol. Polgara spojrzała na mnie zimno.

- Zdaje się, że wyczerpaliśmy już tematy do rozmowy, ojcze. Wracaj do Doliny i nie wtykaj nosa do moich spraw sercowych.

- Nie szafuj tak określeniem "sprawy sercowe", Pol. Działa mi to na nerwy.

Polgara wyprostowała się.

- Dość tego, ojcze - oświadczyła, po czym odwróciła się i wściekła opuściła ogród.

Zostałem tam jeszcze przez kilka tygodni i nawet spotkałem Ontrose'a. Był całkiem miłym młodzieńcem i zdaje się, że rozumiał sytuację lepiej niż Pol. Wielbił ją, oczywiście, ale w pełni zdawał sobie sprawę z tego, od jak dawna była w Vo Wacune - około sześciuset lat, jeśli moje wyliczenia są poprawne. Byłem całkowicie przekonany, że nie złoży jej żadnych nierozważnych propozycji bez względu na to, jak bardzo by tego pragnęła.

W końcu opuściłem Vo Wacune i ruszyłem z powrotem do Doliny. Miałem pewną przewagę, więc byłem całkiem pewny,

że z miłości Pol nic nie wyniknie. Wzmianki o mej córce często występowały w obu Kodeksach, ale nic tam nie było o mężu, aż do wiele późniejszych czasów. Albo więc wróci jej rozsądek, albo Ontrose przeżyje swe życie, nie poprosiwszy jej o rękę. Tak czy inaczej prawdopodobnie nie wydarzy się nic kłopotliwego. Wróciłem do swych badań, ale nie minęły trzy lata, gdy Pol mnie wezwała. Zerwała mnie ze snu w środku pewnej burzowej nocy.

- Ojcze! - W jej głosie brzmiała desperacja. - Potrzebuję cię!

- O co chodzi?

- Asturowie nas zdradzili. Zawarli przymierze z Mimbratami i maszerują teraz na Vo

Wacune. Pośpiesz się. Nie ma wiele czasu.

Wyskoczyłem z łóżka, ubrałem się i schwyciłem swój płaszcz podróżny. Zatrzymałem się jednak na chwilę, aby spojrzeć na pewien ustęp Kodeksu Mrińskiego. Poprzednio nie byłem pewny, co on znaczy, ale po wezwaniu Polgary wszystko stało się jasne.

Legendarne Vo Wacune było zgubione. Jedyne, co mogłem w tej sytuacji uczynić, to zabrać stamtąd Polgarę, nim wydarzy się nieuniknione.

Pospieszyłem ku zachodnim krańcom Doliny i przybrałem postać wilka. Noc była wietrzna, nie było więc sensu stroić się w piórka. Nie uleciałbym zbyt daleko, walcząc z czołem wyjącej wichury.

Dopiero dwa dni później, w połowie drogi przez Ulgoland, wiatr w końcu osłabł. Wtedy przybrałem skrzydła i mogłem poruszać się szybciej.

Dotarłem do Vo Wacune po południu następnego dnia, ale nie udałem się wprost do marmurowego miasta. Pokrążyłem trochę nad otaczającymi je lasami i długo nie trwało, jak wypatrzyłem Asturów. Byli nie dalej jak kilka lig od bram Vo Wacune. Rano będą na miejscu i nikt ani nic ich nie powstrzyma. Zakląłem i poleciałem do miasta.

Normalnie zmieniłbym postać przed pojawieniem się między ludźmi, ale to była szczególna sytuacja. Wleciałem do ogrodu Pol i usiadłem na drzewie.

Jak się okazało, Pol była w ogrodzie. Był z nią Ontrose. Miał na sobie kolczugę, a u pasa miecz.

- Takoz być musi, o ukochana - mówił do niej. - Musisz wyjechać z Vo Wacune w bezpieczne miejsce. Asturowie są już niemal u bram miasta.

Wróciłem do własnej postaci i zszedłem z drzewa.

- On ma rację, Pol - powiedziałem. Ontrose wyglądał na nieco zaskoczonego, ale Pol była przyzwyczajona do tego rodzaju rzeczy.

- Gdzie byłeś? - zapytała z wyrzutem.

- Natknąłem się na wichurę. Pakuj się. Musimy zaraz się stąd zabierać.

- Nigdzie nie idę. Gdy już tu jesteś, odeprzemy Asturów.

- Nie, prawdę powiedziawszy, nie możemy. To zabronione. Przykro mi, Pol, ale to musi się wydarzyć i nie wolno nam się do tego mieszać.

- Czy to pewne, o Prastary? - zapytał Ontrose.

- Obawiam się, że tak, Ontrosie. Czy Polgara mówiła ci o prorocत्वach?

Ontrose posepnie skinął głową.

- Ten fragment Kodeksu Mrińskiego był bardzo tajemniczy, ale teraz nie ma wątpliwości, co oznacza. Mógłbyś porozmawiać z księciem. Jeśli się pośpieszysz, to może

uda wam się wyprowadzić w bezpieczne miejsce kobiety i dzieci, ale miasta za kilka dni już tu nie będzie. Widziałem nadciągających Asturów. Rzucili przeciwko wam całe swoje siły.

- Będzie ich o wiele mniej, gdy wrócą do Vo Astur - powiedział ponuro.

- Ja się stąd nie ruszam - oznajmiła z uporem Polgara.

- Jesteś w błędzie, pani - oświadczył zdecydowanie. - Dotrzymasz towarzystwa ojcu swemu i oddalisz się z tego miejsca.

- Nie! Nie zostawię cię!

- Jego Miłość, książę, powierzył mi dowodzenie obroną miasta, lady Polgaro. Odpowiadam za przygotowanie naszych sił. Nie ma tam miejsca dla ciebie, pani. Przeto też polecam ci odjechać. Jedź.

-Nie!

- Jesteś księżną Erat, lady Polgaro, toteż należysz do szlachty wacuńskich Arendów. Twa przysięga na wierność Jego Miłości, naszemu księciu, nakazuje ci posłuszeństwo. Nie przynoś ujmy swej pozycji tą upartą odmową. Przygotuj się. Winnaś odjechać w ciągu godziny.

Polgara zadarła gniewnie brodę.

- To nie było miło powiedziane, mój panie - zarzuciła mu.

- Prawda często bywa niemiła, pani. Na obojgu nas spoczywa odpowiedzialność. Ja swej nie zaniedbam. Ty nie zaniedbaj swej. A teraz odejdz.

W oczach Polgary pojawiły się łzy bezsilności. Przytuliła go czule, a potem uciekła do domu.

- Dzięki, Ontrosie - powiedziałem po prostu, ściskając mu dłoń. - Sam niewiele bym tu wskórał.

- Opiekuj się nią, Prastary. Ona jest całym moim życiem.

- Będę, Ontrosie, i będę pamiętał o tobie.

- To chyba najlepsze, na co można mieć nadzieję. Teraz muszę odejść i zająć się naszą obroną. Żegnaj, Prastary Belga-racie.

- Żegnaj, Ontrosie.

Tak oto zabrałem swą szlochającą córkę ze skazanego na zagładę miasta. Udaliśmy się na północ, przekroczyliśmy rzekę Camaar i skierowaliśmy się przez Muros ku górskiemu przejściu do Algarii. Cały czas nie spuszczałem oczu z Polgary - bałem się nawrotu jej stanu, ale chyba niepotrzebnie. Należała przecież, jak bez skrpułów przypominał jej Ontrose, do szlachty. Otrzymała rozkazy i niepodobna, aby nie była im posłuszna.

Nie chciała ze mną rozmawiać, ale tego należało się spodziewać. Natomiast nie

spodziewałem się jej nieugiętej odmowy powrotu ze mną do Doliny. Polgara zatrzymała się przy ruinach chaty swej matki.

- Dalej nie idę - powiedziała
- Co takiego?
- Słyszałeś, ojcze. Zostaję tutaj.
- Masz pracę do wykonania, Pol.

- Wielka szkoda. Ty będziesz musiał się tym zająć. Wracaj do wieży i zagrzeb się w swych prorocत्वach, ale mnie w to nie mieszaj. Koniec z nami, ojcze. To koniec. Odejdź i nie zwracaj mi więcej głowy.

Wiedziałem, że nie było sensu z nią dyskutować. Sam to przeżyłem, więc wiedziałem, przez co przechodzi. Oczywiście musiałem ją obserwować - z pewnej odległości. Spędziła w Aren-dii kilkaset lat, co nie mogło pozostać bez śladu. Arendzkie damy przy byle okazji wpadają w samobójczy nastrój. Wystarczy najmniejsze rozczarowanie, aby arendzka dama zaczęła myśleć o nożach i wysokich wieżach, z których można skoczyć. Pol w końcu z tego wyjdzie, ale na razie trzeba było ją mieć na oku.

Wróciłem do Doliny i powiadomiłem bliźniaków. Wykorzystałbym i Beldina, ale wrócił do Mallorei. Przez następne sześć lat czailiśmy się na zmianę w zaroślach w pobliżu chatki Poledry. Początkowo moja nieszczęśliwa córka obozowała po prostu w ruinach, ale w końcu zabrała się za drobne naprawy. Uznałem to za dobry znak i nieco odetchnęliśmy. Jednak nadal ją obserwowaliśmy.

W pierwszych stuleciach czwartego tysiąclecia pierwsza dynastia Borunów nadal była u władzy w Tol Honeth. Borunowie stworzyli prawdziwą służbę dyplomatyczną - głównie po to, aby siać niepokój w Arendii. Tolnedra zdecydowanie nie chciała na swej zachodniej granicy zjednoczonej Arendii. Ambasadorzy tolnedrańscy zostali również wysłani do Val Alorn i Bok-toru i wkrótce rozwinął się handel. Drasnianie ponownie nawiązało luźne kontakty z Nadrakami i zaczął rozkwitać handel futrami. Z konieczności Cherekowie zostali włączeni, jako że byli jedynymi żeglarzami, którzy potrafili poradzić sobie ze zdradzieckimi prądami Przesmyku Chereka.

Isolacja Wyspy Wiatrów doprowadzała Borunów do szału. Byli przekonani, że blokada Chereków miała na celu ukrycie nieprzebranych skarbów Wyspy i rozpaczliwie pragnęli uszczknąć z nich trochę. Uznałem, że w tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli sami przekonają się, że na Wyspie nie ma nic wartościowego. Osamotnienie Rivan już zaczynało działać mi na nerwy. Zbyt dobrze pamiętałem lekcję z Maragoru.

Udałem się więc do Val Alorn i powiedziałem, aby Cherekowie rozluźnili nieco swą

blokadę. Tolnedranie na wszystko chcieli traktatów, czego rezultatem była Ugoda z Val Alorn - zdaje się z 3097 roku. Niemal natychmiast po jej zawarciu flotylla tolnedrańskich kupców pożeglowała do Rivy.

Zakładałem, że król Chereku zawiadomi Rivę o nowym porozumieniu, ale on głowę miał zaprzątniętą wojną klanów, więc zapomniał o tym. Toteż Rwanie nie spodziewali się wizyty i nie otworzyli swych bram. Tolnedrańscy kupcy próbowali postawić kramy na plaży, ale wiatr zwiewał ich namioty, a Rivanie odmawiali wyjścia poza bramy miasta.

Od stu lat dynastia Borunów stopniowo chyliła się ku upadkowi. Ostatni imperator z rodu Borunów, wyjątkowy idiota, ulegając natrętnym prośbom bogatych kupców, wysłał legiony, by sforsowały bramy miasta Rivy. Nie znam się na handlu, ale wydaje mi się, że zapędzanie klientów mieczami do sklepu nie jest najlepszym sposobem prowadzenia interesów.

Reakcja Rivan była łatwa do przewidzenia. Otworzyli bramy miasta, ale nie wylegli na zakupy. Zmiotli z powierzchni ziemi pięć tolnedrańskich legionów i po kolei spalili wszystkie okręty w porcie.

Ran Borune XXIV wpadł we wściekłość. Przygotowywał się, aby zaatakować Wyspę Wiatrów całymi siłami imperium, ale pismo ambasadora Chereku do Tol Honeth przywiodło go do opamiętania.

To pismo należy już do klasyki, więc przytoczę je w dosłownym brzmieniu:

Wasza Wysokość

Wiedz, że Aloria nie dozwoli na zaatakowanie Rivy. Flota Chereku, której maszty wznoszą się gęsto niczym drzewa w lesie, dopadnie twej floty i legiony Tolnedry będą karmić ryby od Haka Arendii po najdalsze krańce Morza Wiatrów. Bataliony drasnańskie pomaszczą na południe, miażdżąc wszystko na swej drodze i oblegając twe miasta. Jeźdźcy Algarii pomkną przez góry, by ogniem i mieczem pustoszyć twe imperium wzdłuż i wszerz.

Wiedz, że w dniu ataku na Rivę, Alornowie wypowiedzą ci wojnę i biada tobie i twemu imperium.

To zapobiegło groźbie tolnedrańskiego ataku na północy. Prawnicy Borunów natychmiast zaczęli szukać luk w ugodzie z Val Alorn, ale znaleźli jedynie mało precyzyjną klauzulę, którą tam celowo umieściłem. Brzmiała ona: "... ale Alornia będzie bronić Rivy i strzec jej". Cherek i Drasnia podpisały pakt pokojowy z Tolnedrą, ale Alornia nie. Zawsze byłem dumny z tego prawniczego kruczka.

Król Rivy, gdy wyjaśniłem mu całą sytuację, złagodził nieco swoje restrykcje i

pozwoił kupcom zbudować wioskę na plaży. Nie przynosiła wielkiego dochodu, ale przynajmniej chroniła Tolnedran przed popadnięciem w oblęd.

Ostatni z rodu Borunów umarł bezdzietny i w Tol Honeth, jak zwykle w takich wypadkach, rozgorzała pomiędzy wielkimi rodami walka o tron. Być może na nieszczęście, główne rody sprowadzały po cichu trucizny z Nyissy i rozliczni kandydaci do imperialnego tronu i różni członkowie Ławy Doradców byli dowodem ich skuteczności.

Ostatecznie zwyciężyli Honethowie - głównie dlatego, że mieli dość pieniędzy na kupienie koniecznych głosów i zapłacenie niebotycznych cen, jakie Nyissanie liczyli sobie za trucizny. Ród Honethów okazał się jednak całkowicie nieudolny, na szczęście zostali przy władzy tylko przez trzysta lat. Potem do rządów wrócili ponownie Borunowie. Druga dynastia Borunów też krótko sprawowała władzę, ale sporo dokonała. Rozwinęli system traktów na ziemiach Tolnedry i wysłali dwadzieścia legionów "w geście dobrej woli" na tereny dzisiejszej Sendarii w celu zbudowania sieci dróg, które połączyły miasto Sendar i port Camaar z Muros, w głębi kraju, i Darine na północnym wybrzeżu.

Cherekowie nie przejmowali się tym zbyt, gdyż dzięki temu kupcy tolnedrańscy omijali Przesmyk Chereka, przesyłając swe towary z Kotu do Darine, a potem do Camaar.

Ostatni imperator z drugiej dynastii Borunów, bezdzietny Ran Borune XII, sam wybrał swego następcę i przekazał imperialną władzę rodowi Horbitów. Ława Doradców nie dostała żadnych łapówek, a Honethowie i ród Vordue nie mieli szansy na sianie zamętu, gdyż truli się wzajemnie.

Wybór Horbitów okazał się trafną decyzją. Ran Horb I był kompetentnym władcą, ale jego syn, Ran Horb H, był prawdopodobnie największym imperatorem w historii Tolnedry. Jego osiągnięcia były oszałamiające. Położył kres otwartej wojnie w Arendii, sprzymierzając się z najsłabszą frakcją, Mimbratami. Ani ja, ani Polgara nie płakaliśmy zbyt, gdy w 3822 roku Vo Astur zostało zniszczone, a Asturowie przepędzeni do lasów. Dobrze pamiętaliśmy, co zrobili z pięknym miastem Vo Wacune.

Ran Horb II poszedł dalej. Zbudował trakt imperialny, Wielki Trakt Zachodni, przez całą Arendię, łącząc północną Tolnedrę z portem w Camaar, i cały system dróg w Sendarii. Przy okazji, utworzył to królestwo w 3827 roku. Uznał, że dopóki on sprawuje kontrolę nad traktami, wygodniej będzie, jeśli Sendarzy będą rządzić się sami. Doprowadził do skutku zawarcie traktatu z Cho-Dornem Starym, Wodzem Wodzów Klanów Algarii i zbudował Wielki Trakt Północny, biegnący z Muros przez północno-zachodnią Algarię do grobli, która prowadziła przez moczary do Boktoru, gdzie łączył się z Północnym Szlakiem Karawan wiodącym do Gar og Nadrak.

Imperator unormował handel z Nyissą i u schyłku swego życia zawarł traktat z Murgami, który pozwolił na zbudowanie Południowego Szlaku Karawan do Rak Goska.

W Val Alorn wszystkie te działania zaczęły budzić niezadowolenie. Ran Horb II zdawał sobie sprawę z tego, że dopóki Cherekowie kontrolują morza, Tolnedra zdana jest na ich łaskę. Trakty Rana Horba pozwalały omijać Chereków. Tolnedra nie musiała już przewozić towarów morzem. Kupcy mogli transportować je lądem, nie wachając nawet morskiej wody.

Nie oznacza to jednak, że sieć dróg została ukończona za życia Rana Horba. Wypełnieniem tego zadania zajmowali się kolejni władcy z dynastii Horbitów. Jednocześnie świat stopniowo zaczynał nabierać kształtów, w jakich go znamy obecnie.

Oczywiście szlaki ułatwiały podróżowanie, ale ja jestem wdzięczny Ranowi Korbowi II za utworzenie Królestwa Sendarii. Z Kodeksu Mrińskiego i trochę z Kodeksu Darińskiego wynikało, że Sendaria będzie mi potem potrzebna.

Biorąc pod uwagę osiągnięcia dynastii Horbitów, aż dziw bierze, że przetrwała ona tylko sto pięćdziesiąt lat. Syn Rana Horba VI utonął, gdy jego ojciec był już dość stary, więc imperialny tron pozostał bez następcy.

Potem do władzy doszedł nieszczęśliwy ród Ranitów. Rani-ci niczego nie dokonali w ciągu dziewięćdziesięciu rządów, ponieważ cierpieli na dziedziczną dolegliwość. W ciągu tych wszystkich lat było siedmiu imperatorów, którzy przez większość czasu chorowali. W efekcie byli jedynie figurantami.

W 4001 roku na tron wstąpili Vorduvianie, a ponieważ Tol Vordue jest portem morskim, natychmiast przestali naprawiać sieć traktów. Nie wiem, ile vorduviańskich statków musiały zatopić okręty wojenne Chereków, nim tamci przejrżeli na oczy.

Ja w każdym razie i tak nie bardzo dbałem o ród Vorduvian i jedynie z niesmakiem rozkładałem ręce.

Coś jednakże ciągle nie dawało mi spokoju. Po głowie chodził mi wyjątkowo niejasny fragment Kodeksu Mrińskiego. Wróciłem do wieży, wyciągnąłem swój egzemplarz i zacząłem go przeglądać. Jednym z powodów, dla których tak trudno odczytać Kodeks Mriński, jest fakt, że nie ma w nim ciągłości. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mieszają się bez żadnej chronologii. Nie wiadomo, które ZDARZENIE nastąpi najpierw, a które potem. Skrybowie nie zadali sobie trudu ułożenia wszystkiego w spójną całość, więc gdy się czegoś szukało, trzeba było zacząć od początku i przekopać się przez cały ten niezrozumiały bełkot.

Niemal go przegapiłem. Być może stałoby się tak, gdyby nie wstręt do Vorduvian i to, że myślałem o traktach, gdy ponownie trafiłem na ten fragment.

“Bacz - brzmiał on - gdy to, co proste jest, stanie się pokręcone, a to, co w dobrym stanie, takie być przestanie, ostrzeżeniem winno to być dla Was, Prastary i Ukochana”. To natychmiast zwróciło moją uwagę. Trakty tolnedrańskie przestały być w dobrym stanie. W niektórych miejscach w Sendarii zamieniły się w grzęzawiska i ponieważ były nieprzejezdne, ludzie porobili objazdy, a tym samym to, co było proste, zrobiło się pokręcone. Trochę to było naciągane, ale przyzwyczałem się do zawilości, czytając Kodeks Mriński. Niecierpliwie zabrałem się za dalsze czytanie. “ Strzeż się, albowiem wąż jest w krainie i on cię upokorzy”. Brzmiało zupełnie bezsensownie. Podszedłem ze zwojem do okna i przyjrzałem się mu w pełnym słońcu. Dostrzegłem nikły ślad świadczący o tym, że jeden ze skrybów wydrapał słowo “ona” i wstawił w to miejsce “on”. Najwyraźniej trzech skrybowie nie byli zgodni w tym względzie i ten, który napisał “ona”, został widocznie przegłosowany. Ale jeśli miał rację? Jeśli w naszej części świata mówimy o wężu rodzaju żeńskiego, to mówimy o Salmissarze.

Czytałem dalej. “Albowiem Strażnikowi cięży starość i jad węża ostudzi jego serce i serca wszystkich jego potomków. Śpieszcie się, Prastary i Ukochana. Życiu ostatniego potomka z linii Strażnika grozi straszliwe niebezpieczeństwo. Uratujcie go, inaczej wszystko będzie stracone i ciemności zakrólują na zawsze”.

Wpatrywałem się w te słowa w przerażeniu.

Górek Rozumny, król Rivy i Strażnik Klejnotu Aldura, był bardzo stary, sieć tolnedrańskich traktów rozpada się, a Salmissara nigdy nie była godna zaufania.

Zapewniam was, że choć słów tych było niewiele, tak uporczywie brzmiały mi w głowie, że pogałem na dół, przeskakując po cztery stopnie.

Bez dwóch zdań, musiałem natychmiast dostać się na Wyspę Wiatrów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zacząłem tworzyć w myślach obraz sokoła, nim jeszcze dobiegłem do końca schodów, a gdy tylko znalazłem się na dworze, zacząłem okrywać się piórami. Sokoły są szybsze od większości ptaków, a krzyk w mej głowie przekonywał mnie, że szybkość była tu najważniejsza. Nie lubiłem latać - nadal nie lubię - ale przez te wszystkie lata robiłem wiele rzeczy, których nie lubiłem. Robimy, co do nas należy, bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie.

Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że muszę zabrać ze sobą Polgarę. Wiedziałem, że na Wyspie Wiatrów miała do zrobienia coś bardzo ważnego. Nie wiedziałem, co to było, ale jednego byłem pewny: nastąpi prawdziwa katastrofa, jeśli jej ze mną nie będzie.

Myślę, że wybiorę się do Rivy i porozmawiam o tym z Ga-rionem. Zaczynam formować pewną teorię i chciałbym z nim o tym pomówić. Ten osobliwy głos spędził z nim o wiele więcej czasu niż ze mną, więc zna wszystkie jego sztuczki. Czasami miewałem uczucie, że ktoś mną manipuluje. Kroczyłem przez życie jakby w półśnie, od wydarzenia do wydarzenia - i nie zawsze musiało to być coś niezwykłego. Prawdę powiedziawszy, zwykle nie było. Najczęściej jest to coś tak zwykłego, że nikt nawet tego nie zauważa. Ale gdy to się już wydarzy, w mojej głowie coś zaskakuje i nagle zabieram się do działania, nim jeszcze zdam sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że pewne rzeczy zostały zaplanowane w mej głowie w trakcie wyprawy z Cherekiem i jego synami do Cthol Mishrak. Nie jestem jednak tego świadom, dopóki nie wydarzy się to coś, a wówczas natychmiast wiem, co powinienem zrobić. Wiem, odbiegam od tematu. I co z tego?

Dotarcie do chatki Poledry nie zabrało mi wiele czasu. Była wczesna wiosna, ale zrobiło się już na tyle ciepło, że Polgara kopała swój warzywnik. Pol ma bardzo jasną cerę i jej skóra łatwo ulega słonecznemu poparzeniu. Ubrała się więc w śmieszny słomkowy kapelusz, aby osłonić nos przed słońcem. Pewnie nie powinienem tego mówić, ale wyglądała w nim trochę jak grzyb.

Runąłem w dół, rozpostarłem pazury i zacząłem zmieniać postać, nim jeszcze dotknąłem ziemi.

- Potrzebuję cię, Pol - powiedziałem.

- Ja też cię kiedyś potrzebowałam, pamiętasz? - odparła chłodno. - Nie wydawałeś się tym zbytnio zainteresowany. Teraz mam okazję odpłacić ci pięknym za nadobne. Odejdź, ojczy.

- Nie mamy na to czasu, Polgaro. Potem możesz się mądrzyć. Teraz musimy lecieć na Wyspę Wiatrów. Górek jest w niebezpieczeństwie.

- Wielu ludziom grozi niebezpieczeństwo, ojcze. To zdarza się cały czas. - Przerwała. - Kim jest Górek?

- Czyś ty wyłączyła mózg na te wszystkie stulecia? Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje na świecie?

- Mój świat skończył się, gdy pozwoliłeś Asturom zniszczyć Vo Wacune, starcze.

- Nie, wcale się nie skończył. Nadal jesteś tym, kim byłeś, i polecisz ze mną na Wyspę Wiatrów, nawet gdybym miał zanieść cię tam w szponach.

- Przy twoim marnym łataniu? Nie bądź śmieszny. Kim jest ten Górek, o którego się tak martwisz?

- To Rivański Król, Pol. Strażnik Klejnotu.

- Cherekowie nadal patrolują Morze Wiatrów. Ochronią go.

- Nie jesteś na bieżąco, Pol. Blokada Chereków nie jest już szczelna.

- Co? Czyś ty rozum postradał? Czemu na to pozwoliłeś?

- To długa historia, a my nie mamy teraz na nią czasu. Nie zawracaj sobie głowy sową, Pol. Przybierz postać sokoła.

- Nie uczynię tego bez dobrego powodu. Powstrzymałem się przed zwymyśleniem jej.

- Właśnie zrozumiałem fragment w Kodeksie Mrińskim. Salmisara ma zamiar zrobić zamach na życie Rivańskiego Króla i całej jego rodziny. Jeśli jej się to uda, Torak wygra.

- Salmisara? Czemu od razu tego nie powiedziałaś?

- Bo mi nie pozwalałaś.

- Ruszajmy, ojcze!

- Zaczekaj chwilę. Muszę ostrzec bliźniaków. - Skupiłem się i wysłałem myśl. - Bracial - zwołałem.

- Belgarath? - odezwał się nieco zaskoczony Beltira. - O co chodzi?

- Będzie zamach na życie Rivańskiego Króla. Wyruszamy tam z Pol niezwłocznie. Będziemy sokołami, gdybyście chcieli się z nami skontaktować. Zawiadomcie Beldina. Powiedzcie, żeby natychmiast wracał do domu.

- W tej chwili, Belgaracie. Pośpieszcie się!

- W porządku, Pol - powiedziałem. - Ruszajmy do Rivy. Przybraliśmy postacie tych zapamiętałych ptasich łowców, wzbiliśmy się do góry, a potem puściliśmy się na północny zachód przez Ulgoland. Kilka lig na wschód od Prolgu natknęliśmy się na harpie. Miałem co

do tego pewne podejrzenia. Kilkakrotnie podróżowałem po Ulgołandzie, ale po raz pierwszy spotkałem harpie. Nie byłbym zaskoczony, gdyby ktoś umieścił

je na naszej drodze, aby nas opóźnić. Jednakże harpie nie latały za dobrze - a przynajmniej nie na tyle dobrze, aby złapać parę lecących jak błyskawice sokołów. Po prostu wpadliśmy z Pol pomiędzy nie z całym rozpędem. Zostały za nami, trzepocząc bezradnie skrzydłami.

Nie warto by nawet o tym zdarzeniu wspominać, gdyby nie dowodziło, że ktoś bardzo chciał nas opóźnić. Po tym doświadczeniu zacząłem wypatrywać smoczy. Ona mogłaby stanowić prawdziwy problem.

Jednak nie zobaczyliśmy jej i bez dalszych przeszkód udało nam się dotrzeć do zachodniej granicy Ulgołandu.

Zaczynało się ściemniać, ale my lecieliśmy dalej. Byłem głodny i zmęczony, ale naglił mnie ów głos w głowie. Pol latała lepiej ode mnie, ale jestem przekonany, że nasze przerażające tempo wyczerpywało ją tak samo jak mnie. Pomimo to lecieliśmy dalej.

Niebo za nami zaczynało blednąć, zwiastując nadejście świtu, gdy przelecieliśmy nad Camaar i wlecieliśmy nad ciemne wody Morza Wiatrów.

Było już prawie południe, gdy dostrzegłem na zachodzie przed nami Wyspę Wiatrów. Runęliśmy w dół, a port Rivy zdawał się pędzić ku nam z przerażającą szybkością.

Dotarcie tam niemal przypłaciłbym życiem, ale pomimo to przybyliśmy o dziesięć minut za późno.

Leciliśmy właśnie nad wzburzonymi wodami zatoki, gdy odkryłem dlaczego obecność Polgary była absolutnie konieczna. Nie zauważyłem dziecka usiłującego utrzymać się na zimnej wodzie, ale Pol je dostrzegła. Byliśmy pewnie ze trzydzieści stóp nad wodą. Nagle Pol zatrzepotała skrzydłami i wróciła do własnej postaci. Potem wyciągnęła ręce nad głowę i rzuciła się do wody. Widywałem wielu młodzieńców nurkujących w stawach, rzekach, a nawet morzu - zwykle robili to, by wyrzucić wrażenie na dziewczętach - ale nigdy jeszcze nie widziałem takiego skoku. Weszła w toń niczym nóż i zdawało mi się, że była

pod nią całe wieki. Na szczęście wody portu są bardzo głębokie. Nie radzę wam tak skakać, jeśli nie jesteście pewni, że macie pod sobą głębiny.

W końcu wyskoczyła na powierzchnię nie dalej niż dziesięć kroków od walczącego z falami chłopca i po kilku ruchach była przy nim.

- Tafc! - wykrzyknął milczący do tej pory intruz w mej głowie.

- Och, zamknij się! - powiedziałem.

W handlowej części plaży panował kompletny chaos. Wystarczył jeden rzut oka, abym

wiedział, że Górek, jego syn i inni członkowie rodziny zostali uśmierceni. Oczywiście Rivanie zajęci byli wyrzynaniem grupki nyissańskich kupców. Rzuciłem się w tamtą stronę, zatrzepotałem skrzydłami i wróciłem do własnej postaci.

- Przestańcie! - zagrzmiałem na mszczących się Rivan.

- Zabili naszego króla! - wrzasnął do mnie krzepki mężczyzna. Po twarzy spływały mu łzy i najwyraźniej miał atak hysterii.

- Nie chcesz wiedzieć dlaczego? - krzyknąłem, ale natychmiast spostrzegłem, że nie było sensu z nim rozmawiać - ani z innymi, którzy byli tam, by strzec króla. Byłem wyczerpany, ale jeszcze zostało mi trochę sił. Zebrałem Wolę i otoczyłem dwóch ostatnich Nyissan nieprzenikalną osłoną. Potem, po krótkim namyśle, uspiłem ich. Dobrze znałem Salmisarę. Wiedziałem, że zamachowcy mieli zapewne rozkaz zabić się po wypełnieniu misji. Byli uzbrojeni w zatrute noże i bez wątpienia w każdej kieszeni mieli malutkie fiołki z trucizną.

- Polgarol - wysłałem swą myśl. - Czy chłopcu nic nie jest?

- Nie, ojczu. Mam go.

- Trzymaj się z dala. Niech nikt cię nie zobaczy!

- Dobrze.

Potem do osiedla kupców przybiegł Brand. Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu strażnik Rivy zawsze przyjmował imię Brand. Nim zdążyłem o to zapytać, pochodzenie tego zwyczaju poszło w zapomnienie. W Arendii, gdzie zamki są co krok, strażnik Rivy zwany byłby kasztelanem. W niektórych królestwach Zachodu - a nawet w niektórych na wpół autonomicznych królestwach Mallorei - zwano go marszałkiem dworu. Obowiązki miał podobne, bez względu na to, jak go zwano. Był odpowiedzialny za administrowanie królestwem. Jak większość ludzi na tym stanowisku, był solidnym, kompetentnym człowiekiem o głębokim poczuciu lojalności. Nadal jednak był Alornem i wieść o zamordowaniu Goreka zupełnie wytrąciła go z równowagi. Z oczu tryskały mu łzy i ryczał z wściekłości. Z wyciągniętym mieczem natarł na moją niewidzialną barierę i zaczął rąbać ją z całej siły. Odczekałem chwilę, po czym zabrałem mu miecz.

Tak, potrafię to zrobić, jeśli muszę. Jeśli to konieczne, potrafię być najsilniejszym człowiekiem na świecie.

- Górek nie żyje, Belgaracie! - szlochał.

- Ludzie umierają. To cały czas się zdarza - powiedziałem obojętnym, beznamiętnym głosem.

Brand uniósł głowę i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Weź się w garść, Brandzie - powiedziałem. - Mam wiele do zrobienia. Po pierwsze, rozkaż swym żołnierzom, aby nie zabijali tych dwóch morderców. Potrzebuję kilku odpowiedzi, a nie wydobędę ich z trupów.

- Ale...

- To jedynie najemnicy. Chcę wiedzieć, kto ich najął. - Oczywiście miałem już pewne domysły, ale pragnąłem potwierdzenia. Głównie jednak chciałem, aby Brand się opamiętał.

Strażnik Rivy wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, Belgaracie - powiedział. - Zdaje się, że straciłem głowę.

- To już lepiej. Powiedz ludziom, aby odsunęli się od tych dwóch. Potem sprowadź tu kogoś, komu bezgranicznie ufasz. Chcę, aby te dwa gady umieszczono w bezpiecznym miejscu i strzeżono ich bardzo pilnie. Gdy tylko ich obudzę, będą próbowali się zabić. Rozbierz ich lepiej do naga. Jestem pewny, że mają gdzieś ukrytą truciznę.

Brand wyprostował się, a jego oczy przybrały kamienny wyraz. Odwrócił się.

- Kapitanie Vant! - powiedział ostro do stojącego w pobliżu oficera. - Chodź tu! - Potem wydał zapłakanemu oficerowi rozkazy.

Vant zaszalutował i zebrał pluton ludzi. Potem ja przemówiłem krótko do żołnierzy. Musiałem wyrzucić na nich wrażenie, ponieważ zrobili, jak im powiedziano.

- Dobrze, Brandzie - powiedziałem potem. - Przejdźmy się trochę po plaży. Nie chcę, aby ktokolwiek słyszał, co mam ci do powiedzenia.

Skinął głową i odeszliśmy na południe. Plaża na Wyspie jest kamienista i fale rozbijają się na niej z hałasem. Zatrzymałem się na skraju wody, ćwierć mili od osady.

- Jak nazywa się najmłodszy wnuk Goreka? - zapytałem.

- Książę Geran - odparł.

Jestem pewny, że większość z was rozpoznaje to imię. Razem z Pol staraliśmy się przez całe stulecia, aby nie zaginęło.

- Dobrze - rzekłem. - Weź się teraz w garść. Nie chcę, byś zaczął skakać z radości. Ludzie na nas patrzą. Książę Geran żyje.

- Dzięki Bogu!

- Prawdę powiedziawszy, dzięki mej córce. To ona go uratowała. To bardzo dzielny chłopiec. Umknął zamachowcom, rzucając się do wody. Nie pływał najlepiej, ale przynajmniej udało mu się uciec.

- Gdzie on jest?

- Z Polgarą.

- Poślę żołnierzy, aby eskortowali go z powrotem do Cytadeli.

- Nie. Nikt nie może się dowiedzieć, że on żyje. Zabierzemy go i ukryjemy gdzieś, a ty dasz mi słowo, że nigdy o tym nikomu nie wspomnisz.

- Belgaracie! Rivański Król jest Strażnikiem Klejnotu Aldura! Musi tu być.

- Nie, nie musi. Każdy na świecie wie, że Klejnot tu jest. Dlatego musimy ich rozdzielić.

- Dopóki nie dorośnie?

- Być może nieco dłużej. Jednakże nadejdzie czas, gdy Rivański Król powróci i wtedy zacznie się zabawa. Następny Rivański Król, który zasiądzie na tym tronie, będzie oczekiwanym Dzieckiem Światła.

- Zabójcą Boga?

- Miejmy nadzieję.

- Dokąd masz zamiar zabrać księcia Gerana?

- Nie musisz tego wiedzieć, Brandzie. Będzie bezpieczny. To ci musi wystarczyć. - Spojrzałem na mroczne niebo. - Ile jeszcze do zmroku?

- Kilka godzin. Zakląłem.

- O co chodzi?

- Moja córka jest z waszym królem w zatoce, a woda jest bardzo zimna. Przepraszam na chwilę. - Ponownie wysłałem swą myśl. - Polgaro, gdzie jesteś?

- Jesteśmy na końcu nabrzeża, ojcze. Czy można już wyjść?

- Nie. Zostań tam, i nie przebywaj na widoku.

- Chłopcu coraz zimniej, ojcze.

- Ogrzej wodę wokół siebie, Pół. Wiesz, jak to zrobić. Od stuleci grzałaś sobie wodę w wannie.

- Co zamierzasz, stary wilku?

- Ukryć rivańskiego Króla. Przyzwyczaj się do tego, Pół, ponieważ to potrwa bardzo długo. - Potem cofnąłem swe myśli. -W porządku, Brandzie - powiedziałem głośno. - Wracajmy do Cytadeli. Chcę uciąć sobie długą pogawędkę z tymi Nyissanami. Poszliśmy do bram miasta.

- Kto będzie strzegł Klejnotu, jeśli zabierzesz naszego króla, Belgaracie? - zapytał Brand, gdy ruszyliśmy po schodach.

- Ty.

- Ja?

- Oczywiście. Ty również zastąpisz króla pod jego nieobecność i przekażesz te

obowiązki swemu następcy. Od teraz strażnik Rivy będzie jedynym żyjącym człowiekiem, który wie o naszych poczynaniach - w każdym razie, jedynym z normalnych ludzi. Mnie, Pol i mych braci trudno nazwać normalnymi ludźmi. Liczymy na ciebie, Brandzie. Nie zawieź nas.

Brand przełknął z trudem ślinę.

- Masz na to moje słowo, Prastary.

- Zaczny z ciebie człowiek.

Dwaj nyissańscy "kupcy", którym udało się wywabić Goreka i jego rodzinę z Cytadeli wieścią o darach od królowej Salmissary, nadal byli uśpieni. Spora grupka rivańskich wojowników z ponurymi minami już ostrzyła sobie noże.

- Ja to zrobię - oznajmiłem. Powiedziałem to bardzo zdecydowanym tonem, aby uciąć wszelkie protesty.

Muszę przyznać, że nie jestem tak dobry w przesłuchiowaniu ludzi jak moja córka. Jeśli zainteresowani jesteście jej metodami, to porozmawiajcie z królem Anhegiem. Był obecny, gdy badała jarla Jandku. Zdaje się, że wystarczało, by podziałała na wyobraźnię przepytanych ludzi - aby zobaczyli coś tak okropnego, że natychmiast zaczęli mówić. Ja stosowałem trochę bardziej bezpośrednie metody. Potrafiłem skutecznie zadawać ból. Jedyna różnica między moim podejściem i waszymi wymyślnymi torturami polega na tym, że ja potrafię zadawać ludziom ból, nie raniąc ich. Potrafiłem przez tydzień trzymać człowieka w agonii, nie zabijając go.

W tym wypadku nie zajęło mi to tygodnia. Gdy oczyściłem ich krew z efektów działania rozlicznych narkotyków, stali się bardzo układni. Najwyraźniej ustanie działania ulubionego narkotyku jest bardzo niemiłe w skutkach. Dorzuciłem do tego jeszcze kilka nieprzyjemnych odczuć i zaczęli mnie błagać, bym pozwolił im mówić.

- To królowa! - wybełkotał jeden z nich. - Zrobiliśmy to na rozkaz królowej!

- To nie był jej pomysł! - Przekrzykiwał go drugi z jeńców. - Obcy przybył do Stiss Tor i rozmawiał z Wieczną Salmissarą. Zaraz potem wezwała nas do sali tronowej.

- Czy wiecie, kim był ten obcy? - zapytałem.

- N-nie! - wyjąkał. - Proszę nie zadawaj mi więcej bólu!

- Odpuść - powiedziałem. - Czy chcecie mi powiedzieć o czymś jeszcze?

- Jeden z książąt nam uciekł - wybełkotał pierwszy. - Rzucił się do wody i odpłynął.

- I utopił się? - zapytał jeden z rivańskich strażników, nim zdążyłem go powstrzymać.

- Nie. Uratował go ptak.

- Ptak?

- Nie przywiązywałbym do tego większej wagi - powiedziałem szybko. - Nyissanie miewają zwidy.

Rivański żołnierz spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Byłeś kiedyś pijany? - zapytałem.

- Raz, może dwa.

- Nyissanie potrafią to zrobić bez użycia piwa.

- Słyszałem o tym - przyznał.

- Teraz to widziałeś. Ci dwaj po obudzeniu byli nadal tak pijani, że pewnie widzieli niebieskie owce i fioletowe kozy. - Spojrzałem na Branda. - Potrzeba nam jeszcze czegoś?

- Mnie nie. A tobie?

- Nie, zdaje się, że to wystarczy. - Machnąłem ręką i ponownie uśpiłem obu morderców. Nie chciałem, aby znowu jeden z nich zaczął opowiadać o ptakach.

Pewne wersje "Księgi Alornów" wspominają o tej historii z ptakiem. Teraz wiecie, skąd się wzięła. Naśmiewałem się z tego pomysłu przy każdej okazji, ale ciągle niektórzy Rivanie w to wierzyli.

- Co mamy zrobić z tymi dwoma? - zapytał ten od zadawania szybkich pytań.

Wzruszyłem ramionami.

- Co chcecie. Ja już wiem to, co chciałem. Idziesz, Brandzie? Wyszliśmy z celi i udaliśmy się wprost do prywatnych pokoi Branda.

- Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza wojnę, Belgaracie? - zapytał.

- Zdaje się, że tak - przyznałem. - Podejrzane by było, gdybyśmy nie sprawili krwawej łaźni Nyissanom. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń nietypowym zachowaniem. Nie chcę, aby ludzie zaczęli snuć szalone domysły.

- Zawiadomię Val Alorn, Boktor i Algarów.

- Nie trudź się. Ja się tym zajmę. A teraz chodźmy wyłowić moją córkę i twego króla z zatoki. Niech na koniec nabrzeża podpłyń okręt. Ma tam przycumować, a marynarze niech wrócą na ląd. Nie chcę nikogo na pokładzie. Potem wybierzesz się ze mną na małą przejażdżkę.

- Belgaracie! Nie mogę teraz odejść!

- Będiesz musiał. Nie umiem żeglować. Musimy przewieźć Polgarę i księcia Gerana na wybrzeże Sendarii, a nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Potrafię żeglować, Belgaracie, ale będę potrzebował załogi.

- Już masz. Ja i Pol zajmiemy się żaglami. Rzucimy kotwicę kilka mil na północ od Camaar. Pol zabierze księcia w ukrycie, ja udam się do Val Alorn, a ty do Camaar, zabierzesz

załogę z jakiegoś rivańskiego okrętu i wrócisz tu możliwie jak najszybciej, aby rozpocząć mobilizację. Chodźmy do portu.

Gdy okręt został wyprowadzony z portu, a marynarze wrócili nabrzeżem do miasta, zacząłem ostentacyjnie wpatrywać się w morze.

- Pol - odezwałem się cicho - jesteś tam jeszcze?

- Gdzie miałabym być, ty stary durniu? Puściłem to mimo uszu.

- Zostań tam - powiedziałem. - Brand popłynie do ciebie łódką.

- Czemu to tyle trwało?

- Musieliśmy poczekać, aż się ściemni. Nie chciałem, aby ktokolwiek widział, co robimy.

- O czym mówiłeś wcześniej - o ukryciu Rivańskiego Króla?

- Nie mamy wyboru, Pol. Wyspa Wiatrów nie jest bezpieczna dla chłopca. Musimy zabrać go z dala od Klejnotu. Torak wie, gdzie on jest. Jeśli chłopiec będzie w pobliżu, mordercy będą ściągać tłumnie.

- Myślałam, że to Salmissara nasłala morderców.

- Ona, ale ktoś ją do tego namówił. -Kto?

- Nie jestem pewny. Zapytam ją przy najbliższej okazji.

- W tych warunkach możesz mieć kłopoty z dostaniem się do Sthiss Tor.

- Raczej wątpię, Pol - odparłem ponuro. - Zabiorę z sobą paru Alornów.

- Paru?

- Chereków, Rivan, Drasnian i Algarów. Zabiorę z sobą całą Alorię, Pol. Nie sądzę, abym miał jakieś kłopoty z dostaniem się do Sthiss Tor. - Obejrzałem się, po czym ponownie spojrzełem na morze. - Płynie Brand z łódką. Zabierzemy was na pokład statku i popłyniemy.

- Popłyniemy? Dokąd?

- Do Sendarii, Pol. Tam postanowimy, co robić.